

Polska Zbrojna

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 3 (863) MARZEC 2018

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523

WYPALONA REWOLUCJA

ATUTY IRANU
W GRZE O STATUS
MOCARSTWA
REGIONALNEGO

HISTORIA

Etos polskiego
żołnierza pozwolił
przetrwąć lata
pozbawienia
suwerenności

BRYZA NA SYCYLII

Polacy
dołączają do
unijnej misji
„Sophia”

2017



BUZDYGANY

WYBRALIŚMY KOLEJNE OSOBY, KTÓRE
ZMIENIAJĄ OBLICZE POLSKIEGO WOJSKA





SPOKREWNIENI SŁUŻBĄ

Ogólnopolska zbiórka krwi z okazji
Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych



Ministerstwo
Spraw Wewnętrznych
i Administracji



MINISTERSTWO
OBRONY NARODOWEJ



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA



DLA NICH CHCIEĆ TO MÓC! PRZEKRACZAJĄ
GRANICE WŁASNYCH MOŻLIWOŚCI I MIMO
ROZMAITYCH PRZESZKÓD REALIZUJĄ
SVOJE ZAMIERZENIA.

Po raz 24. mamy zaszczyt wyróżnić wspaniałych ludzi, wojskowych i cywilów, którzy są wzorem do naśladowania dla nas wszystkich. Nie mogło być inaczej, zdecydowaną większością głosów replikę szesnastowiecznej oznaki godności rotmistrzowskiej kapituła przyznała prof. Krzysztofowi Szwagrzykowi, wiceprezesowi Instytutu Pamięci Narodowej, za przywracanie tożsamości bohaterom skazanym na zapomnienie. Wyróżnienie trafia także do rąk gen. broni Andrzeja Fałkowskiego, polskiego przedstawiciela wojskowego przy komitetach wojskowych NATO i Unii Europejskiej w Brukseli, za wygrane bitwy na polu dyplomacji. Buzdygana otrzymuje również ksiądz por. Marek Rycio, kapelan Garnizonu Lidzbark Warmiński, za posługę, która wymyka się schematom. Dzięki kolejnemu laureatowi, „Sikorowi” z Jednostki Wojskowej Komandosów, żołnierze na polu walki zyskują poczucie bezpieczeństwa. Kmdr ppor. Michał Dziugan, dowódca ORP „Kormoran”, to fascynujący człowiek, który do działania potrafi zachęcić innych, dając im przykład swoją pracą. Z kolei ppłk Jarosław Wyszecki, komendant Ośrodka Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych, został wyróżniony Buzdyganem za to, że zmienił poligon analogowy w cyfrowy. Nagroda internautów wędruje zaś do Tomasza Sanaka, ratownika medycznego, instruktora i twórcy programów szkoleniowych z medycyny pola walki. Gratulujemy wszystkim laureatom!

Jak wychowywano młodzież przed II wojną światową? Co spowodowało, że kilkunastolatkowie byli w stanie znieść tortury, szykany wroga i nie wahali się oddać życia za ojczyznę? Czy my dziś bylibyśmy zdolni do takich postaw?

1 marca – Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych – to dobry moment na wsłuchanie się w przekaz, który płynie od żyjących jeszcze żołnierzy podziemia antykomunistycznego. „Tak zostałem wychowany – nie złożyłem broni w 1945 roku, postanowiłem walczyć dalej”, podkreśla w rozmowie z „Polską Zbrojną” mjr Henryk Kowalczyk, żołnierz Armii Krajowej, a po 1945 roku grójeckiego podziemia niepodległościowego. Jak dodaje, wychowywały go i szkoła, i dom, a najważniejszym przedmiotem była historia. Dobre wychowanie i kształcenie naszych dzieci nie zagwarantują nam bezpieczeństwa, ale na pewno będą miały wpływ na etos przyszłego wojska Rzeczypospolitej.

Zachęcamy do lektury tego interesującego wywiadu,
a także pozostałych artykułów.



TEMAT
NUMERU



ARMIA



ARSENAL



STRATEGIE

12 Buzdygany 2017

24. raz przyznaliśmy nagrody
wyjątkowym ludziom.

**14 Komandor
podporucznik
Michał Dziugan**

**16 Generał broni
Andrzej Fałkowski**

**18 Ksiądz porucznik
Marek Rycio**

20 „Sikor”

**22 Profesor
Krzysztof Szwagrzyk**

**24 Podpułkownik
Jarosław Wyszecki**

26 Tomasz Sanak

PIOTR RASZEWSKI
**28 Wschód rozwija
skrzydła**

Wielonarodowa Brygada
rozszerza swój mandat.

EWA KORSAK, MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

34 Gotowe do startu

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
39 Bryza na Sycylii

EWA KORSAK
42 Zgrani zawsze wygra

EWA KORSAK, MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

46 Sprawdź, czy oddycha!

KRZYSZTOF WILEWSKI
**50 Kiedy ta wojna
wybuchła?**

MICHAŁ ZIELIŃSKI
52 Duch wspólnoty

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER
56 Na tropie skażeń

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
**62 Przybyliśmy,
zobaczyliśmy, koalicja
zwyciężyła**
Rozmowa z Łukaszem Piątkiem

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
**66 Sprawdzian przed
służbą**

ANNA DĄBROWSKA
**68 Przepustka do
terytorialsów**
Rozmowa z Krzysztofem
Leszczyńskim

TADEUSZ WRÓBEL
78 Wielkie przejęcia
Największe transakcje sektora
lotniczo-obronnego.

KRZYSZTOF WILEWSKI
84 Hipersoniczna rewolucja

MACIEJ HYPŚ
86 W cieniu atomu

RAFAŁ CIASTOŃ
91 Konstruktor visa



ANDRZEJ PAWŁOWSKI
**92 Ajatollahowie pukają
do drzwi**

Iran i Izrael próbują wykorzystać
destabilizację na Bliskim
Wschodzie i umocnić swoją
pozycję w regionie.

TOMASZ OTŁOWSKI
98 Wypalona rewolucja

MICHAŁ ZIELIŃSKI
**102 Konflikt
bez żadnych reguł**

ROBERT SENDEK
**106
Wybrany
rozgrywa
partię życia**

TADEUSZ WRÓBEL
110 Siła specjalsów

TOMASZ OTŁOWSKI
113 Prywatne armie

TADEUSZ WRÓBEL
**115 Współpraca
szansą**



HISTORIA

PIOTR KORCZYŃSKI

116 To, co po tobie mam najdroższego

W przedwojennej Polsce
uksztaltowały się osobowości,
które okazywały najwyższe
oddanie dla Ojczyzny.

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

122 Chciało nam się Polski

Rozmowa z Henrykiem
Kowalczykiem

PIOTR KORCZYŃSKI

126 Druga Somosierra

ROBERT SENDEK

130 Wierny do końca

TADEUSZ WRÓBEL

134 Królowa pustyni

KRZYSZTOF KUBIAK

137 Radarowe fantomy



HORYZONTY

PIOTR RASZEWSKI

138 Konstruktorzy z Lublina

Studenci z Politechniki
Lubelskiej spełniają swoje
naukowe marzenia.

JACEK MATUSZAK

144 Przywra- camy bohaterów ojczyźnie

Rozmowa z Marcinem
Sochoniem

ANNA DĄBROWSKA

148 Uzbecka tułaczka

ANDRZEJ FĄFARA

154 Śmierć Tarasa



Zdjęcie na okładce:

Zespół reporterski Combat
Camera DORSZ

Znajdziesz nas tutaj:



DYREKTOR WOJSKOWEGO

INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,

sekretariat@zbrojni.pl;

tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;

Al. Jerolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Izabela Borańska-Chmielewska,

tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

Zastępcy sekretarza redakcji

Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;

Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;

polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,

Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek,

Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata

Schwarzgruber, Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski,

Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Rafał Ciałorń, Andrzej Fąfara,

Maciej Hypś, Krzysztof Kubiak, Jacek Matuszak,

Tomasz Otlowski, Andrzej Pawłowski, Piotr Raszewski,

Robert Sendek, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka, Monika

Siemaszko, tel.: 261 845 170; Andrzej Witkowski

(fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;

Renata Gromska, January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Agnieszka Karaczun,

Anita Kwaterowska (tłumacz), Radosław Lechowicz,

Marta Szulc, Małgorzata Szustowska, tel. 261 845 387,

261 845 180, faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.

ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek

tel: 542 315 201, 502 012 187

elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 23.02.2018 r.

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobyłka,

www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych

„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl

– www.prenumerata.ruch.com.pl

– www.garmondpress.pl/prenumerata

– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym

prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”,

dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER



Narodowe Archiwum Cyfrowe.

220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze

odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów

niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie

prawo do skrótów.

Exemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji

wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400

Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska

Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje

regulamin dostępny na stronie głównej portalu

polska-zbrojna.pl.

KADR





Na stacji I linii metra w nocy z 14 na 15 lutego 2018 roku
Wydział Działań Specjalnych Oddziału Specjalnego ŻW w Warszawie
przeprowadził warsztaty taktyczne.

FOT. PATRYK CIELIŃSKI / COMBAT CAMERA DORSZ



Zgodnie z planem w tym roku terytorialni otrzymają 12 tys. karabinków. Mają się też rozpocząć dostawy tej broni do wojsk operacyjnych.

GROTY W AKCJI

Pierwszy kurs z obsługi karabinka MSBS.

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Instruktorzy z mobilnych zespołów szkoleniowych wojsk obrony terytorialnej oraz żołnierze wojsk operacyjnych, m.in. z 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej i 9 Warmińskiego Pułku Rozpoznawczego, w sumie 70 osób, wzięli udział w szkoleniu z obsługi nowego modułowego systemu broni strzeleckiej MSBS kalibru 5,56 mm Grot. Zorganizowany w Mo-

ragu kurs prowadzili przedstawiciele Fabryki Broni „Łucznik”, producenta uzbrojenia. Uczestnicy poznali budowę grotów, zasady ich obsługi i eksploatacji, przetestowali je także na strzelnicy. Jak podkreślali kursanci, broń jest bardzo celna, pozwala na szybkie prowadzenie ognia, a w porównaniu z berylem nie ma praktycznie odrzutu.

MSBS to pierwszy po II wojnie światowej karabinek zaprojektowany i wyprodukowany w Polsce. W najnowszy produkt najpierw została wyposażona 4 Warmińsko-Mazurska Brygada OT. „Broń jest ergonomiczna i łatwa w użyciu, dodatkowo można ją dostosować do potrzeb strzelca”, mówi płk Mirosław Bryś, dowódca 4 BOT. PZ, MM

Więcej na armię

Polska w 2018 roku na obronność przeznaczy ponad 41 mld zł.

Zgodnie z ustawą budżetową na 2018 rok podpisaną przez prezydenta Andrzeja Dudę w tym roku na obronność zaplanowano prawie 3,8 mld zł więcej niż w ubiegłym. Na wydatki majątkowe, czyli zakupy sprzętu i inwestycje, zarezerwowano

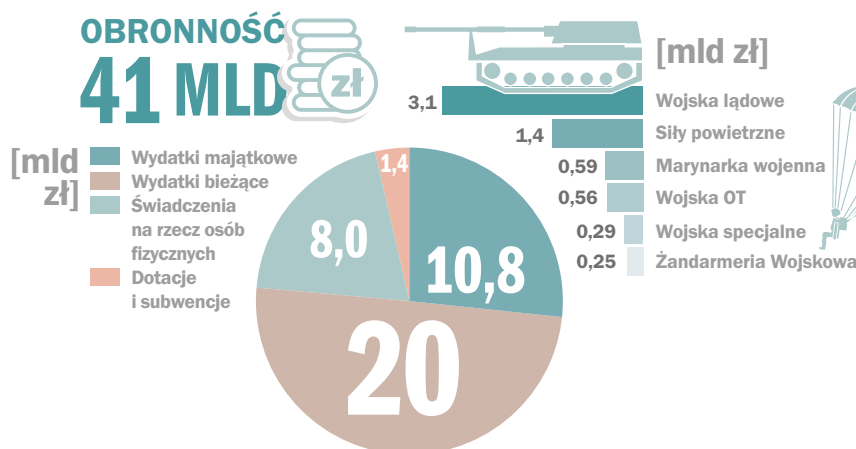
ponad 10,8 mld zł, na bieżące – 20 mld zł, na świadczenia na rzecz osób fizycznych – niemal 8 mld zł, na dotacje i subwencje – 1,4 mld zł. W 2018 roku wojska lądowe otrzymają 3,1 mld zł, siły powietrzne – 1,4 mld zł, a wojska specjalne – ponad

294 mln zł. Na podobnym poziomie będą finansowane wojska obrony terytorialnej (blisko 568 mln zł) i marynarka wojenna (594 mln zł). Na bieżącą działalność Żandarmerii Wojskowej przeznaczono 252,5 mln zł.

Z kolei na dowodzenie i kierowanie siłami zbrojnymi zarezerwowano 1,65 mld zł, czyli 27% więcej niż przed rokiem. W stosunku do 2017 roku wzrosną też wydatki na wojskowe misje zagraniczne (około 255 mln zł), zabezpieczenie wojsk (1,3 mld zł), Agencję Mienia Wojskowego (765,5 mln). Więcej pieniędzy będzie także na działanie służb:

Wywiadu Wojskowego (264 mln zł) i Kontrwywiadu Wojskowego (ponad 237 mln zł).

Znacząco wzrosną wydatki na szkolnictwo wojskowe – w 2018 roku będzie to 409 mln zł i na muzea wojskowe – 114,5 mln zł. PZ, MKS



Nowy wiceminister obrony

Minister Mariusz Błaszczak powołał Wojciecha Skurkiewicza na sekretarza stanu w resorcie obrony. Nowy wiceszef MON-u jest absolwentem Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Przez dziesięć lat jako dziennikarz pracował w Katolickim Radiu Radomskim AVE, pełnił także funkcję szefa redakcji Radia Plus Radom oraz



Wojciech Skurkiewicz będzie odpowiedzialny m.in. za kontakty resortu z parlamentem, współpracę z organizacjami proobronnymi, a także będzie sprawował nadzór nad muzeami.

rzecznika prasowego Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych w Warszawie. W latach 2006–2007 był radnym i przewodniczącym Rady Miasta Radomia, a następnie senatorem. W 2015 roku uzyskał mandat posła VIII kadencji z list Prawa i Sprawiedliwości, pełnił też funkcję wiceprzewodniczącego sejmowej Komisji Obrony Narodowej. PZ, MM ■

KOLEJNE GWIAZDKI

Minister Mariusz Błaszczak przedstawił prezydentowi RP Andrzejowi Dudzie **nazwiska 14 kandydatów do nominacji generalskich**. „Wszystkie kandydatury były konsultowane między MON-em a BBN-em i zostały zaakceptowane przez zwierzchnika sił zbrojnych”, poinformował Paweł Soloch, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Nominację na najwyższy stopień – generała – otrzymał szef Sztabu Generalnego WP gen. broni Leszek Surawski. Na stopień generała broni mianowani zostali gen. dyw. Jarosław Mika, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych, oraz gen. dyw. Sławomir Wojciechowski, dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych. Z kolei do stopnia generała dywizji awansowali: gen. bryg. Stanisław Czosnek, dowódca 11 Dywizji Kawalerii Pancernej, gen. bryg. Adam Joks, zastępca szefa Sztabu Generalnego WP, gen. bryg. Krzysztof Król, zastępca dowódcy Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego, gen. bryg. Cezary Wiśniewski, attaché obrony przy Przedstawicielstwie Dyplomatycznym RP w Stanach Zjednoczonych.

Na pierwszy stopień generalski – generała brygady – zostali mianowani pułkownicy: Zenon Brzuszek, dowódca Wielonarodowej Brygady, Szymon Koziątek, zastępca szefa Zarządu Planowania i Programowania Rozwoju Sił Zbrojnych w SGWP, Dariusz Parylak, dowódca 10 Brygady Kawalerii Pancernej, Ryszard Pietras, dowódca 21 Brygady Strzelców Podhalańskich, Jacek Pszczółka, dowódca 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego, Jan Rydz, dowódca 1 Brygady Pancernej. Stopień kontradmirała otrzyma dowódca 8 Flotylli Obrony Wybrzeża kmdr Krzysztof Zdonek. PZ, PG, AD ■

Zaplecze Wielonarodowej Dywizji

Działający w Elblągu 16 Batalion Dowodzenia został przeformowany w pułk wsparcia dowodzenia dla znajdującego się tam od lipca 2017 roku Dowództwa Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód. Natowska jednostka koordynuje działania czterech bataliono-

wych grup bojowych rozmieszczonych w krajach bałtyckich i w Polsce. Formalnie nowy pułk podlega dowódcy generalnemu rodzajów sił zbrojnych. Głównym zadaniem jednostki jest zabezpieczanie działań międzynarodowego dowództwa i sztabu. PZ, PG ■

**Jego Ekscelencji Biskupowi Polowemu
gen. bryg. Józefowi Guzdkowi,
który Matkę swoją odprowadził do Domu Ojca,**
składają wyrazy współczucia
oraz zapewniają o łączności w modlitwie
Maciej Podczaski, Izabela Borańska-Chmielewska,
Anna Putkiewicz, Józef Miałkowski
i pracownicy Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

**Panu Mecenasowi Cezaremu Jabłonowskiemu
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy żalu i współczucia z powodu śmierci
Ojca
składają dyrektor i pracownicy
Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

ARMA VIRUMQUE CANO

Na uroczystości
gościł wiceminister
obrony
Wojciech
Skurkiewicz.



Od lewej: Izabela Borańska-Chmielewska, szefowa Redakcji Wydawniczej WIW, Witold Gadowski, publicysta wyróżniony statuetką Bellony, Maksymilian Sokół-Potocki, zastępca dyrektora Centralnej Biblioteki Wojskowej, i Anna Putkiewicz, szefowa Redakcji Internetowo-Wydawniczej WIW.

Święto wojskowej nauki

„Kwartalnik Bellona” świętował stulecie.

Pierwszy numer pisma, wydawanego dziś przez Wojskowy Instytut Wydawniczy, ukazał się w lutym 1918 roku. „Bellona” jest szczególnym świadkiem polskiej drogi do niepodległości i piśmem, które wspierało tworzenie polskiego wojska w początkach naszej państwowości”, napisał minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak w liście do uczestników gali z okazji stulecia periodyku. List odczytał wiceminister Wojciech Skurkiewicz. Szef resortu zaznaczył też, że misja, którą pismo miało na początku istnie-

nia, jest nadal aktualna, a Wojsko Polskie, modernizując się i przygotowując do nowych wyzwań, potrzebuje wsparcia naukowego.

„»Bellonę« stworzyło pokolenie, które rozpoczęło w 1918 roku odbudowę polskiego państwa i jego bezpieczeństwa”, mówił Maciej Podczaski, dyrektor WIW-u. Podczas uroczystości w Klubie Dowództwa Garnizonu Warszawa, dyrektor Podczaski i prof. Piotr Grochmalski, redaktor naczelny kwartalnika, wręczyli osobom zasłużonym dla nauki i polskiego wojska statuetki Bellony.

Uhonorowani zostali: gen. bryg. Dariusz Skorupka, komendant Akademii Wojsk Lądowych, za budowanie prestiżu uczelni oraz dokonania w kształceniu i wychowaniu oficerów polskiego wojska; prof. Sławomir Cenckiewicz, dyrektor Wojskowego Biura Historycznego, za aktywność badawczą oraz konsekwencję i odwagę w przywracaniu prawdy o Wojsku Polskim; prof. Andrzej Nowak, kierownik Zakładu Historii Europy Wschodniej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, za wybitne osiągnięcia naukowe oraz bezwarunkową



Maciej Podczaski, dyrektor Wojskowego Instytutu Wydawniczego, i prof. Piotr Grochmalski, redaktor naczelny kwartalnika, wręczali osobom zasłużonym dla nauki i polskiego wojska statuetki Bellony.



Autorką unikatowych statuetek, zaprojektowanych specjalnie na galę, jest Barbara Lenart, wybitna polska rzeźbiarka, a ich wygląd nawiązuje do klasycznego wyobrażenia bogini wojny.

W księdze pamiątkowej znalazły się wybrane artykuły opublikowane w periodyku na przestrzeni 100 lat istnienia pisma „Bellona”, które ukazywało się pod różnymi tytułami.



KLUB DOWÓDZTWA GARNIZONU
WARSZAWA

Galę uświetnił występ Krzesimira Dębskiego i Anny Jurkiewicz.



rzetelność i bezstronność w odkrywaniu i upowszechnianiu wiedzy o historii Polski.

Statuetki odebrali także Andrzej Wilk, główny specjalista ds. wojskowych aspektów bezpieczeństwa międzynarodowego w Ośrodku Studiów Wschodnich, za najwyższą staranność i wartość naukową prowadzonych analiz oraz kreatywność w upowszechnianiu wiedzy z dziedziny stosunków międzynarodowych, oraz Witold Gadowski, dziennikarz i publicysta, za wybitny dorobek dziennikarski oraz bezwzględną niezależność

i uczciwość w głoszeniu poglądów. Jak zaznaczył, dziękując w imieniu nagrodzonych, gen. Skorupka, to zaszczyt otrzymać nagrodę pisma, które kojarzy się z niepodległą Polską. Generał podkreślił też, że otrzymana statuetka motywuje go do pracy nad budową jeszcze lepszej marki „Kwartalnika Bellona”, aby odpowiadał on potrzebom współczesnych dowódców.

Galę uświetnił wykład prof. Janusza Odziemkowskiego z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego poświęcony początkom polskiego państwa w 1918 roku i wychowaniu mię-

dzywojennej pokolenia. Na konferencji naukowej historycy przedstawili natomiast dzieje kwartalnika i stojące przed nim wyzwania. Jak mówiono, pismo zostało powołane 28 grudnia 1917 roku decyzją gen. Tadeusza Rozwadowskiego, ówczesnego szefa Sztabu Polskich Sił Zbrojnych. Mianował on płk. Wacława Tokarza pierwszym redaktorem naczelnym „Bellony”. „Dziś naszą misją jest współuczestnictwo w rozwoju nauki wojennej i sztuki operacyjnej, a także w udoskonalaniu obronności kraju”, podkreślił prof. Grochmalski. PZ, AD ■

TEMAT
NUMERU

/ LAUREACI



2017

 BUZDYGANY

Nagroda „Polski Zbrojnej”
trafia w ręce generałów i szeregowych,
komandosów i logistyków, żołnierzy i cywilów.
Poznajcie tegorocznych laureatów.





ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ

KOMANDOR PODPORUCZNIK

Michał Dziugan

2017
BUZDYGANY

ZA WPROWADZANIE MARYNARKI NA SZEROKIE WODY

Był rok 2014, niszczyciel min ORP „Mewa” wrócił właśnie z ćwiczeń „Northern Coasts”. „Jeszcze na dobre nie ochłonęliśmy, kiedy w porcie pojawił się Bartek Pomierski, dziś wiceprezes stoczni Remontowa Shipbuilding, i powiedział: »Budujemy wam okręt, zerknijcie«. Pochyliliśmy się więc nad projektem. Okej, ale może warto zmienić to i tamto. Zaczęliśmy kreślić, wyrażać sugestie”, wspomina kmr pp. Michał Dziugan. Wówczas mógł już przypuszczać, że będzie dowódcą nowo budowanego okrętu, ale w sam projekt zaangażował się wcześniej, jeszcze na etapie przygotowywania przez marynarkę wstępnych założeń taktyczno-technicznych. „Wyszedłem z założenia, że jeśli ktoś ma jakąś wiedzę, to warto się nią podzielić. Miałem okazję, by coś po sobie zostawić”, przyznaje kmr pp. Dziugan. „Poza tym ja naprawdę bardzo lubię moją pracę. Śmiało można powiedzieć, że jest jak hobby”.

Na stanowisko zaproponował go jeszcze poprzedni dowódca 13 Dywizjonu Trałowców kmr por. Krzysztof Rybak. „Chcieliśmy, by

dowódcą »Kormorana« został człowiek z jednej strony doświadczony, najlepiej mający za sobą służbę w międzynarodowych zespołach, a z drugiej potrafiący walczyć o swoje”, wyjaśnia kmr por. Piotr Sikora, dowódca 13 Dywizjonu Trałowców. „Miał on przecież brać udział w budowie okrętu. Zupełnie nowego, prototypowego. A nam zależało, by w najdrobniejszych detalach odpowiadał on naszym oczekiwaniom”, dodaje. Kmr pp. Dziugan spełniał wszystkie te warunki.

Służbę w marynarce rozpoczął w 2003 roku. Początkowo był dowódcą okrętowego działu na trałowcu ORP „Wigry”, następnie młodszym specjalistą w zespole oficerów Dowództwa 8 Flotyli Obrony Wybrzeża, wreszcie zastępcą dowódcy niszczyciela min ORP „Czajka”. Jednocześnie przez cały czas uczył się tajników wojny minowej w najbardziej prestiżowych placówkach za granicą: natowskim ośrodku szkoleniowym MOST w belgijskim Zeebrugge, Szkole Wojny Minowej EGUERMIN w Ostendzie oraz German Navy Damage Control Training Center w Neustadt. Zaliczył też cztery misje w Stałym Zespole Sił Obrony Przeciwminowej



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

**Nowoczesny sprzęt
to nie wszystko. Po-
trzebni są jeszcze
ludzie, którzy znają
się na swojej pracy
i pasją potrafią
zarazić innych.
Tacy jak kmdr ppor.
Michał Dziugan.**

NATO (Standing NATO Mine Countermeasures Group 1, SNMCMG1). W 2013 roku wszedł do sztabu SNMCMG1, gdzie przez pół roku pełnił funkcję oficera operacyjnego. „Faktycznie był w nim osobą numer trzy”, podkreśla kmdr por. Sikora, który w tym czasie kierował zespołem. Dla polskich marynarzy był to niezwykle pracowity czas. Okręty skupione pod banderą NATO strzegły bezpieczeństwa na szlakach żeglugowych północnej Europy, brały udział w licznych ćwiczeniach oraz operacjach rozminowania.

Dwa lata później kmdr ppor. Dziugan dołączył do zespołu już jako dowódca niszczyciela min ORP „Mewa”. I od razu wraz z załogą dokonał rzeczy bez precedensu. Podczas operacji „Open Spirit” u wybrzeży Estonii polscy marynarze wykryli i sklasyfikowali 111 min z czasów II wojny światowej, które zalegały na dnie Bałtyku w okolicach Tallina. W sumie w czasie półrocznej misji podobnych „trafień” mieli aż 131. I był to najlepszy wynik w 44-letniej historii zespołu. „Wiem, że początkowo wśród załogi panowało przekonanie, że mamy stary okręt, więc pewnie i tak niewiele uda się zrobić. A Michał powtarzał: »Przecież mamy Gavię«,” podkreśla kmdr por. Sikora. Gavia to nowoczesny pojazd podwodny, który rejestruje zalegające na dnie obiekty. Dzięki jego parametrom marynarze z bardzo dużym prawdopo-

dobieństwem mogą stwierdzić, czy mają do czynienia z miną. „Oczywiście nowoczesny sprzęt to nie wszystko. Potrzebni są jeszcze ludzie, którzy znają się na swojej pracy i swoją pasją potrafią zarazić innych”, podkreśla kmdr por. Sikora. Tacy jak kmdr ppor. Dziugan. Potwierdza to kpt. mar. Kacper Sterne, zastępca dowódcy ORP „Kormoran”: „Michał jest spokojny i wyważony, a przy tym otwarty na argumenty innych. Od siebie wymaga zawsze więcej niż od pozostałych. I właśnie taką postawą potrafi wykrzesać ze swoich ludzi to, co w nich najlepsze”.

Kiedy został dowódcą „Kormorana”, do gdańskiej stoczni jeździł niemal codziennie. I tak jak przewidzieli jego przełożeni: miał ogromny udział w jego budowie. „W sumie dzięki naszym marynarzom do projektu udało się wprowadzić ponad 3,5 tys. różnego rodzaju poprawek”, przyznaje kmdr por. Sikora. Doprowadzili oni na przykład do zamontowania dodatkowego WKM-u na rufie, by załoga mogła się lepiej bronić przed ewentualnymi atakami szybkich łodzi.

„Bywało, że podczas budowy okrętu spieraliśmy się z pracownikami stoczni czy Centrum Techniki Morskiej. Zawsze jednak udawało się dojść do porozumienia. W sumie więc współpraca układała się naprawdę nieźle”, podkreśla kmdr ppor. Dziugan. W swoim poglądzie nie jest odoosobniony. „Współpraca z grupą organizacyjno-przygotowawczą ORP »Kormoran« była przez nas wielokrotnie przedstawiana jako wzorcowa”, zaznacza Bartłomiej Pomierski. Jak dodaje, to model dla przyszłej współpracy między zbrojeniówką a wojskiem.

Kmdr ppor. Dziugan: „Mam poczucie, że brałem i ciągle jeszcze biorę udział w fantastycznej przygodzie. Pochloneła mnie ona tak mocno, że nawet żona czasem żartuje: »Mam w domu czworo dzieci. Troje naszych wspólnych i ciebie«. A ja sobie myślę, że czworo dzieci mam także ja – troje w domu. I czwarte – »Kormorana«”. ŁŻ ■

GENERAL BRONI

Andrzej Fałkowski

2017
BUZDYGANY

ZA WYGRANE BITWY NA POLU DYPLOMACJI

W dzieciństwie, jak większość chłopców, gen. broni Andrzej Fałkowski chciał zostać marynarzem, pilotem lub Jankiem z „Czterech pancernych”. Los chciał jednak inaczej. Skończył Wyższą Szkołę Oficerską Służb Kwatermistrzowskich w Poznaniu, studia na Wydziale Ekonomii Uniwersytetu Gdańskiego i obronił doktorat z nauk ekonomicznych na Uniwersytecie Łódzkim. „Ostatecznie zostałem wojskowym finansistą i dyplomata”, mówi gen. broni Andrzej Fałkowski, dziś polski przedstawiciel wojskowy przy Komitetach Wojskowych NATO i UE. Dzięki temu jednak, że skończył szkołę oficerską z trzecią lokatą miał prawo wyboru rodzaju sił zbrojnych, w którym chciał służyć, i zdecydował się na marynarkę wojenną. Dostał przydział do 3 Pułku Zabezpieczenia Dowództwa MW w Gdyni.

Dzięki temu nosił wymarzony mundur marynarski przez następne 24 lata, aż do momentu objęcia funkcji dyrektora Departamentu Budżetowego MON i awansu na stopień generała

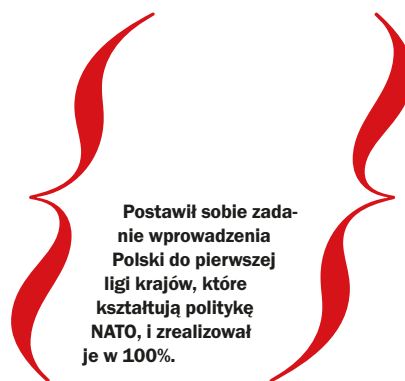
brygady. „Kiedy żona po raz pierwszy zobaczyła mnie w zielonym mundurze, powiedziała, że takiego mnie nie zna i nie chce”, śmieje się generał. Ze służbą nad morzem rozstał się jednak już po niespełna trzech latach, kiedy został przeniesiony do Warszawy. Najpierw w Departamencie Finansów MON przeszedł drogę od aspiranta do szefa Oddziału Systemów Finansowania, następnie został zastępcą dyrektora Departamentu Ekonomicznego tego resortu, a w latach 2006–2008 kierował Departamentem Budżetowym MON.

„Gen. Fałkowski to żołnierz trzeźwo myślący, konkretny, z praktycznym podejściem do życia”, opowiada Jarosław Rybak, rzecznik MON-u za czasów ministra Aleksandra Szczygły. Jak dodaje, podczas narad kierownictwa resortu generał zawsze studził nierealne plany, mówiąc, że najpierw trzeba na nie znaleźć fundusze. Swoje pomysły dotyczące polskiego budżetu wojskowego generał opisał w książce „Pecunia Nervus Belli”.

Podczas służby w Warszawie żołnierski los skierował go także dwukrotnie do Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Najpierw



ARCHIWUM A. FAŁKOWSKIEGO



Postawił sobie zadanie wprowadzenia Polski do pierwszej ligi krajów, które kształtują politykę NATO, i zrealizował je w 100%.

gen. Fałkowski był tam zastępcą szefa Generalnego Zarządu Planowania Strategicznego P5, a w 2013 roku został zastępcą szefa SGWP. Dyplomatyczne szlify natomiast zdobywał od 1998 roku w Stałym Przedstawicielstwie RP przy NATO i Unii Zachodnioeuropejskiej w Brukseli. Do Belgii wrócił w 2008 roku jako zastępca dyrektora Międzynarodowego Sztabu Wojskowego NATO ds. Logistyki i Zasobów. Kolejne dwa lata spędził za oceanem jako attaché obrony, wojskowy, morski i lotniczy przy polskiej ambasadzie w Waszyngtonie.

„Dyplomacja była dla mnie wyzwaniem. Jestem introwertem i musiałem pracować nad sobą, aby być bardziej otwartym, nauczyć się zdobywać serca i dusze rozmówców”, opowiada generał. Uczył się świata dyplomacji, umiejętności okazywania zrozumienia dla każdego ze stanowisk, a jednocześnie skutecznego przedstawiania tego, co jest najważniejsze dla naszego kraju.

W połowie 2014 roku został polskim przedstawicielem wojskowym przy komitetach wojskowych NATO i Unii Europejskiej. Reprezentuje tam szefa SGWP i interesy polskich sił zbrojnych. „Obejmując to stanowisko, generał postawił sobie ambitne zadanie wprowadzenia Polski do pierwszej ligi krajów, które kształtują politykę sojuszu i zrealizował je w 100%. Dziś Polska liczy się przy stole dyskusyjnym w NATO i jest liderem wśród

państw wschodniej flanki”, zaznacza ppłk Krzysztof Paliwoda, szef Sekretariatu Polskiego Przedstawiciela Wojskowego przy KW NATO i UE.

Ppłk Paliwoda podkreśla jednocześnie wkład generała w organizację szczytu NATO w Warszawie oraz prezentację tam polskich priorytetów, w tym kwestii bezpieczeństwa wschodniej flanki NATO. Efektem tych zabiegów było podpisanie dokumentów dotyczących m.in. obecności w Polsce Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej z USA oraz grupy bojowej NATO. „To, że dziś moi żołnierze szkolą się i współpracują z Wielonarodową Batalionową Grupą Bojową NATO stacjonującą w Polsce, to zasługa gen. Fałkowskiego”, mówi gen. bryg. Jarosław Gromadziński, dowódca 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej. Dodaje, że generał to wzór dyplomaty, który umie działać skutecznie tam, gdzie wypracowuje się kluczowe decyzje dotyczące sojuszu.

Także zwierzchnicy docenili dyplomatyczne osiągnięcia gen. Fałkowskiego i kadencję w Brukseli przedłużano mu już dwukrotnie. „W marcu definitywnie kończę tam służbę i wracam do domu. Żona wybudowała go pięć lat temu, a ja z przerwami mieszkalem w nim tylko 11 miesięcy”, mówi generał. Jak wylicza, na różnych stanowiskach zagranicznych spędził już 14 lat, w tym dziewięć w rozłące z żoną. „Czas trochę zwolnić”, dodaje, choć przyznaje jednocześnie, że służba w dyplomacji uzależnia.

„Będzie brakować generała w Brukseli”, mówi ppłk Paliwoda. Jak dodaje, gen. Fałkowski słynie tam z tego, jak otwarcie podchodzi do rozmówców i szybko skracą dystans, a także ze specyficznego poczucia humoru podszytego sarkazmem i autoironią, ale też pełnego sympatii dla innych. „Dzięki temu jest lubiany i każdy już po chwili znajomości czuje, że mógłby z generałem śmiało konie kraść”, śmieje się oficer. AD ■

KSIĄDZ PORUCZNIK

Marek Rycio

2017
BUZDYGANY

ZA POSŁUGĘ KAPELANA, KTÓRA WYMYKA SIĘ SCHEMATOM

Był komandosem, ale po kilkunastu latach służby wstąpił do seminarium i został duchownym. Dziś ks. por. Marek Rycio, kapelan garnizonu Olsztyn i garnizonu Lidzbark Warmiński, służy zarówno Bogu, jak i ojczyźnie. „To człowiek o wielu zaletach, umie zjednać sobie ludzi, świetnie rozumie żołnierzy”, mówi płk Tomasz Łysek, były dowódca 9 Warmińskiego Pułku Rozpoznawczego.

Przygoda z wojskiem rozpoczęła się od marzeń nastolatka. Pociągały go mundur i wojskowy dryl. Po maturze wstąpił do Szkoły Chorążych Wojsk Zmechanizowanych przy Centralnym Ośrodku Szkolenia Wojsk Lądowych im. Rodziny Nalazków w Elblągu. Już wtedy myślał o służbie w wojskach specjalnych. Dlatego, realizując swoje marzenia, jako wyróżniający się absolwent rozpoczął służbę w plutonie kadrowym w 62 Kompanii Specjalnej Commando w Bolesławcu. Mł. chor. Marek Rycio nauczył się wówczas znakomicie strzelać i doskonalił się w sztukach walki (dziś ma 3 dan w jujitsu). Zdobył uprawnienia instruktora

ra wspinaczki wysokogórskiej i ratownictwa z powietrza. „Wszystko robił na 120% i nieustannie podnosił sobie poprzeczkę”, wspomina płk Łysek. Ksiądz przyznaje, że zawsze starał się być najlepszy. Był twardym dowódcą, ale najczęściej wymagał przede wszystkim od siebie. W biegu na 10 km z oprzyrządowaniem zawsze był przed żołnierzami.

Wiedzą i doświadczeniem chętnie dzielił się z innymi, zdobywając dzięki temu uznanie i szacunek. W Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu, gdzie trafił po rozwiązaniu 62 Kompanii, został dowódcą grupy specjalnej, instruktorem i wychowawcą młodych pokoleń specjalsów. „Kadeci nazywali go killerem, bo nie odpuszczał. Bardzo serio traktował wojsko”, dodaje płk Łysek. Ksiądz Rycio ma dziś 48 lat, a w wielu sportowych konkurencjach nie są w stanie dorównać mu dwudziestolatkowie. Nadal jest szczupły, sprawny, wysportowany. Świetnie wygląda w mundurze, tyle że teraz nosi do niego koloratkę.

Po latach służby chor. Marek Rycio odszedł z wojska. Nie wyjaśnia przyczyn takiej decyzji, mówi tylko o spotkaniu z Bogiem. Zapewnia,



Swoją charyzmą
i świadectwem wła-
snego życia przeko-
nuje nas, że trzeba
sięgać po rzeczy
niemożliwe po to, by
nie ustawać w dro-
dze, lecz mobilizo-
wać siły do walki
z własnymi słabo-
ściami.

PAWEŁ WILK/9 PUŁK
ROZPOZNAWCZY

że zawsze głęboko wierzył, a modlitwa towarzyszyła mu przez całe życie. Był już dojrzałym człowiekiem, gdy w 2003 roku rozpoczął sześcioletnie studia na kierunku filozofia i teologia w Wyższym Seminarium Duchownym w Siedlcach. Ukończył je oczywiście jako jeden z najlepszych. Tam również propagował sportowego ducha – prowadził z klerykami zajęcia z WF-u i walki wręcz. Potem pełnił posługę duszpasterską w różnych parafiach, wszędzie pozostawiał po sobie wspomnienie ofiarnej i pełnej zaangażowania posługi.

Ciągnęło jednak wilka do lasu. W 2010 roku wrócił do wojska. W Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Łądowych we Wrocławiu ukończył kurs oficerski. Wykładowcy szybko go docenili, a jako instruktor nawet pomagał im w prowadzeniu zajęć. Kurs ukończył oczywiście z pierwszą lokatą. W mundurze z koloratką trafił do parafii wojskowej w Bielsku-Białej. W 18 Batalionie Powietrznodesantowym, podobnie jak w poprzednich jednostkach, nie tylko pełnił posługę kapłańską, lecz także wspomagał dowódcę w prowadzeniu zajęć. Komandosi z batalionu od razu dostrzegli w kapelanie bratnią duszę. Równie serdecznie przyjęli go zwiadowcy z 9 Pułku Rozpoznawczego w Lidzbarku Warmińskim, gdzie trafił w 2016 roku i stworzył wojskowy ośrodek duszpasterski.

Mjr Józef Paradowski, dowódca Grupy Rozpoznania Radioelektronicznego w Lidzbarku Warmińskim, podkreśla, że Rycio jest skromnym człowiekiem. „Jest księdzem z powołania, ale ma w sobie żołnierskiego ducha. Zna służbę wojskową od podszewki. Wyjeżdża na poligony, odprawia msze polowe. Wie, co gra w żołnierskiej duszy. Żołnierze mają do niego zaufanie, otwierają się przed nim”, opowiada. Gdy ksiądz Rycio odprawia mszę, kościół zapelnia się wiernymi. Ma niezwykłą umiejętność przyciągania ludzi, szczególnie młodzieży, która chętnie przychodzi słuchać jego kazań. „Nadajemy na tych samych falach”, przyznaje kapelan.

Ksiądz Rycio chętnie spotyka się z żołnierzami niezłomnymi, którzy są zadowoleni, bo wreszcie – jak mówią – mają swojego kapelana. Obdarzyli go zaufaniem, chcą mu przekazać swoje pamiętniki, zapraszają na spotkania w domach. Dzięki inicjatywie księdza dostali mundury wojskowe, poczuli się docenieni. Walczyli o Polskę, a zostali zapomniani, dziś są zapraszani na wojskowe i kościelne uroczystości. „Ksiądz Rycio swoją charyzmą, podejściem do człowieka i świadectwem własnego życia przekonuje nas, że trzeba sięgać po rzeczy niemożliwe po to, by za jego przykładem nie ustawać w drodze, lecz mobilizować siły do walki z własnymi słabościami”, podsumowuje płk Łysek. MSch ■

Sikor

2017
BUZDYGANY



ZA PRZEKAZYWANIE ŻOŁNIERZOM TAJNIKÓW RATOWANIA ŻYCIA

Najambitniejszy operator, jakiego znam. Dla wielu jest wzorem. Cały czas się szkoli, zwiększa swoje kompetencje, ale dba też o rozwój innych żołnierzy”, mówi „Modi”, dowódca grupy specjalnej i bezpośredni przełożony „Sikora”. „Gdyby kiedykolwiek ktoś miał mi udzielać pomocy na polu walki, to chciałbym, aby to był właśnie »Sikor«. Jestem pewien, że zrobiłby to najlepiej”, dodaje medyk st. sierż. rez. Krzysztof Pluta „Wir”, eks-komandos z Lublińca.

„Sikor” jest jednym z dwóch Polaków, którzy ukończyli zaawansowany kurs dla medyków sił specjalnych USA (Special Operations Combat Medic – SOCM). I jako jedyny współtworzył program szkolenia medyków w Międzynarodowym Centrum Szkoleniowym Sił Specjalnych NATO w Niemczech. „Znam go od wielu lat i doskonale pamiętam, że już w czasie zasadniczej służby wojskowej wyróżniał się wśród żołnierzy. Jest zdeterminowany i inteligentny. I co ważne, unikatową wiedzę, którą zdobył na różnego rodzaju kur-

sach, z powodzeniem implementuje w naszej jednostce”, przyznaje ppłk Michał Strzelecki, dowódca Jednostki Wojskowej Komandosów (JWK).

„Jak trafiłeś do Lublińca? Przez przypadek?”, pytam podczas spotkania. „Nic podobnego”, odpowiada z uśmiechem. Już jako nastolatek należał do Związku Strzeleckiego „Strzelec” i chciał służyć w armii. Kiedyś na jeden z obozów przyjechali dziennikarze i zapytali go przed kamerą, o czym marzy. Dwunastoletni wówczas „Sikor” bez zastanowienia odpowiedział: o służbie w jednostce specjalnej. Osiem lat później włożył mundur i dołączył do lublinieckiej elity.

W czasie służby czterokrotnie wyjeżdżał na misje: dwa razy do Iraku i dwa razy do Afganistanu. Jednak ta pierwsza była szczególna i określiła jego wojskową przyszłość. W 2004 roku w Iraku „Sikor” został ciężko ranny. „Prowadziliśmy rozpoznanie w Karbali. Nasz patrol wpadł w zasadzkę. Byliśmy ostrzeliwani z broni maszynowej i granatników. Wtedy dostałem dwie kulki”, wspomina. Najpierw został postrzelony w ucho. Kula przeszła przez



ARCHIWUM „SIKORA”

Wziął udział w czterech misjach i dziesiątkach operacji specjalnych. Uratował życie kilkunastu osobom, a kilkadziesiąt innych uczył medycyny taktycznej.

małżowinę i przebiła na wylot hełm. Poczuł silne uderzenie i pisk w uchu. Gdy spadł mu hełm, przetarł ręką zakrwawione ucho i strzelał dalej w stronę przeciwnika. Chwilę później został trafiony drugi raz. Kula przeszła przez bark. „Poczułem gorącą strugę krwi pod kamizelką i paraliż ręki. W ogóle nie wiedziałem, co robić w takiej sytuacji, ale medycy, którzy mną się zajmowali, też nie byli profesjonalistami”, wspomina „Sikor”. „Wierzę, że dziś udzieliliby mi pomocy o wiele lepiej. Bo chociaż wtedy robili, co mogli, to wiem, że działali w niewłaściwy sposób”, przyznaje. Mimo poważnej rany odmówił powrotu do kraju. Spędził kilka tygodni w szpitalu i wrócił do służby. Za męstwo i wzorową postawę na polu walki został wyróżniony Orderem Krzyża Wojskowego. Jako jeden z pierwszych żołnierzy wyróżnionych tym odznaczeniem jest też członkiem kapituły orderu.

Dwa lata po zdarzeniu na misji postanowił, że sam zostanie medykiem i ukończył studia w tym kierunku. Jest absolwentem wielu krajowych i zagranicznych kursów. Do tych najważniejszych zalicza półtoraroczne szkolenie SOCM. „W Stanach uczyłem się medycyny na nowo. Zobaczyłem, na jakim poziomie są medycy sił specjalnych i bardzo chciałem być jednym z nich. Dziś wiem, że umiejętności, które mam, nie powinny być czymś wyjątkowym. Tak naprawdę to ma być stan-

dard dla medyka sił specjalnych”, mówi. „Sikor” w USA uczył się podwiązywania żył, odbarczał odmě, a także ćwiczył konikotomię (chirurgiczne udrożnienie dróg oddechowych). Uczył się także postępowania w przypadku wstrząsów, ran postrzałowych i kłutych, poparzeń i złamań.

Swoich umiejętności na szczęście nie musiał testować na kolegach z jednostki. Jednak służąc już jako medyk w Afganistanie, uratował życie kilkunastu osobom. Podczas ostatniej jego zmiany pod Hindukuszem był głównym medykiem zgrupowania sił specjalnych SOAT (Special Operations Advisory Team) i dyżurował w nатовskim szpitalu w Kandaharze. Tam szkolił też medyków z afgańskich pododdziałów policji.

Swoją wiedzę cały czas przekazuje innym. Przez ostatnich kilka lat wyszkolił z medycyny kilkadziesiąt osób, w tym operatorów JWK. „Jestem dumny z ludzi, z którymi służę. Żołnierze z JWK ciągle doskonalą swoje umiejętności, dlatego ta jednostka tak dobrze się rozwija”, podkreśla. Szkolił żołnierzy innych jednostek, policjantów, ratowników cywilnych, lekarzy i pielęgniarki. Jest współtwórcą programów szkoleniowych z medycyny taktycznej w Centrum Symulacji Medycznej Wojskowego Instytutu Medycznego. Co najważniejsze, jako jedyny Polak został zaproszony do pracy w Międzynarodowym Centrum Szkoleniowym Sił Specjalnych NATO w Niemczech. Tam nie tylko szkolił medyków z różnych krajów (w tym dwóch z Polski), lecz także miał wkład w przygotowanie programu nauczania. „Wiem, że medycyna wymaga wielu poświęceń, nieustannego doskonalenia się i praktyki. Zostałem instruktorem na kursie NATO SOCM, bo dzięki temu miałem wpływ na poziom szkolenia swoich młodszych kolegów. Chcę, by medycyna taktyczna była w Polsce na najwyższym poziomie”, mówi „Sikor”. MKS ■

PROFESOR

Krzysztof Szwagrzyk

2017
BUZDYGAN

ZA PRZYWRACANIE TOŻSAMOŚCI BOHATEROM SKAZANYM NA ZAPOMNIENIE

Chcieli nas zakopać. Nie wiedzieli, że jesteśmy ziarnem”, zdają się mówić dziś żołnierze niezłomni, którzy zginęli przed laty. Prof. Krzysztof Szwagrzyk i zespół, którym kieruje, przywraca im tożsamość. I za to kapituła Buzdyganów przyznała mu nagrodę „Polski Zbrojnej”. Trzy lata temu jego działalność docenił także prezydent RP Andrzej Duda, wręczając Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne osiągnięcia w dokumentowaniu i upowszechnianiu prawdy o najnowszej historii Polski”.

Krzysztof Szwagrzyk jest historykiem, absolwentem Uniwersytetu Wrocławskiego. Na tej uczelni w 1996 roku uzyskał stopień naukowy doktora nauk humanistycznych, specjalność – historia najnowsza. W 2007 roku habilitował się na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Zielonogórskiego. Jest profesorem nadzwyczajnym Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, a od 2016 roku także wiceprezesem Instytutu Pamięci Narodowej oraz p.o. dyrektorem Biura Poszukiwań i Identyfikacji Instytutu Pamięci Narodowej.

O tym, że zaczął szukać miejsc, gdzie grzebane były ofiary antykomunistycznego podziemia, zdecydowało wydarzenie z 1990 roku. Na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu na kwaterach 81a i 120 odbył się wówczas symboliczny pogrzeb ofiar komunizmu. Odsłonięto poświęcony im pomnik – ponad sto kamiennych krzyży ze znakiem Polski Walczącej, ale bez imion i nazwisk. „Wtedy pomyślałem: dlaczego nie szukamy tych, którzy gdzieś tutaj zostali pogrzebani?”. Trzeba było, jak w wierszu Zbigniewa Herberta, „policzyć dokładnie, nazwać po imieniu i opatrzyć na drogę”.

Poszukiwania i ekshumacje stały się możliwe dopiero w 2003 roku, gdy powstał IPN. Wtedy na Cmentarzu Osobowickim zespół, którego pracami kierował Krzysztof Szwagrzyk, odnalazł pierwsze szczątki – kpt. Włodzimierza Pawłowskiego „Kresowiaka”, skazanego i zamordowanego w 1953 roku. Przez kolejne lata kierował ekshumacjami m.in.: na „Łączce” na warszawskim Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, na cmentarzu na Służewcu. „Prof. Szwagrzyk nie lubi formalizmu i urzędniczych barier. Wyznacza cel i wytrwale go reali-



MICHAŁ NIEWICZ

zuje, zawsze jednak słucha argumentów i wspólnie ustala strategię. Jest wymagający wobec współpracowników, ale ceni odwagę i samodzielność”, mówi Anna Szeląg, zastępca dyrektora Biura Poszukiwań i Identyfikacji.

Bilans kilkunastoletnich poszukiwań to kilkadziesiąt przebadanych miejsc na terenie całego kraju, a od 2017 roku także na dawnych Kresach. „Odnaleźliśmy ponad tysiąc szczątków w kraju i za granicą, zidentyfikowaliśmy kilkadziesiąt osób, wielu zostało pochowanych godnie i z honorami, m.in. mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, mjr Hieronim Dekutowski „Zapora”, ppor. Feliks Selmanowicz „Zagończyk” czy Danuta Siedzikówna „Inka”, wylicza Krzysztof Szwagrzyk.

Anna Szeląg opowiada, że żywiołem jej szefa jest praca w terenie, gdy odkrywając kolejne warstwy ziemi, może on weryfikować ustalenia poczynione w zacyzu archiwum, dokonywać analiz, szukać rozwiązań, snuć hipotezy, potwierdzać je lub obalać. Monika Mużacz-Kowal, p.o. naczelnik Wydziału Identyfikacji w Biurze Poszukiwań i Identyfikacji IPN, twierdzi, że profesor swobodniej czuje się w roboczym kombinezonie, ze szpadlem w dłoni podczas prac poszukiwawczych niż w garniturze za biurkiem. „Dla wojskowych byłby świetnym przykładem wzorowego dowódcy, który dba o swoich podkomendnych. Czasami nazywamy samych siebie szwadronami

Jak on to robi, że człowiek zapomina o zmęczeniu i słabościach, a zyskuje poczucie, że robi coś wielkiego?

prof. Szwagrzyka”. Anna Szeląg uważa, że oprócz wytężonej pracy, tysięcy kart przeanalizowanych dokumentów i setek relacji, profesorowi często po prostu dopisuje szczęście. Jego współpracownicy żartują, że gdy poszukiwania wydają się beznadziejne, ale ma przyjechać szef, to zespołowi powraca wiara, że jednak uda się coś odnaleźć.

Tak było we wrześniu 2017 roku, gdy odwiedził współpracowników poszukujących mogił żołnierzy na Białorusi. Z wykrywaczem metalu w rękę dołączył do ekipy, ale szukał w miejscu, gdzie nie planowano odwiertów. Wkrótce pośrodku pola kołchozowego odnalazł guzik z orzełkiem i orzełka od czapki wojskowej z utraconym skrzydłem. Następnego dnia w tym miejscu odkopano mogiłę ze szczątkami pięciu żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza, poległych z rąk NKWD we wrześniu 1939 roku. „Parafrazując dewizę żołnierzy brytyjskich z tzw. gangu magików operującego w Afryce, można powiedzieć, że Krzysztof Szwagrzyk rzeczy niemożliwe załatwia od razu, na cuda trzeba trochę poczekać”, podsumowuje Anna Szeląg.

„To wyjątkowy Buzdygan, bo i człowiek jest wyjątkowy”, mówi o tej nagrodzie st. sierż. rez. Tomasz Sawicki, ubiegłoroczny laureat, który jako wolontariusz pomagał w poszukiwaniach szczątków jeńców wojennych z 1939 roku w Bornem Sulimowie. „Jak on to robi, że człowiek zapomina o zmęczeniu i słabościach, a zyskuje poczucie, że robi coś wielkiego?”, zastanawia się Sawicki. O pasji, którą profesor wszystkich zaraża, mówi także Monika Mużacz-Kowal. „Jego optymizm i charyzma mobilizują do działania na rzecz wspólnej sprawy”, dodaje Anna Szeląg i podkreśla „wyjątkową cierpliwość i empatię, jaką wykazuje w stosunku do innych, w szczególności rodzin ofiar, na których zbrodnie totalitaryzmu odcisnęły największe piętno”. Krzysztof Szwagrzyk przyznaje, że chociaż członkowie jego zespołu jako naukowcy patrzą na świat za pomocą szkiełka i oka, to trudno powstrzymać emocje, gdy siedemdziesięciolatek pyta: „Czy odnajdzie pan mojego tatę?”. Nie da się uniknąć wzruszenia, gdy wyjmują z dołów śmierci splecione korzeniami drzew kości i przestrzelone czaszki.

Krzysztof Szwagrzyk zamierza kontynuować poszukiwania. Ma nadzieję, że wśród odnalezionych na Łączce są szczątki gen. Augusta Fieldorfa „Nila” i rtm. Witolda Pileckiego. Dlatego na łamach jednego z dzienników złożył szefowi Kedywu Komendy Głównej AK meldunek: „Jesteśmy blisko, Panie Generale”. MSch

PODPUŁKOWNIK

Jarosław Wyszecki

2017
BUZDYGANY

ZA ZMIANĘ POLIGONU ANALOGOWEGO W CYFROWY

Wywodzi się z rodziny o wojskowych tradycjach – jego dziadek walczył w czasie II wojny światowej, a ojciec był czołgistą – ale sam nie myślał o tym, aby swoje życie związać z armią. „Marzyła mi się praca w mundurze, ale leśnika. Dlatego chciałem kontynuować naukę w pomaturalnym studium w Tucholi”, wspomina ppłk Jarosław Wyszecki. Kiedy absolwent technikum jechał na uczelnię, by złożyć dokumenty, zatrzymał się w Wejherowie. Tam kilka godzin czekał na autobus. „Na dworcu spotkałem kolegę, czołgistę, który z przepustki wracał do jednostki w Żaganiu”. Chwila rozmowy z nim na tyle zainteresowała Jarosława Wyszeckiego, że poszedł do znajdującej się w pobliżu wojskowej komendy uzupełnień. W efekcie trafił do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych w Poznaniu. „No i tak zostałem kolejnym czołgistą w rodzinie”, śmieje się oficer.

Studia na kierunku dowódczym ukończył w 1990 roku. Tuż po nich został skierowany do 7 Brygady Obrony Wybrzeża. Po czterech la-

tach trafił do 16 Brygady Zmechanizowanej. Służbę rozpoczął od stanowiska dowódcy plutonu, następnie był dowódcą kompanii i batalionu czołgów. W 2002 roku ukończył Akademię Obrony Narodowej. Po kolejnych doświadczeniach, m.in. na III zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Iraku czy jako dowódca batalionu w 16 BZ, w 2010 roku został komendantem Ośrodka Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych Orzysz w Bemowie Piskim.

Nie była to jednak pierwsza wizyta na tym poligonie. „Po raz pierwszy przyjechałem tu w 1991 roku. Znałem ten poligon doskonale i od razu wiedziałem, co należy zrobić, aby go zmienić”, opowiada. A zmian na liczącym prawie 17 tys. ha terenie było niemało. „Przez siedem lat dzięki ciężkiej pracy przeobraził stary Ośrodek w nowoczesny poligon, dostosowując go do potrzeb współczesnego pola walki. Ppłk. Wyszeckiego można porównać do Kazimierza Wielkiego, który zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną”, napisał gen. bryg. Jarosław Gromadziński, dowódca 15 Brygady Zmechanizowanej, we wniosku o przyznanie Buzdygana pułkownikowi.



ELWIRA ZADROGA / OSP WL ORZYSZ

I rzeczywiście, chociaż ppłk Wyszecki jest człowiekiem skromnym, kiedy zaczyna mówić o swoich projektach, to się ożywia. „Zakończyliśmy budowę nowoczesnego parku sprzętu technicznego dla 150 leopardów i 200 rosomaków”, opowiada. „Zmodernizowaliśmy także remizę Wojсковей Straży Pożarnej. Zbudowaliśmy nowoczesny punkt ładowania akumulatorów na potrzeby pól tarczowych, myjni pojazdów kołowych, warsztat poligonowy, dwa place postojowe oraz kompleks boisk sportowych i siłownię. Oprócz tego wyremontowaliśmy warsztat kompanii zabezpieczenia i wiele budynków, m.in. te, w których mieszczą się klub i sala tradycji, a także pomieszczenia służby dyżurnej z lokalnym centrum nadzoru. Teraz trwa budowa stołówki dla 2 tys. osób”. To jednak nie wszystko. W fazie projektu są m.in.: dostosowanie budynków do zabezpieczenia ćwiczeń szczebla dywizji i brygady, budowa dwustanowiskowego lądowiska dla śmigłowców, nowoczesnego stanowiska dowodzenia na pasie ćwiczeń taktycznych, ośrodka zurbanizowanego do szczebla plutonu, nowoczesnej hali sportowej, a także modernizacja pasa ćwiczeń taktycznych i rzutni granatów bojowych. „To wszystko wynika z naszych potrzeb, ale jeśli otrzymam zgodę przełożonych, chętnie zajmę się kolejnymi inwestycjami”, żartuje oficer. Dzięki dziesiątkom takich przedsięwzięć Ośrodek Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych

Jest nie tylko dowódcą, ale też prawdziwym gospodarzem, dokładnie wie, jak ten poligon ma wyglądać.

stał się siedzibą Batalionowej Grupy Bojowej NATO, która od roku stacjonuje na Mazurach. W opinii kolejnych dowódców BGB, Ośrodek umożliwia wykonywanie zadań szkoleniowych podobnych do tych, które były realizowane w Niemczech. Co więcej, ppłk Steven E. Gventer, dowódca pierwszej zmiany BGB, na koniec służby w Polsce powiedział, że marzeniem jego przełożonych w armii Stanów Zjednoczonych jest to, by Ośrodek stał się głównym poligonem wojsk USA i NATO w Europie.

W Bemowie Piskim, mimo obecności prawie 1200 żołnierzy sojuszników armii, przez cały czas odbywają się także ćwiczenia narodowe. „Korzystamy z tej infrastruktury na co dzień. Płk Wyszecki chętnie słucha o naszych potrzebach i na tej podstawie tworzy warunki przyjazne dla żołnierzy”, mówi gen. Gromadziński. „Wiele projektów, które wdrażał, było innowacyjnych w Wojsku Polskim. Śmiało można powiedzieć, że ten poligon ze sfery analogowej wyrósł w cyfrową”.

Podobną opinię ma płk Dariusz Kujawa, komendant 24 Wojskowego Oddziału Gospodarczego z Giżycka. „On jest nie tylko dowódcą, lecz także prawdziwym gospodarzem, dokładnie wie, jak ten poligon ma wyglądać. Mam tu na myśli nie tylko Ośrodek, lecz także otaczające go lasy czy pola. Komendant dba bowiem o ochronę środowiska”, podkreśla płk Kujawa.

Ciepłych słów na temat ppłk. Jarosława Wyszeckiego nie szczędzi także Marcin Korowaj, prezes Zarządu Fundacji Combat Alert, która od kilku lat na poligonie w Bemowie Piskim organizuje manewry dla organizacji proobronnych. „W Ośrodku ciągle odbywają się ćwiczenia i mogłoby się wydawać, że nie będzie tam już dla nas miejsca. Mimo to ppłk Wyszecki zawsze miał dla nas czas i wspierał nasze działania”, mówi Korowaj.

Sam pułkownik nie uważa, że dokonał czegoś wyjątkowego: „Wiem, że ta nagroda jest przyznawana konkretnej osobie, ale moim zdaniem należy się ona Ośrodkowi. Ja jestem tylko jednym z ogniw całego zespołu, który wykonuje masę zadań związanych z zabezpieczeniem szkolenia dla pododdziałów narodowych i sojuszników”. MM ■

Tomasz Sanak

2017
BUZDYGANY



WYRÓŻNIONY
PRZEZ
INTERNAUTÓW

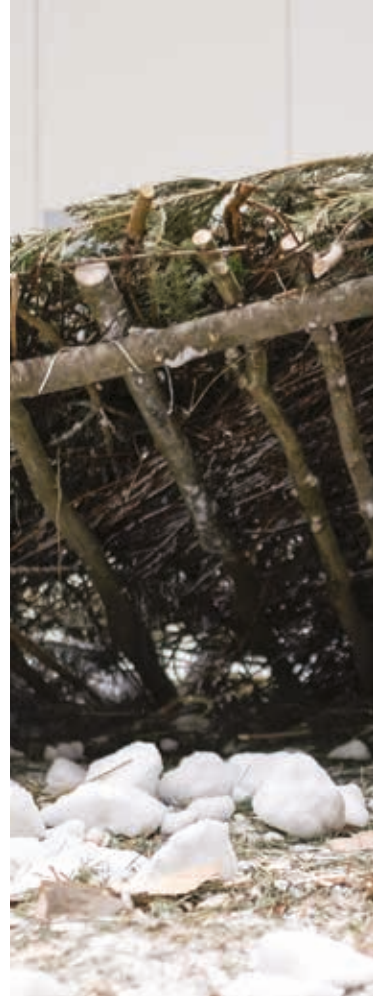
T

omek jest bardzo dobrym ratownikiem i dydaktykiem. Inspiruje zespół do działania, bo ciągle poszukuje nowych rozwiązań, które mogą mieć zastosowanie w medycynie taktycznej”, mówi płk dr n. med. Robert Brzozowski, twórca Zakładu Medycyny Pola Walki Wojskowego Instytutu Medycznego, a dziś kierownik Kliniki Chirurgii Ogólnej 5 Wojskowego Szpitala Klinicznego w Krakowie. „Ma zacięcie naukowe, a do tego rewelacyjnie prowadzi zajęcia i ma doskonały kontakt ze studentami”, dodaje dr hab. n. med. Tomasz Darocha ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego.

Dr Tomasz Sanak jest cywilem, który dziecięć lat temu związał się z armią. Jak sam przyznaje, stało się to trochę przez przypadek: „Mój Afganistan zaczął się w 2007 roku. Stałem w korku samochodowym w Warszawie i zobaczyłem w prasie ogłoszenie o tym, że centrala wojskowych misji pokojowych poszukuje tłumaczy, lekarzy i ratowników medycznych do zabezpieczenia polskich kontyngentów wojskowych. Powiedziałem sobie wtedy, że muszę

tam być. Teraz wiem, że była to najlepsza decyzja w moim życiu”, przyznaje.

Tomasz Sanak pochodzi z małopolskich Targanic. Z medycyną związał się już po maturze. Początkowo studiował radiologię, a potem przeniósł się na ratownictwo medyczne. Zaraz po obronieniu dyplomu rozpoczął pracę w firmie medycznej, dla której prowadził kursy edukacyjne dotyczące pierwszej pomocy przedmedycznej czy zaawansowanych zabiegów resuscytacyjnych. Rozpoczął także dyżury w pogotowiu i jeździł karetką. W 2007 roku odpowiedział na ogłoszenie armii. Po kilku miesiącach od rozmowy rekrutacyjnej dowiedział się, że jest dla niego miejsce w składzie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. „Byłem przekonany, że jestem gotowy do pracy na misji, choć tak naprawdę nie miałem pojęcia, czym jest medycyna pola walki. W Afganistanie okazało się, że nie wszystko jest takie proste. Bo w Polsce ratownik medyczny czy żołnierz nie mogą udzielać pomocy w środowisku niebezpiecznym. A na misji trzeba ją nieść nawet wtedy, gdy ryzyko kontaktu ogniowego jest bardzo duże”, wspomina.





MICHAŁ ZIELIŃSKI

Podczas służby w Afganistanie brał udział w konwojach, patrolach, chodził z żołnierzami w góry. Kilkakrotnie znalazł się w sytuacji, gdy ostrzelano patrol, w którym jechał, a raz był świadkiem, kiedy jadący przed nim transporter został uszkodzony po wybuchu „ajdika”. „Bałem się, bo miałem poczucie, że jestem bezbronny – raz że nie miałem broni, a dwa że ona i tak na niewiele by mi się zdała, bo większość zdarzeń, do jakich dochodziło, to eksplozje pod wozami. Na szczęście potrafiłem opanować lęk i włączało mi się myślenie tunelowe. Robiłem to, co do mnie należało, nie zastanawiałem się nad tym, co dzieje się obok”, wspomina.

Na kolejne zmiany jechał, bo, jak twierdzi, misja uzależnia. Dyżurował w szpitalu i latał śmigłowcem CASEVAC, na pokładzie którego transportowano ciała poległych z prowincji Ghazni. „Do dziś przed oczami mam sytuację ze szpitala, kiedy razem z pielęgniarką zszywaliśmy rozerwane na kawałki ciało żołnierza”, przyznaje. Dodaje też, że nie wszystkie obrażenia miały związek z walką. Większość pacjentów, którymi zajmował się w Afganistanie, uskarżała się na prozaiczne problemy: grzybicę stóp, ciężkie biegunki czy bóle głowy.

W trakcie VI zmiany rozpoczął dyżury w polskim szpitalu w Ghazni, a na IX zmianie poznał dr. Roberta Brzozowskiego, również laureata Buzdyganów. „Był na-

Choć nigdy nie nosił munduru, trzykrotnie służył pod Hindukuszem. Jako cywilny ratownik medyczny był w składzie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie.

szym mistrzem. Uczyliśmy się od niego, ile się dało”, opowiada Tomek. W szpitalu, gdzie dyżurował, pomocy udzielano głównie Afgańczykom – żołnierzom i policjantom oraz żołnierzom koalicji.

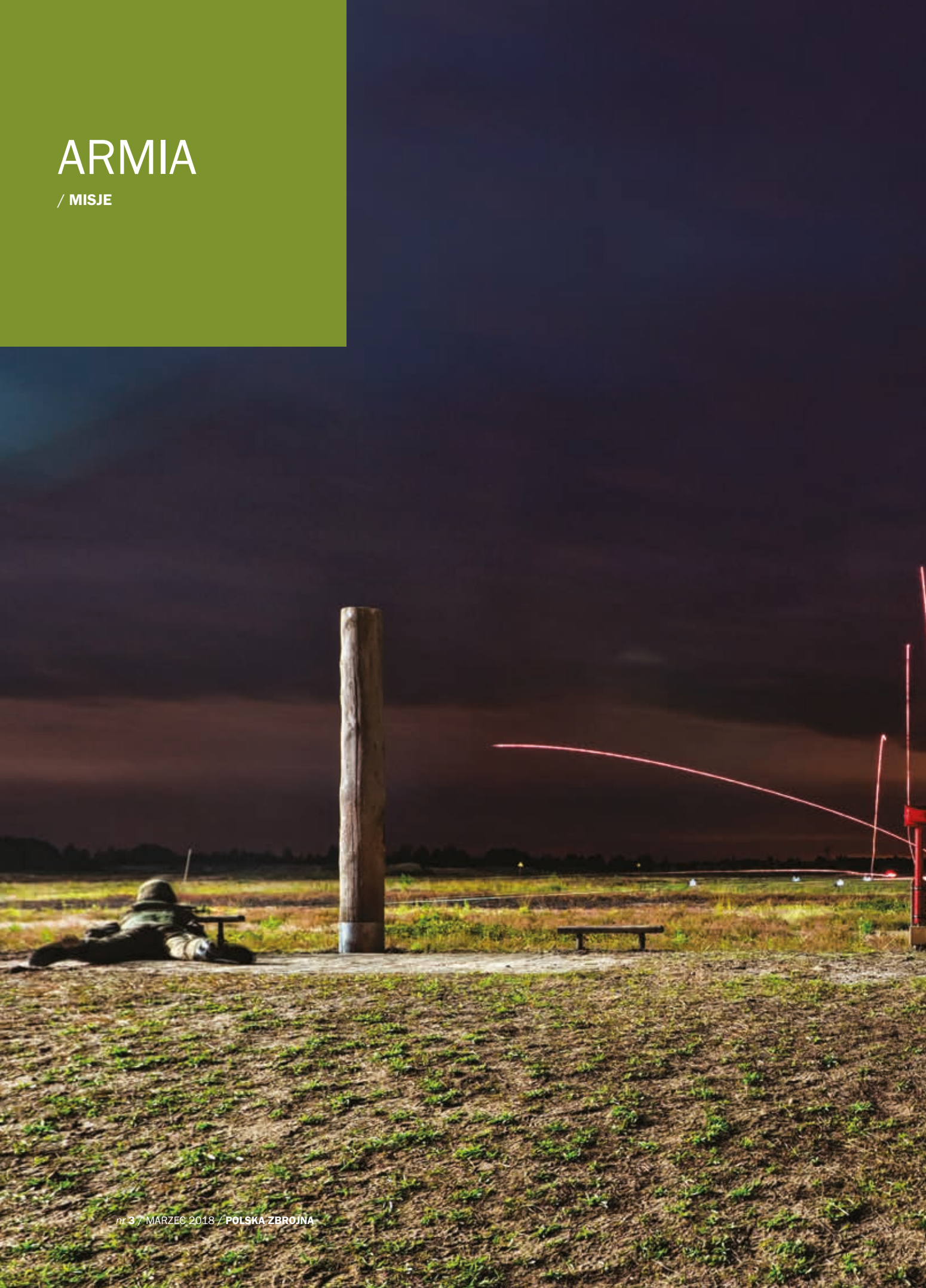
Po jego trzeciej misji w Afganistanie rozpoczął pracę w Zakładzie Medycyny Pola Walki u boku dr. Brzozowskiego. Przyznaje, że wojna wpłynęła na jego życie. „Determinuje naszą przyszłość w momencie, w którym stawiamy pierwszy krok w środowisku zagrożenia. Tak było w moim wypadku. Dzięki misjom pracowałem w Wojskowym Instytucie Medycznym, uczę też ratownictwa taktycznego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Gdyby nie misje, nie byłoby przenoszenia wiedzy z medycyny taktycznej na cywilną”, zapewnia.

W ciągu pięciu lat pracy w WIM-ie przeprowadził kilkadziesiąt kursów i warsztatów z ratownictwa taktycznego oraz cywilnego. Jest jednym z pomysłodawców konferencji TacMed-WIM, współtworzył też program kursu TERM (taktyczno-ewakuacyjnego ratownictwa medycznego). „Tomka poznałem na kursach w WIM-ie, gdzie był jednym z instruktorów. Jest niezwykle charyzmatyczny, umie słuchać kursantów i potrafi odpowiedzieć na każde pytanie. Jestem cywilnym ratownikiem, a on zaraził mnie tematem medycyny taktycznej”, przyznaje Marcin Gbiorczyk.

Dziś Tomasz Sanak pracuje w Zakładzie Medycyny Katastrof i Pomocy Doraźnej Katedry Anestezjologii i Intensywnej Terapii Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum w Krakowie. Uczy lekarzy, ratowników i pielęgniarki medycyny taktycznej, zajmuje się też opieką nad pacjentem w hipotermii. W 2017 roku obronił doktorat i wraz z zespołem pod kierunkiem dr. Tomasza Darochy został wyróżniony II Nagrodą Prezesa Rady Ministrów w kategorii osiągnięcia naukowo-techniczne. Otrzymał ją za leczenie pozaustrojowe ofiar głębokiej hipotermii. MKS

ARMIA

/ MISJE



PIOTR RASZEWSKI

WSCHÓD ROZWIJA SKRZYDŁA

Znacznie rozszerzono zakres zadań Wielonarodowej Brygady. Jak zmiany te wpłynęły na codzienne funkcjonowanie jednostki z Lublina?

MICHAŁ KWIRANT



S

ygnatariusze porozumienia o utworzeniu LITPOLUKRBRIG w 2014 roku postanowili, że nadrzędnym jej celem będzie udział w operacjach utrzymania międzynarodowego pokoju, zagranicznych operacjach stabilizacyjnych, a także innych, wyznaczanych na bieżąco, działaniach i misjach pokojowych pod egidą ONZ. W październiku

2017 roku ministrowie obrony trzech państw założycielskich podpisali zaś porozumienie, w którym czytamy m.in.: „Brygada lub jej elementy będą dostępne na potrzeby międzynarodowych operacji [...] zgodnie z przepisami i zasadami prawa międzynarodowego”. „Od tej pory LITPOLUKRBRIG może być użyta do każdej międzynarodowej operacji, jeśli taką wolę wyrażą zgodnie przedstawiciele trzech państw, jej założycieli”, mówi płk Zenon Brzuszek, dowódca jednostki z Lublina.

Oficerowie, którzy stacjonują w Lublinie, przygotowywali się dotychczas głównie do prowadzenia działań podczas operacji wsparcia pokoju. Teraz, w związku z poszerzeniem zadań jednostki, wiele trzeba było zweryfikować. „Pierwsze zmiany pojawiły się tuż po podpisaniu nowego porozumienia. Podczas »Maple Arch«, czyli ćwiczeń dowódczo-sztabowych wspieranych komputerowo, które zorganizowaliśmy i przeprowadziliśmy wspólnie z armią kanadyjską, trenowaliśmy działania w pełnym zakresie i z koordynacją wszystkich elementów ugrupowania bojowego. Okazało się, że mamy jeszcze sporo do zrobienia. Dlatego na warsztatach szkoleniowych skupiamy się na tych elementach, które nie do końca dobrze funkcjonowały w Nowej Dębie”, wyjaśnia płk Brzuszek.

Sekcja szkolenia zaplanowała serię ćwiczeń obejmujących znacznie bardziej skomplikowane scenariusze. Bardzo mocno są tu zaangażowane pododdziały wsparcia i zabezpieczenia.

„Musieliśmy nieco zmienić nasz cykl szkoleniowy. Teraz przewiduje on planowanie i prowadzenie bardziej wymagających działań niż wsparcie czy wymuszenie pokoju. Nowe porozumienie umożliwia nam również udział w zdecydowanie większej liczbie różnorodnych ćwiczeń”, przyznaje szef sekcji szkolenia mjr Kostas Petrovas.

NOWE SCENARIUSZE

Żołnierze LITPOLUKRBRIG rok szkoleniowy rozpoczęli od warsztatów planowania działań obronnych i treningu sztabowego, podczas którego opracowywali rozkaz do obrony. „Nacisk został położony na działania kinetyczne. Chodziło o to, aby przygotować oficerów i pododdziały do synchronizacji wszystkich rodzajów broni w sytuacji, kiedy zadania są bardzo intensywne. Nie zapominamy jednak o działaniach niekinetycznych, które często poprzedzają walkę zbrojną i zwykle odgrywają nieocenioną rolę”, przyznaje dowódca lubelskiej jednostki. Z kolei mjr Adam Pańczyk, szef sekcji operacyjnej S3, dodaje: „Wcześniejsze treningi sztabowe opieraliśmy na scenariuszach odnoszących się do takiej sytuacji, jaką można zaobserwować w Kosowie, gdzie nie ma poważnego zagrożenia życia, w łatwy sposób dostarcza się zapasy czy broni własnej bazy. Teraz proces dowodzenia, w szczególności w fazie stawiania zadań, pozostaje wciąż ten sam. Znacząco zmieniają się za to cele i sposób, w jaki będziemy je osiągać”.

Jednym ze sposobów na osiągnięcie nowych celów Wielonarodowej Brygady jest umiejętne użycie artylerii czy osłony przeciwlotniczej. Na etapie planowania operacji wsparcia pokoju tego rodzaju wojska były wykorzystywane w ograniczonym zakresie. Teraz spektrum zadań artylerzystów z LITPOLUKRBRIG zostało znacznie poszerzone. „Tylko w operacji



W październiku 2017 roku rozszerzono mandat działania Wielonarodowej Brygady w Lublinie.



NA WARSZTATACH SZKOLE- NIOWYCH KŁADZIEMY NACISK NA TE ELEMENTY, KTÓRE NIE DO KOŃCA DOBRZE FUNKCJONOWAŁY NA ĆWICZENIACH „MAPLE ARCH” W NOWEJ DĘBIE

PIOTR RASZEWSKI

obronnej artyleria może być użyta na wiele sposobów, np. do blokowania natarcia przeciwnika czy kanalizowania jego ruchu. Może również niszczyć zgrupowania wroga, ale też oświetlać lub zadymiać pole walki w celu bezpiecznego wycofania i przegrupowania walczących pododdziałów”, wylicza kpt. Marek Gierak, oficer do spraw artylerii w sekcji operacyjnej S3. „Dotychczas przyjmowaliśmy scenariusze, w których użycie artylerii było mocno ograniczone ze względu na chęć uniknięcia strat wśród cywilów. Obecnie przygotowujemy się do działań bardziej bojowych, gdzie walka z przeciwnikiem wymaga użycia większych sił i środków”.

W związku z rozszerzeniem mandatu międzynarodowej jednostki do planowania intensywniejszych działań muszą być przygotowani również sztabowcy z sekcji inżynieryjnej i logistycznej. „Przy tego typu operacjach nasz wysiłek w tej sferze jest dużo większy. Liczymy zapasy, szacujemy możliwe straty, a także zdolności naprawcze, remontowe i ewakuacyjne. Musimy cały czas monitorować sytuację i kalkulować, np. jaki poziom zapotrzebowania mają daleko wysunięte pododdziały, a także na bieżąco uzupełniać wszelkie potrzebne im zapasy”, przyznaje kpt. Piotr Kaniosz, p.o. szef sekcji logistycznej S4. Wtórzuje mu kpt. Maciej Płonka, p.o. szef sekcji inżynieryjnej: „Dzięki pracy inżynieryjnej, chociażby



zakładaniu pól minowych, jesteśmy w stanie zmusić przeciwnika, by postępował według naszego planu, wymusić jego ruchy i osiągnąć zakładany cel”. Oficerowie zastrzegają, że tu również kluczowa jest kalkulacja: „Musimy planować tylko takie zadania, które będzie można wykonać. Jeśli dostaniemy rozkaz, by postawić przeszkodę lub założyć pole minowe, to trzeba będzie odpowiednio skalkulować m.in. czas i odległość, w jakiej znajduje się przeciwnik”. Do nowych zadań muszą się odpowiednio przygotować również planiści z sekcji łączności. Dotychczas ćwiczyli głównie przemieszczenie się całością brygady. „Teraz mamy to robić ze znacznie większą częstotliwością i tylko stanowiskiem dowodzenia. To sprawia, że nasze zadania są trudniejsze. Tak samo jak utrzymanie łączności w warunkach wojennych”, wskazuje różnice mjr Mirosław Bednarz, szef sekcji łączności S6 Wielonarodowej Brygady.

ZJEDNOCZENI DLA POKOJU

Zmieniają się także zadania sekcji S9, czyli współpracy cywilno-wojskowej. W ramach operacji wsparcia pokoju opierały się one na

NOWE POROZUMIENIE UMOŻLIWIA NAM UDZIAŁ W ZDECYDOWANIE WIĘKSZEJ LICZBIE ĆWICZEŃ

strategii współpracy cywilno-wojskowej (CIMIC), a teraz głównym narzędziem działań pozamilitarnych są operacje informacyjne (InfoOps) i psychologiczne (PsyOps). „Jeśli przeciwnik wkroczy na nasz teren, to działania InfoOps pozwalają nam osiągnąć kilka celów, m.in. osłabić jego morale lub zdolność percepcji dowódców czy spowodować dezercję



TRZY PYTANIA DO

Zenona Brzuski

Czy w związku z ostatnimi zmianami codzienna działalność Wielonarodowej Brygady także będzie inna?

Zarówno skład dowództwa Brygady, jak i lista jednostek afiliowanych pozostają bez zmian. LITPOLUKRBRIG dzięki elastycznym strukturom organizacyjnym dostosowuje się odpowiednio do otrzymanego zadania. Podpisanie porozumienia spowodowało, że sztab Brygady dokonał korekty planu szkolenia oraz

wprowadził nieliczne zmiany w starych procedurach operacyjnych.

W jakim stopniu musieliście zryfikować plany szkoleniowe?

Przedsięwzięcia międzynarodowe pozostały w naszym kalendarzu bez zmian. W tym roku LITPOLUKRBRIG jest współorganizatorem i współprowadzącym ćwiczeń dowódczo-sztabowych „Rapid Trident” na Ukrainie oraz „Maple Arch” na Litwie. Personel brygady weźmie rów-

nież udział w „Seven Stars” na zaproszenie siostrzanej brygady SEEBRIG, stacjonującej w Grecji. Przeprowadzimy też szkolenie dla dowództw batalionów wojsk lądowych Ukrainy. Rewizja planów dotyczy zaś własnych przedsięwzięć, w których położono większy nacisk na kinetyczny aspekt działań Brygady. Temu służą warsztaty szkoleniowe, ćwiczenia studyjne i epizodyczne, które poprzedzają dwuszczeblowe treningi sztabowe z udziałem grup operacyjnych z jednostek afiliowanych.

Czy Brygada zostanie skierowana na jakąś misję?

Odpowiem trochę przewrotnie. LITPOLUKRBRIG wypełnia swoją misję od dnia powołania. Z chwilą osiągnięcia pełnej zdolności bojowej

żołnierzy”, zaznacza mjr Tomasz Pędzik, szef sekcji współpracy cywilno-wojskowej.

Już po pierwszych tegorocznych warsztatach i treningach sztabowych, uwzględniających rozszerzenie spektrum działań Wielonarodowej Brygady, pojawiły się konkretne wnioski. „Nasza brygada była przewidziana do operacji stabilizacyjnych, dlatego ma określone jednostki afiliowane. Brakuje nam jednak np. batalionu czołgów, który znacznie zwiększałby naszą siłę, niezbędną do prowadzenia chociażby działań obronnych”, przyznaje mjr Adam Pańczyk. Z kolei mjr Igor Bondarenko z Ukrainy zwraca uwagę na atuty wspólnych treningów: „To są niezwykle ważne przedsięwzięcia szkoleniowe, zwłaszcza dla ukraińskich oficerów, ponieważ mamy nieco inne podejście do prowadzenia takich działań. Wymiana doświadczeń z litewskimi i polskimi kolegami jest więc nieoceniona”.

Zalety nowego planu szkoleniowego dostrzega też dowódca LITPOLUKRBRIG: „Rozszerzenie naszych kompetencji otwiera nowe możliwości. Nie mamy teraz ograniczeń, z którymi musieliśmy się liczyć wcześniej. Jako dowódca mam więc większą swobodę działania i planowania zagadnień szkoleniowych”, przekonuje płk Zenon Brzuszo i podkreśla: „Mimo tych zmian myśl przewodnia naszej brygady pozostaje niezmienna – zjednoczeni dla pokoju”.

PŁK ZENON
BRZUSZO jest
dowódcą Wielona-
rodowej Brygady
w Lublinie.

utrzymujemy gotowość do działania w ramach operacji reagowania kryzysowego. Dzięki temu moi podwładni mają unikatowe kompetencje, które predysponują ich do służby zarówno w strukturach NATO i UE, jak i w dowództwach narodowych. Częścią misji Brygady jest współtworzenie platformy łączącej Ukrainę z NATO. Działamy w tym zakresie w dwojaki sposób: prowadzimy kursy szkoleniowe z dowództwami batalionów wojsk lądowych Ukrainy i ćwiczenia dla ukraińskich pododdziałów, które przygotowujemy razem z kolegami z Kanady i USA. Myślę jednak, że na największe efekty musimy poczekać do chwili, kiedy oficerowie ukraińscy po powrocie do kraju zostaną wykorzystani do szkolenia i reformowania ich sił zbrojnych.



- Autorskie programy szkoleniowe
- Doświadczenie weteranów, uczestników misji wojskowych i elitarnych oddziałów specjalnych
- Światowe standardy nauczania i wyposażenia



Z nami rozwiniesz umiejętność koncentracji, szybkiego podejmowania decyzji i sprawnego działania pod presją. Pokonasz własne słabości.

Szkolenia strzeleckie

Esencja sztuki strzeleckiej. Bez nonszalanckiej fajerwerków, lecz skutecznie, cicho i celnie. Pod okiem uczestników realnych kontaktów ogniowych

Szkolenia Combat Survival

Przetrwaj sam na sam w nieprzyjawnym środowisku. Poradzić sobie w każdym terenie. Myśleć w sposób gwarantujący ocalenie nawet w najgorszym położeniu.

Szkolenia medyczne

Ciemność, dym, hałas i karkołomne tory przeszkód. Skuteczna pomoc musi być szybka i pewna, nawet w sytuacjach skrajnych, w warunkach ekstremalnego stresu.

Szkolenia taktyczno-obronne

Czułość, gotowość na atak, identyfikacja zagrożeń. Gwarancja przetrwania dla tych, którzy pracują lub podróżują do miejsc potencjalnie niebezpiecznych.

www.szkoleniabojoyowe.com

biuro@szkoleniabojoyowe.com
tel. 514 790 093



EWA KORSAK
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Gotowe do startu

Szybki, zwinny, a do tego po prostu piękny – piloci chwalą M-346. Samolot do szkolenia zaawansowanego wykonał pierwszy lot w polskich barwach.

W 4 Skrzydle Lotnictwa Szkolnego rozpoczyna się zupełnie nowy etap w szkoleniu przyszłych pokoleń pilotów samolotów wysoko-manewrowych”, przyznaje z dumą płk pil. Wojciech Piłkuła, dowódca 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego. To właśnie do jednostki podległej 4 Skrzydłu, czyli 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego, pod koniec 2017 roku trafiło osiem samolotów M-346 (Master to nazwa włoskiego samolotu, ale będziemy się nią posługiwać, ponieważ polska maszyna nie ma jeszcze własnej). Odrzutowce szkolne, wyprodukowane przez włoski koncern Leonardo, w 2017 roku przeszły testy na ziemi i w powietrzu, a następnie zostały wprowadzone do służby w Siłach Zbrojnych RP. Cała procedura dopełniła się 16 lutego 2018 roku, kiedy pierwszy samolot szkolenia zaawansowanego M-346 z białą-czerwoną szachownicą poderwał się z dęblińskiego lotniska.

Odrzutowiec z numerem bocznym 7706 w powietrzu spędził 71 minut, a pilotował go w asyście włoskiego instruktora kpt. Mirosław Kopeć z 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego. Przećwiczył on m.in. procedury awaryjne w locie. „Do takich manewrów potrzebna jest odpowiednia widoczność, chmury nie mogą być zbyt nisko nad ziemią. Podczas lotu sprawdzaliśmy np. podejście do lądowania z jednym włączonym silnikiem, z otwartymi i zamkniętymi klapami”, tłumaczy kpt. pil. Mirosław Kopeć. „Jesteśmy bardzo dumni, że w końcu pierwszy

z polskich M-346 wzbił się w powietrze. To przełomowa chwila dla naszych sił powietrznych i całych sił zbrojnych, ale także ogromne wyzwanie dla 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego”, mówi jej dowódca płk pil. Artur Kałko.

NA PASIE STARTOWYM

Pierwsze dwa M-346 (o numerach 7702 i 7703) wylądowały w Polsce w listopadzie 2016 roku. Szkolne odrzutowce z włoskiego Venegono do 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego w Dęblinie przyprowadzili włoscy i polscy piloci. U nas maszyny poddano weryfikacji, w czasie której oceniano zgodność wyposażenia z podpisanymi umowami. Na testach okazało się, że odrzutowce mają niepełny system symulacji uzbrojenia. Ministerstwo Obrony Narodowej wezwało producenta do uzupełnienia braków w oprogramowaniu i do czasu wypełnienia zobowiązań zawartych w kontrakcie zawiesiło proces przyjmowania maszyn do służby. Finalnie Włosi wywiązali się z podpisanej umowy i pod koniec 2017 roku wszystkie samoloty miały już oprogramowanie zgodne ze specyfiką zamawiającego.

Inspektorat Uzbrojenia SZ wyjaśnia, że weryfikacją zajmowała się specjalnie powołana komisja, w której skład weszli specjaliści m.in. z Inspektoratu Sił Powietrznych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego i Inspektoratu Uzbrojenia MON. Eksperci sprawdzali, czy każdy

MICHAŁ WAJNCHOLD



Odrzutowce szkolne, wyprodukowane przez włoski koncern Leonardo, w 2017 roku przeszły testy na ziemi i w powietrzu, a następnie zostały wprowadzone do służby w Siłach Zbrojnych RP.



egzemplarz jest zgodny z wymogami kontraktu i może być użyty do szkolenia lotniczego. Sprawdzano maszyny na ziemi oraz w powietrzu za pomocą testów sprawności i możliwości poszczególnych systemów. „Samoloty są w pełni sprawne i gotowe do lotów. Wprowadzenie do użytku nowych maszyn wymaga dostosowania programów szkolenia lotniczego, utrwalenia umiejętności obsługi technicznej z jednoczesnym właściwym zabezpieczeniem infrastrukturalnym i wsparciem logistycznym”, podkreśla płk pil. Wojciech Pikuła, dowódca 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego.

Kończy się służba odrzutowca TS-11 Iskra, tak więc teraz M-346 będą filarem polskiego systemu szkolenia na samolotach odrzutowych. Za sterami usiądą najpierw instruktorzy, którzy będą przygotowywali się do szkolenia z podchorążymi. „Wznowią nawyki, które wcześniej nabyli we Włoszech, przejdą trening doskonalący i sprawdzą przyjęte przez nas rozwiązania szkoleniowe. Te zadania zostaną wykonane w ciągu roku, dlatego pierwsi podchorążowie polecą M-346 w 2019 roku”, mówi płk pil. Konrad Madej, szef szkolenia 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego.

Zgodnie z planem przyjętym w siłach powietrznych kandydaci na pilotów odrzutowców pierwszy etap nauki latania przejdą w Akademickim Ośrodku Szkolenia Lotniczego w Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych, następnie zaliczą podstawowe szkolenie na PZL-130 Orlik, a dopiero potem na M-346 i przeszkolenie na samolot docelowy w jednostce bojowej. „Jest to koncepcja całościowa, pozwalająca przygotować w kraju pilotów maszyn F-16. Umożliwi uniezależnienie się od szkolenia w USA, które jest kosztowne i nie zawsze dla nas osiągalne”, mówi płk pil. Madej.

Szczegóły przygotowania podchorążych, jak mówią piloci, będą się jeszcze zmieniać. Można jednak przyjąć, że pakiet szkoleniowy obejmie 100 godzin spędzonych w powietrzu. Podchorążowie zapoznają się z podstawami nowoczesnej taktyki i wykorzystania nowego uzbrojenia, w tym kierowanego. Przede wszystkim zaczną działać w skomplikowanym środowisku bojowym, gdzie będą musieli się nauczyć, oprócz pilotowania samolotu, zarządzania informacją. Umiejętności nabyte w czasie szkolenia na M-346 pozwolą zmniejszyć liczbę godzin przeznaczonych na naukę latania na F-16. Docelowo instruktorzy z 4 Skrzydła chcą do minimum ograniczyć wykorzystanie jastrzębi w początkowej fazie szkolenia w jednostce bojowej.

„Opracowany w 4 SLSZ program to wariant teoretyczny. Potrzebujemy praktyki w powietrzu, by zmieniać i udoskonalać założenia. Grafiki lotów podchorążego będzie znany dopiero pod koniec roku”, przyznaje mjr pil. Jacek Moskal,



MASTER TO WŁOSKI SAMOLOT M-346. POLSKA MASZYNA NIE MA JESZCZE WŁASNEJ NAZWY

zastępca dowódcy 48 Eskadry Lotniczej, która korzysta z M-346. „Poza tym do każdego podchorążego będziemy podchodzić indywidualnie. Liczba wylatanych godzin na tych samolotach będzie więc uzależniona od jego predyspozycji oraz postępów w szkoleniu”, dodaje. Lotnicy na szkolnych maszynach będą mogli ćwiczyć elementy, które dotąd możliwe były tylko w F-16. Chodzi tu o szkolenie w warunkach długotrwałych i dużych przeciążeń, przyspieszeń i szybko zmieniającej się sytuacji taktycznej oraz wykorzystanie radaru i zasobnika celowniczego w połączeniu z nowoczesną amunicją precyzyjną powietrze–powietrze i powietrze–ziemia.

LATANIE NA SUCHO

Z nowych samolotów w przyszłości mają jednak korzystać nie tylko podchorążowie. Loty taktyczne będą mogli wykonywać na nich także piloci z eskadr bojowych.

ELITARNE GRONO

Zaawansowany system szkolenia lotniczego Polska kupiła w 2014 roku. Producentem maszyn jest włoska firma Leonardo. Odrzutowce szkolne tego koncernu są używane przez siły powietrzne Włoch, Izraela, Singapuru i Polski. W ramach podpisanej umowy Włosi przeszkolili 16 pilotów i 68 specjalistów obsługi technicznej. Ministerstwo Obrony Narodowej rozważa rozszerzenie kontraktu o kolejne cztery egzemplarze M-346. ■

MICHAŁ NIWICZ (2)



„W ten sposób chcemy zmniejszyć koszty eksploatacji samolotów F-16. Myślę, że już za kilka lat piloci jastrzębi będą w Dęblinie szkolić się w pewnych elementach taktycznych”, mówi szef szkolenia 4 Skrzydła i dodaje: „Możliwości związane z tym samolotem są duże, np. wykorzystywanie M-346 do podtrzymania nawyków już wyszkolonych pilotów, prowadzenie wyspecjalizowanych szkoleń z nowej taktyki czy użycia nowoczesnego uzbrojenia, a także nowego rodzaju amunicji”.

Piloci z Dębłina zwracają uwagę na jeszcze jeden aspekt: zanim podchorążowie wsiądą do samolotu, oni sami muszą zdobyć doświadczenie w powietrzu i dobrze poznać maszynę. Zgodnie z kontraktem 16 pilotów przeszło szkolenie podstawowe we Włoszech, ale to nie wystarczy, by przygotowywać kolejnych adeptów. Zwłaszcza że M-346, które wylądowały w Polsce, różnią się od tych, na których szkolili się nasi piloci. „Nasze samoloty mają unowocześnioną awionikę, która została tak zmodyfikowana i skompletowana, aby ułatwiała późniejsze szkolenie na F-16, ale jednocześnie była na tyle uniwersalna, by w przyszłości M-346 służyły do przeszkolenia na inne typy samolotów odrzutowych piątej generacji”, wyjaśnia kpt. pil. Jerzy Skaliński z 48 Eskadry Lotniczej.

Na zamówienie polskich sił powietrznych w maszynach zamontowano także tzw. zasłonki ślepego pilotażu, dzięki którym można imitować pogorszenie warunków atmosferycznych. Polskie M-346 wyróżnia także zamontowany, podobnie jak w F-16, spadochron hamujący oraz najnowocześniejsze na świecie oprogramowanie. Chodzi tu o wbudowany system symulacji taktycznej ETTS (Embedded Tactical Training System). „W istocie to serce tego samolotu. System pozwala nam symulować warunki bojowe, taktyczne, uzbrojenie oraz zagrożenia z ziemi i powietrza. Programując maszynę przed lotem, możemy stworzyć takie warunki treningu, by szkolący się pilot wchodził jednocześnie w interakcję z innym samolotem, prawdziwą i symulowaną. ETTS przyniesie wymierne oszczędności, bo do treningów nie będziemy musieli angażować innych maszyn czy np. pododdziałów przeciwlotniczych”, tłumaczy płk pil. Madej.

Choć M-346 daje ogromne możliwości w powietrzu, jest tylko jednym z kilku elementów szkolenia zaawansowanego. Pilot chwytający za stery M-346 będzie sprawdzał i potwierdzał umiejętności zdobyte na symulatorach. W skład zintegrowanego systemu szkolenia zaawansowanego, oprócz ośmiu samolotów, wchodzi także: pakiet logistyczny (sprzęt i wyposażenie naziemnej obsługi samolotów), części zamienne i eksploatacyjne, wsparcie techniczne, system informatyczny. System to przede wszystkim symulatory lotu FMS (Full Mission Simulator) i uproszczony FTD (Flight Training Device) oraz symulator katapultowania. Na razie do użytku wprowadzono jedynie symulator katapultowania, a dwa pierwsze Włosi mają przekazać pod koniec marca. „Rola symulatorów jest tu nie do przecenienia. To będzie podstawowe narzędzie do szkolenia pilotów. Zakładamy, że trening wirtualny zajmie podchorążym około 40–50% czasu, który spędzają w samolocie. Jeśli np. w powietrzu wylatają 110 godzin, to dodatkowe 50 będą trenować w symulatorze”, mówi płk Madej. Kpt. pil. Mirosław Kopeć dodaje, że każde zadanie, które pilot może wykonać w samolocie, może także przećwiczyć w symulatorze. „Taki trening ogranicza jedynie nasza wyobraźnia. Możemy np. ułożyć taki scenariusz, by w jednym czasie piloci trenowali razem – jeden w samolocie, a drugi w symulatorze. To bardzo rozwija umiejętności pilotażowe i przynosi wymierne oszczędności”, podkreśla pilot z 48 Eskadry. „W 2018 roku przed 4 SLSz stoi niezwykle ważne zadanie: bezpieczne i metodyczne wdrożenie całego systemu szkolenia zaawansowanego, w tym eksploatacji M-346, dzięki właściwemu przygotowaniu samolotów przez służbę inżynierjno-lotniczą. Personel latający natomiast nabędzie doświadczeń w ich eksploatacji w powietrzu”, mówi płk pil. Pikula. ■



BALT MILITARY EXPO

15. BAŁTYCKIE TARGI MILITARNE



VIII MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA
NAUKOWO-TECHNICZNA



GDAŃSK
25-27 CZERWIEC **2018** amber
expo

WWW.BALTMILITARY.PL



MTG
MIĘDZYNARODOWE
TARGI GDAŃSKIE SA

DYREKTOR PROJEKTU: **MAREK BUCZKOWSKI**
TEL. 58 554 92 13, 693 448 814, FAX 58 554 93 13
MILITARY@MTGSA.COM.PL



JAKO PIERWSZA do bazy Sigonella wyruszyła maszyna o numerze bocznym 1017, od koloru malowania zwana Białą Damą.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Bryza na Sycylii

Po raz pierwszy w historii polski kontyngent dołączył do unijnej misji „Sophia”, mającej zapobiegać przemytowi ludzi, broni i narkotyków z pogrążonej w chaosie Libii na południe Włoch.

Telefon z wieży: wracają. Idziemy więc na pas startowy. Po kilku minutach na horyzoncie zaczynają majaczyć dwa świetlne punkciki. Sylwetka samolotu ledwie odcina się od jasnoszarego nieba. Dziś nad Bałtyk poleciała bryza, która za sprawą koloru kadłuba jest tutaj nazywana Białą Damą. Po chwili gładko siada na płycie lotniska i kołuje na miejsce postojowe.

Za hangaru wychodzą żołnierze z ekipy technicznej. Wszyscy w polowych mundurach, z pistoletami przy pasie – takie są reguły trwającej właśnie certyfikacji. Tymczasem samolot staje, silniki powoli milkną, przez tylny luk wyskakują członkowie załogi. Pomarańczowe kombinезony mieszają się z zielonymi mundurami techników. Lotnicy przekazują informacje o tym, jak bryza zachowywała się podczas lotu. „I jak tam nad morzem?”, pytam, kiedy formalności dobiegają końca. „Trochę wiało, ale z naszego punktu widzenia nie było źle. Wszystkie założone cele udało nam się osiągnąć”, wyjaśnia kmdr ppor. pil. Jakub Murzynowski, dowódca załogi.

A przed południem okazało się, że w Zatoce Gdańskiej pojawiła się niezidentyfikowana jednostka pływająca. Załoga bryzy musiała ją więc namierzyć i rozpo-

znać, po czym naprowadzić na nią grupę abordażową. Na wykonanie zadania miała trzy godziny. Do bazy w Siemirowicach wróciła jednak wcześniej.

W rolę nieznaną jednostki wcielił się mały okręt ratowniczy ORP „Zbyszko”. Grupę, która wprost z szybkich łodzi motorowych weszła na jego pokład, tworzyli komandosi morscy z gdyńskiej Formozy. A samo zadanie stanowiło główną część generalnego sprawdzianu, który miał przynieść odpowiedź na pytanie, czy żołnierze są przygotowani do zagranicznej misji.

Wyjątkowa była już sama certyfikacja. „Po raz pierwszy w historii prowadziliśmy ją według trzech różnych systemów oceniania. W komisji zasiadło aż 40 specjalistów z różnych dziedzin. Ma to związek z składem kontyngentu. Tworzą go przecież żołnierze z różnych rodzajów sił zbrojnych i o różnych specjalnościach”, wyjaśnia ppłk Piotr Walatek, rzecznik Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Przede wszystkim jednak pod wieloma względami misja będzie wyjątkowa.

IMIĘ IMIGRANTKI

Nielegalna migracja, przemyt ludzi i broni, zagrożenie terroryzmem, wojny domowe w Libii i Syrii, rosnąca

TOMASZ MIELCZAREK / 7 BOW





ST. CHOR. MAREK ŻUK: „Z ryzykiem należy się liczyć zawsze. W końcu przemytnicy, którym będziemy chcieli pokrzyżować szlaki, nie mają powodu, by nas kochać”.

aktywność Rosji – w ostatnich latach basen Morza Śródziemnego stał się jednym z najbardziej zapalnych rejonów na świecie. Reakcja Zachodu? Kolejne misje, w których swój udział mają także Polacy. Latem 2016 roku na południe Europy została skierowana fregata ORP „Gen. T. Kościuszko”. Okręt na dwa miesiące dołączył do natowskiego zespołu SNMG2 (Standing NATO Maritime Group Two, czyli Stała Grupa Morska NATO 2). Załoga wzięła udział w wielu ćwiczeniach. Miała również pomóc w zatrzymaniu przepływu nielegalnych imigrantów między Turcją a Grecją. Marynarze zdolali namierzyć 11 jednostek z 300 osobami na pokładzie. „Ludzie ci wyruszali na morze skrajnie przepełnionymi łodziami, które były w takim stanie, że nadawały się co najwyżej do wypraw na ryby”, wspominał kmr por. Maciej Matuszewski, dowódca ORP „Kościuszko”. Zebrane przez Polaków informacje trafiały do greckiej bądź tureckiej straży przybrzeżnej, a sami imigranci lądowali w obozach dla uchodźców w jednym z tych państw.

W styczniu 2017 roku na południe Europy wyruszył okręt dowodzenia ORP „Kontradmiral Xawery Czernicki”. Zaokrętowany na nim polski sztab przez pół roku kierował działaniami SNMCMG2 (Standing NATO Mine Countermeasures Group 2, czyli drugi z zespołów przeciwmiejskich NATO). Zadaniem marynarki wspomaganym przez komandosów Formozy był przede wszystkim udział w manewrach z lokalnymi sojusznikami, a co się z tym wiąże – demonstracja obecności sojuszu północnoatlantyckiego na newralgicznych akwenach. Działali oni jako polski kontyngent wojskowy.



KMDR POR. CEZARY KURKOWSKI, dowódca kontyngentu: „Nasze zadania wiążą się przede wszystkim z prowadzeniem lotów rozpoznawczych nad wybranymi akwenami Morza Śródziemnego.”



Teraz na południe wyruszył kolejny kontyngent. Jego trzon stanowią żołnierze z Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej w Gdyni. Dla tej jednostki będzie to pierwsza misja w historii. Na Sycylię wysłano samolot rozpoznawczy Bryza, dwie załogi z 44 Bazy Lotniczej w Siemirowicach, a także obsługę techniczną. Do tego dochodzą komandosi z Formozy oraz żołnierze 10 Opolskiej Brygady Logistycznej – łącznie około stu osób. „Najbliższe pół roku spędzimy w bazie Sigonella”, informuje kmr por. Cezary Kurkowski, dowódca kontyngentu. „Nasze zadania wiążą się przede wszystkim z prowadzeniem lotów rozpoznawczych nad wybranymi akwenami Morza Śródziemnego. Będziemy operowali na szlakach żeglugowych prowadzących z Libii i wzdłuż wybrzeży tego państwa. Nie możemy jednak przekroczyć granicy jego wód terytorialnych”, zastrzega oficer.

Z kolei żołnierze Formozy będą korzystać z szybkich łodzi motorowych. A ponieważ Polska na razie nie wysłała w rejon swojego okrętu, platformą dla nich stanie się włoska jednostka. Taką informację podczas jednego z posiedzeń sejmowej Komisji Obrony Narodowej przekazał dowódca operacyjny gen. dyw. Sławomir Wojciechowski. Za sześć miesięcy na Sycylię pojedzie druga zmiana PKW.

A wszystko w ramach unijnej misji „Sophia”. Do tej pory Polska delegowała do niej jednego oficera, który służył w dowództwie operacji. Ale cały kontyngent? Tego jeszcze nie było. Operacja rozpoczęła się jeszcze w 2015 roku. Jej nazwa pochodzi od imienia dziewczynki, córki nielegalnej imigrantki z Somalii. Kobieta została podjęta z morza przez marynarkę z niemieckiej frega-

ŁUKASZ ZALESIŃSKI (2)

MISJA SOPHIA

W 44 Bazy Lotnictwa Morskiego minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak 12 lutego pożegnał wyruszających do Włoch żołnierzy PKW EU „Sophia”. W uroczystości wziął również udział szef BBN-u Paweł Soloch. Minister Błaszczak zwrócił uwagę, że polscy żołnierze są doskonale wyszkoleni i cieszą się uznaniem w Europie. A teraz mają pomóc w rozwiązaniu jednego z największych pro-

blemów XXI wieku, jakim jest kryzys migracyjny. W ramach uruchomionej w 2015 roku misji „Sophia” Polska wysłała na Sycylię stu żołnierzy. Trzon kontyngentu stanowią żołnierze Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej. Będą oni mieli do dyspozycji samolot rozpoznawczy Bryza. Do ich zadań będzie należało prowadzenie rozpoznania na szlakach żeglugowych z Libii na południe Europy. ■

TOMASZ MIELCZAREK / 7 BOW



ty „Schleswig-Holstein” i urodziła na jej pokładzie. „Sophia” ma zapobiec przemytowi ludzi, broni i narkotyków do Europy. Od niedawna jej uczestnicy zajmują się także szkoleniem libijskiej straży przybrzeżnej i marynarki. Z danych, które w połowie 2017 roku przedstawili kierujący operacją Włosi, wynika, że dzięki tej misji udało się m.in. zniszczyć 440 przemytniczych łodzi, zatrzymać 109 przestępców trudniących się szmuglowaniem ludzi i uratować życie 36 tys. imigrantów.

BĘDZIE GORĄCO

Lotnicy z Siemierowic mają spore doświadczenie. Regularnie biorą udział w ćwiczeniach na Bałtyku, gdzie współpracują z okrętami z Polski i zagranicy. W północnej Norwegii wskazywali cele podczas pierwszego w historii strzelania Morskiej Jednostki Rakietowej. Pełnią też dyżury SAR (Search and Rescue). W razie potrzeby mogą być włączeni w akcje poszukiwawczo-ratownicze na morzu. Prowadzą wreszcie loty rozpoznawcze, przede wszystkim w pobliżu wód terytorialnych Rosji. Udziałem w „Sophii” otwierają jednak całkowicie nowy rozdział. Czego się spodziewają? „Na pewno będzie gorąco”, przewiduje por. pil. Radosław Kukuła, drugi pilot bryzy. A kmr por. Kurkowski dodaje: „W styczniu pojechaliśmy na Sycylię, zrobiliśmy rekonesans. I już wówczas temperatura oscylowała w granicach 20 stopni”.

Wnętrze bryzy jest wyposażone w nawiewy, ale nie w klimatyzację. Dlatego kilkugodzinne loty w środku lata mogą się okazać dla załóg uciążliwe. Czy także niebezpieczne? „Z ryzykiem należy się liczyć zawsze. W końcu przemytnicy, którym będziemy chcieli pokrzy-

żować szyki, nie mają powodu, by nas kochać. Z drugiej strony, zagrożenie nie będzie przesadnie wielkie... Tym bardziej że nie będziemy się zbytnio zbliżać do obserwowanych jednostek”, przyznaje st. chor. Marek Żuk, operator systemów rozpoznania morskiego. Materiały zgromadzone przez załogę zostaną przekazane do dowództwa operacyjnego misji, a ono zdecyduje o dalszych działaniach. W razie potrzeby na miejsce mogą zostać wysłane okręty i grupy abordażowe wojsk specjalnych, które przechwycą na pełnym morzu łodzie przemytników.

Jak przyznają lotnicy, bryza powinna sprawdzić się w tego rodzaju misji. „Maszyny zostały wyposażone m.in. w dobry radar obserwacji obiektów nawodnych ARS-400/800, systemy transmisji danych ŁS-10 czy namierzania sygnałów z radiostacji ratowniczych Chelton. Mogą też zrzucić do morza tratwę ratowniczą”, wylicza st. chor. Żuk. Jednocześnie, co podkreśla kmr ppor. pil. Murzynowski, samolot nie jest przeładowany elektroniką. „Ma za to stosunkowo prosty w obsłudze system radiowej łączności”, zaznacza pilot.

Po dotarciu do Włoch polscy żołnierze mają chwilę na aklimatyzację. Wkrótce jednak rozpoczną pierwsze zadania. Najpewniej będą wykonywali kilka lotów w tygodniu. „Dla nas to będzie najważniejszy sprawdzian wiedzy i umiejętności”, przyznaje por. pil. Kukuła. „Żadne ćwiczenia nie są w stanie zastąpić realnych działań. Poza tym to kolejny krok do integracji z sojusznikami. Misją kierują Włosi, obecnie biorą w niej udział samoloty m.in. z Hiszpanii czy Portugalii. Będziemy się mogli sprawdzić na ich tle”. ■



PIERWSZEGO
DNIA ŻOŁNIERZE
WYKONYWALI MARSZ
NA AZYMUT I ZA POMOCĄ
MAP OKREŚLALI
SWOJĄ POZYCJĘ
W TERENIE.

EWA KORSAK

Zgrani zawsze wygrają

Żołnierze zanim wylecą do Afganistanu, przechodzą kurs SERE, na którym uczą się, jak przetrwać na terenie przeciwnika, dopóki ktoś ich nie ewakuuje.

Im więcej wiedzy zdobędą podczas takich kursów, tym większa szansa, że wrócą do domu żywi”, mówi jeden z instruktorów kursu SERE (Survival, Evasion/Escapes, Resistance, Extraction – przetrwanie, unikanie/ucieczka, opór w niewoli oraz odzyskanie). Tym razem przeszli go żołnierze z 17 Brygady Zmechanizowanej oraz 34 Brygady Kawalerii Pancernej. Kurs przygotowuje do przetrwania w sytuacjach izolacji od własnego wojska, ale nie chodzi tu wyłącznie o pojmanie, może to być również oderwanie się od grupy podczas walk. Żołnierze prawdopodobnie w maju wylecą do Afganistanu na VIII zmianę Polskiego Kontyngentu Wojskowego w ramach misji „Resolute Support”, która ma charakter szkolno-doradczy. Główną siłą VIII zmiany będzie 34 Brygada Kawalerii Pancernej. Żołnierze 17 Brygady Zmechanizowanej utworzą pluton ochrony wzmocniony sekcjami rozminowania z 5 Kresowego Batalionu Saperów.

WIEM, GDZIE JESTEM

Do lasu w okolicach Żagania żołnierze wyruszyli bez telefonów komórkowych czy innych urządzeń z systemem GPS, każdy miał też

ze sobą niewielką ilość pożywienia, która zapewniała jedynie minimum energetyczne, oraz trzy litry wody. Gdy zapas się kończył, musieli go uzupełniać. Zawsze pół litra wody należało mieć przy sobie. „Trzeba ją było zdobyć w lesie. To nie jest trudne, wystarczy tylko wiedzieć, jak uzyskać wodę nadającą się do picia. Do tego wykorzystuje się tabletki uzdatniające, buduje prowizoryczne filtry, np. z plastikowej butelki, igliwia i żwiru”, mówi instruktor.

Przed kursantami postawiono wiele zadań, ale najważniejsze polegało na tym, żeby nie zgubić się w terenie. Do dyspozycji mieli mapy, kompas i busole. Pierwszego dnia wykonywali marsz na azymut i za pomocą map określali swoją pozycję w terenie. W ciągu kolejnych dni musieli dotrzeć do punktów wyznaczonych przez instruktorów, by wykonać kolejne zadania. „Nie potrafisz korzystać z mapy? Gubisz się w terenie? Nie masz szans na wykonanie zadań”, mówi jeden z instruktorów.

Najpierw żołnierze musieli przejść przez rzekę. „To było zaskoczenie dla nas wszystkich. Spodziewaliśmy się takiego zadania, ale na pewno nie na początku”, mówi por. Tomasz Cyga, zastępca dowódcy kompanii rozpoznawczej





Kurs SERE przygotowuje do przetrwania w sytuacjach izolacji od swojego wojska, ale nie chodzi tu wyłącznie o pojmanie. W czasie szkolenia żołnierze mogą liczyć wyłącznie na siebie.

17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej, a podczas kolejnej zmiany w Afganistanie dowódca plutonu ochrony. Wszystkie ubrania, plecak oraz wyposażenie kursanci musieli zabezpieczyć tak, by były suche, niektórzy mieli plastikowe worki, w których wszystko można było schować, inni nieśli plecaki wysoko nad głową, by ich nie zamoczyć. Gdy dotarli na drugi brzeg rzeki, ubrania mieli może i suche, ale co z tego, skoro nie mogli ich włożyć. „Najpierw musicie rozpalić ognisko”, oznajmili instruktorzy. Temperatura wynosiła około zera stopni Celsjusza, ale zimna woda pobudziła krążenie, więc energii do działania było więcej niż można by się spodziewać. Zanim przyszła noc, żołnierze musieli zbudować schronienie. Mogli wykorzystać plandeki, które mieli ze sobą, albo igliwie i gałęzie.

Odpočzynek nie trwał jednak długo. Trzy godziny snu, pobudka i marsz! Instruktorzy przekazali kursantom współrzędne punktów, w których czekały zadania: opatrywanie ran, usztywnianie złamanych kończyn, uzdatnianie wody, a także nadawanie komunikatów przez radio, po to by wiedzieli, jak porozumieć się z wojskami, które mają ich odzyskać, a także jak we właściwe miejsce naprowadzić śmigłowiec, aby ich zabrał do swoich. Na kursie żołnierze uczą się nie tylko zasad przetrwania na obcym terenie, lecz także sposobów dotarcia do miejsca, w którym mogą liczyć na ewakuację.

Nawigacja to podstawa, ale równie ważna jest umiejętność „znikania”. „Pamiętajmy, że są na terenie opanowanym przez przeciwnika, muszą więc działać skrycie. Żeby urealnić tę sytuację, przez cały dzień podążaliśmy ich tropem. Nie chcieliśmy ich schwycić, raczej chodziło o to, by czuli nasz oddech na plecach i próbowali działać niezauważalnie”, mówi jeden z instruktorów. A co, gdy ktoś dał się złapać? Wówczas dostawał karę: dodatkowe kilometry marszu albo wielki konar drzewa do dźwigania. Opłacało się więc unikać spotkania z instruktorem.

PIERWSZY KRYZYS

Ostatniego dnia kursanci mieli za sobą kilkadziesiąt kilometrów, niewiele godzin snu i bardzo mało jedzenia, wodę pozyskiwali już wyłącznie ze strumieni płynących w lesie. W dodatku instruktorzy sprawdzali, jak żołnierze radzą sobie zupełnie sami. Nie dawali im żadnych wskazówek, nie pomagali podejmować decyzji. Idealny moment na kryzys. „Organizm odmawiał posłuszeństwa, czułem osłabienie, miałem mroczki przed oczami. Typowe objawy odwodnienia. Byłem liderem grupy, więc nie mogłem pozwolić, żeby kryzys mnie pokonał. Przeszedłem na koniec szyku, zacząłem pić wodę, często i w małych ilościach. Wróciłem do formy po kilkudziesięciu minutach”, mówi por. Cyga.

Kryzys to też sposób na sprawdzian, tym razem ze współpracy i zgrania grupy. Żołnierze



RAFAŁ MNIEDŁO / 11 LDK PANC (3)

**ŻOŁNIERZE BIORĄCY
UDZIAŁ W KURSIE
NIE ZNALI SIĘ
WCZEŚNIEJ, PONIEWAŻ
NIE SŁUŻYLI W TYCH
SAMYCH ODDZIAŁACH.
JEDNAK W CIĄGU
KILKU DNI UDAŁO
IM SIĘ STWORZYĆ
ZGRANY ZESPÓŁ**



biorący udział w kursie nie znali się wcześniej, ponieważ nie służyli w tych samych oddziałach. Jednak w ciągu kilku dni udało im się stworzyć zgrany zespół. Na dowódcy największe wrażenie zrobił ratownik medyczny, który wyleci razem z nim do Afganistanu. „Kiedy miałem kryzys, od razu wiedział co robić, potrafił właściwie zareagować. Przekonałem się, że można na niego liczyć”, mówi por. Cyga. Dodaje, że obyło się bez spieć, mimo że warunki do tego były idealne: zimno, mało snu, niewiele jedzenia, zmęczenie. Nawet niewielkie nieporozumienie może doprowadzić do awantury. „Tymczasem kiedy wieczorem można było się wreszcie poło-

żyć, schronić przed zimnem, a obok ktoś miał problem ze zbudowaniem schronienia, reszta bez wahania ruszyła mu na pomoc”, mówi jeden z kursantów.

Zwykle kursu SERE na poziomie B (średniozaawansowanym) nie kończą wszyscy żołnierze. To nie jest łatwe szkolenie, wyczerpuje i fizycznie, i psychicznie, zdarzają się kontuzje, które eliminują biorących w nim udział, bo dalej po prostu iść nie mogą. Tym razem kurs zaliczyli wszyscy żołnierze. „Wypadli dobrze. Oceniliśmy nie tylko to, jak wykonali zadania, lecz także, czy są zgraną grupą i potrafią współpracować”, mówi instruktor. ■



ANGRY WARRIOR

Created In The Military

PRODUCENT WYPOSAŻENIA

TAKTYCZNEGO



www.angrywarrior.pl





**WIEDZA Z MEDY-
CYNY POLA WAL-
KI** jest koniecz-
na ze względu na
specyfikę zadań
wykonywanych
przez wojska
specjalne. Żoł-
nierze najczę-
ściej działają
w niewielkich
grupach, w ode-
rwnięciu od głów-
nych sił, więc
muszą być samo-
wystarczalni.



MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Sprawdź, czy oddycha!

Przed wyjazdem na misję każdy żołnierz Jednostki Wojskowej Komandosów uczy się, jak na polu walki uratować rannego kolegę.

W centrum miasta doszło do eksplozji ładunku wybuchowego. Na miejsce zdarzenia wkraczają operatorzy Jednostki Wojskowej Komandosów. Okazuje się jednak, że przeciwnicy rozpoczęli ostrzał. Komandosi najpierw musieli odeprzeć atak, a następnie pomóc rannym. „Uczymy żołnierzy, jak prawidłowo sprawdzić stan poszkodowanych, w jaki sposób zrobić opatrunki, zatamować krwotoki czy w razie potrzeby wykonać odbarczenie odmy opłuc-

nej”, mówi „Mazi”, ratownik medyczny z Jednostki Wojskowej Komandosów.

Przed wylotem na misję do Afganistanu żołnierze z zespołów bojowych oraz zabezpieczenia przechodzą cykl szkoleń. To z medycyny pola walki jest jednym z etapów przygotowania do służby poza granicami kraju. Komandosi szkolili się pod okiem medyków z lublinieckiej jednostki oraz instruktorów z Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego: plut. Łukasza Witkowicza, st. kpr. Radosła-

KOMANDOSI REALIZOWALI KOLEJNE PUNKTY. CZY ZDARZAŁY SIĘ POMYŁKI? TAK. CHOĆ BYŁY TO TYLKO ĆWICZENIA, ADRENALINA I STRES ZROBIŁY SVOJE

wa Mizery oraz kpr. Daniela Czupryńskiego. „Współpraca z Centrum rozpoczęła się w 2016 roku, kiedy z medykami instruktorami szkoliliśmy gruzińskie siły specjalne. Od tego czasu regularnie sobie pomagamy. Żołnierze z JWK uczestniczą np. w organizowanych przez WCKMed warsztatach medycyny pola walki, a instruktorzy z Łodzi wspomagają nasze szkolenia”, mówi „Mazi”.

I tak jest w wypadku tego treningu przed misją. Szkolenie oparte jest na programie kursu BLS (Basic Life Support), więc żołnierze uczą się podstawowych umiejętności ratujących życie. Kurs jednak został urozmaicony i uwzględnia także wytyczne amerykańskiego komitetu TC3 (Tactical Combat Casualty Care), który mówi o taktyczno-bojowej opiece nad poszkodowanym na polu walki. „W JWK pracujemy nad stworzeniem jednego, ustandaryzowanego programu szkolenia medycznego, które będzie musiał przejść każdy komandos. Specjalistyczna wiedza z medycyny pola walki jest konieczna ze względu na specyfikę działania wojsk specjalnych. Nasi żołnierze najczęściej działają w niewielkich grupach, w oderwaniu od głównych sił, więc muszą być w dużym stopniu samowystarczalni. Powinni wiedzieć, jak zaopiekować się poszkodowanym i zwiększyć jego szansę na przeżycie”, dopowiada ratownik medyczny z JWK.

M JAK MARCHE

Instruktorzy z WCKMed-u starali się dopasować scenariusz szkolenia do specyfiki działania specjalsów. „Żołnierze muszą radzić sobie z różnymi obrażeniami: po wybuchu IED założonych w ścianach budynków lub min ukrytych w ziemi, a także po strzale z ręki snajpera”, wyjaśnia plut. Łukasz Witkowicz. Podczas zajęć ratownicy dysponują również sprzętem, którego na co dzień używają komandosi. „Ewakuację ćwiczyliśmy, m.in. korzystając z MRAP-ów, którymi na misjach poruszają się nasi żołnierze. Symulując rany postrzałowe, zwracamy uwagę na kamizelki kuloodporne komandosów. Te używane na misjach różnią się nieco od tych z kraju”.

Podczas pierwszych kilku godzin zajęć teoria przeplatała się z praktyką. Żołnierze uczyli się np. zasad udzielania pierwszej przedmedycznej pomocy dziecku i dorosłemu. „To tylko wstęp do poważniejszych zagadnień. Zatrzymanie krążeniowo-oddechowe pacjentów nie jest najczęstszą przyczyną zgonów na polu walki, lecz np. krwotoki”, dodaje st. kpr. Radosław Mizera.

Dlatego instruktorzy uczyli, jak wykonać badanie poszkodowanego zgodnie z procedurą MARCHE (akronim pierwszych liter angielskich słów określających kolejne

etapy badania). „M” (massive bleedings) oznacza masywne krwotoki. „Sprawdźcie, czy ranny ma krwotok. Przede wszystkim obejrzyjcie kończyny. Zobaczcie, czy na mundurze nie ma śladów krwi, ale pamiętajcie, że on może być mokry nie tylko od niej. Dlatego powąchaj-

cie ręce, bo krew ma bardzo charakterystyczny zapach. Jeśli potwierdzicie krwotok, zakładacie opaskę uciskową. I zróbcie to dokładnie, bo 60% zgonów na polu walki to efekt niezatamowanych krwotoków”, tłumaczy kursantom plut. Witkowicz. Kolejna litera to „A” (airways), czyli drogi oddechowe. „Sprawdzacie, czy ranny oddycha. Patrzycie, czy unosi się jego klatka piersiowa. Udrażnianie też jego drogi oddechowe, być może będziecie musieli założyć rurkę nosowo-gardłową”, wyjaśnia instruktor. Zwraca też uwagę na detale: „Wiem, że lubicie żuć tytoń, więc sprawdźcie, czy ranny nie ma go w ustach”.

Litera „R” (respiratory distress) oznacza opatrywanie ran klatki piersiowej. „Pamiętajcie, że jeśli kula przeszła na wylot, trzeba również opatrzyć plecy”, tłumaczy instruktor. Przy literze „C” (cardio) sprawdzamy tętno. „Wydaje się to najprostsze, ale mało kto wie, jak to zrobić. Najłatwiej zjechać palcem po linii kciuka, aż pojawi się niewielki dołek. Tam dwoma palcami mierzymy tętno”, tłumaczy dalej medyk. Litera „H” (head/ hypothermia) to wskazanie do opatrzenia ewentualnych ran głowy. „Ale H to również hipotermia. Pamiętajcie, że krew rozprzodza ciepło, więc przy krwotoku dochodzi do wyziębienia. Musicie go zatamować, a potem ogrzać rannego”, wyjaśnia inny z instruktorów. Procedurę MARCHE zamyka litera „E” (everything else). „W tym punkcie mamy to wszystko, czego jeszcze nie badaliśmy. Trzeba na przykład zwrócić uwagę na brzuch – twardy może świadczyć o krwotoku wewnętrznym. Warto też sprawdzić, czy ranny nie ma złamań”, daje wskazówki plut. Witkowicz.

To jednak nie wszystko. Medycy pokazywali także, w jaki sposób używać opaski uciskowej, zakładać opatrunki hemostatyczne czy usuwać odnę płucną, która może pojawić się po postrzale w klatkę piersiową. „Powietrze trafia do jamy opłucnej i trzeba je stamtąd odprowadzić”, tłumaczy st. kpr. Mizera. Jak to zrobić? Należy wbić grubą igłę zakończoną wentylem w drugą przestrzeń międzyżebrową. Jeśli zabieg zostanie przeprowadzony prawidłowo, słychać charakterystyczne „syknięcie”, jak wtedy gdy spuszczaemy powietrze z koła. Zabieg ten żołnierze przez kilka godzin ćwiczyli na fantomie. „Co ciekawe, wbicie dziesięciocentymetrowej igły w klatkę piersiową nie sprawiało im żadnego problemu. To wynika ze świadomości tych ludzi. Wiedzą, że muszą



PRIORYTETEM JEST ZAWSZE WALKA Z PRZECIWNIKIEM, BO TO DAJE BEZPIECZEŃSTWO – W MYŚL ZASADY DOBRY RATOWNIK TO ŻYWY RATOWNIK

zrobić wszystko, żeby uratować towarzysza broni”, chwali komandosów plut. Witkowicz.

Po kilku godzinach komandos nabiera wprawę w opiece nad poszkodowanym. Instruktorzy wyjaśniają, że udzielanie pomocy wymaga treningu. „Dobrze, jeśli żołnierze wyrobią sobie pamięć mięśniową. Muszą mieć odpowiednie nawyki, by w razie zagrożenia i stresu działać poprawnie”, dodaje specjalista z WCKMed-u. Przypomina jednocześnie, że zajęcia medyczne powinny być przeprowadzane jak najczęściej.

TAKTYKA RATOWANIA

Żołnierze zespołów bojowych trzeciego dnia szkolenia trenowali procedurę MARCHE już w warunkach zbliżonych do realnych. „Zależało nam, żeby przećwiczyli wszystko w sytuacji mniej komfortowej niż zajęcia w sali”, wyjaśnia „Mazi”, ratownik z JWK. Scenariusz zakładał zdarzenie, do którego mogłoby dojść na misji: w centrum miasta nastąpiła eksplozja ładunku wybuchowego. Ranni zostali żołnierze. Do akcji wkracza oddział komandosów. Ich zadaniem jest odeprzeć atak przeciwnika, ewakuować rannych, opatrzyć ich oraz wezwać MEDEVAC. „Żołnierze musieli opanować ten chaos, rozdzielić zadania, wyznaczyć medycznego lidera i podjąć decyzje o kolejności ewakuacji. Medycyna pola walki rządzi się innymi prawami niż cywilne ratownictwo. W pierwszej kolejności ewakuujemy tych, których da się uratować, a ci, którzy są najciężiej ranni i rokują najgorzej, lecą do szpitala ostatni”, wyjaśnia „Mazi”.

Zadanie nie było proste nawet dla bardzo doświadczonych komandosów. Żołnierze wkroczyli do ciemnej, pełnej gęstego dymu sali, gdzie mrok rozświetlało jedynie stroboskopowe światło. Operatorzy musieli znaleźć poszkodowanych i ewakuować ich w bezpieczne miejsce. Jednocześnie część z nich zapewniała osłonę, bo wymiana ognia wciąż trwała. „Priorytetem jest zawsze walka z przeciwnikiem, bo to daje bezpieczeństwo – w myśl zasady dobry ratownik to żywy ratownik”, mówi st. kpr. Mizera. Kiedy udało się odnaleźć wszystkich rannych, trzeba było umieścić ich na noszach i przenieść w bezpieczne miejsce. Potem przyszedł czas na MARCHE.

Komandos po kolei realizowali kolejne podpunkty. Czy zdarzały się pomyłki? Tak. Choć były to tylko ćwiczenia, adrenalina i stres zrobiły swoje. Stojący nad głowami kursantów instruktorzy pokrzykiwali: „Nie może być mylić kolejności działania. Co masz po M? A! No to dalej, sprawdź, czy oddycha! Ma cały mundur zakrwawiony. Uciskaj, a potem szybko zakładaj opaskę!”. Ostatnim etapem pracy operatorów było umieszczenie informacji o stanie poszkodowanego na niewielkiej karteczce. Dane te razem z rannymi trafiają potem do lekarzy w szpitalu wojskowym.

DALEKO OD SZPITALA

A co jeśli pododdział komandosów działa zbyt daleko od bazy i poszkodowany bez fachowej pomocy nie przeżyje kilkugodzinnego oczekiwania na transport? Wojska specjalne szykują się również na taką ewentualność. W czasie szkolenia żołnierzy wyjeżdżających na misję trening przeszedł także zespół tworzący tzw. surgical team – w JWK to lekarz, pielęgniarka oraz dwóch ratowników medycznych. „Pełnimy funkcję swego rodzaju łącznika między szpitalem polowym w bazie a medykiem w pododdziale, który cały czas czuwa przy rannym”, tłumaczy lekarz z JWK. „To do nas są ewakuowani poszkodowani z pola walki. My mamy ich zbadać oraz podjąć decyzję, kto jako pierwszy powinien być skierowany do szpitala. Jesteśmy wyposażeni w podstawowy sprzęt i wykonujemy zabiegi ratujące życie”, wyjaśnia lekarz z surgical teamu.

Niewielka przestrzeń, w której działa zespół, sprawia, że szybko pojawia się chaos. Opanowuje go lekarz: „Proszę ułożyć pacjentów w podanej przeze mnie kolejności. Będę mówił, kiedy można wnosić do badania kolejnych rannych”. Kiedy żołnierze wnoszą poszkodowanego, podają również informacje medyczne na jego temat, które mają ułatwić leczenie: „Krwotok z kończyny dolnej, założyliśmy opatrunk, jest nieprzytomny”, wymienia komandos. Ratownicy rozcinają mundur, oglądają obrażenia, po raz kolejny zakładają opaskę uciskową. Pacjent otrzymuje także silne leki przeciwbólowe, ma sprawdzane tętno i saturację. Po badaniu przez surgical team poszkodowani oczekują na śmigłowiec MEDEVAC, którym polecą do szpitala. ■

PLUT. RAFAŁ RUTKOWSKI


Data i miejsce urodzenia:

31 stycznia 1982 roku,
Bogatynia.

**W wojsku
służy od:**
maja 2004
roku.

Edukacja wojskowa:
Szkoła Podoficerska
Wojsk Lądowych
w Poznaniu.

**Zajmowane
stanowisko:**
dowódca załogi czołgu
w 10 Brygadzie
Kawalerii Pancernej
w Świątoszowie.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:

udział w zawodach załóg czołgów „Worthington Challenge 2017” w Kanadzie. Pierwszy raz wystartowaliśmy w zawodach o tak wysokiej randze i wraz z kolegami zajęliśmy trzecie miejsce.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

ukończenie szkoły podoficerskiej.

MISJE I ĆWICZENIA:

VIII zmiana PKW Afganistan, takie ćwiczenia jak „Anakonda”, „Bóbr” i wiele innych, w których uczestniczy 10 Brygada.

**W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA
PODOBAJĄ MI SIĘ:**

nowoczesny wygląd, kamuflaż; ponadto jest praktyczny i sprawdza się w każdych warunkach.

GDYBYM NIE ZOSTAŁ ŻOŁNIERZEM:

pracowałbym w rodzinnej firmie budowlanej.



**NAJLEPSZA BROŃ:
OCZYWIŚCIE LEOPARD 2A4**

HOBBY:


sport



kuchnia



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. ARCH. 10 BKPanc

KRZYSZTOF WILEWSKI

Kiedy ta wojna wybuchła?

Oficerowie muszą umieć rozpoznawać symptomy konfliktu hybrydowego.

Scenariusz ćwiczeń „Twierdza ’18” na pozór był banalnie prosty. W fikcyjnym zakątku świata istnieją dwa państwa, z których jedno chce przejąć tereny drugiego. Agresor, czyli Czerwoni, działa przeciwko pokojowo nastawionym Niebieskim na wszystkich możliwych polach, poczynając od cyberprzestrzeni (inspirowanie ataków hakerskich w sieci), przez politykę i geopolitykę (podważanie autorytetu rządu Niebieskich czy zmuszanie ludności przygranicznej do migracji), aż po działania stricte militarne – naruszenia przestrzeni powietrznej i koncentracja jednostek przy granicy pod pozorem ćwiczeń wojskowych. W pewnym momencie strategzy Niebieskich nie mieli już wątpliwości, że Czerwoni atakują. Trzeba się zatem przygotować do klasycznej wojny obronnej. Tylko pozostaje pytanie: kiedy ta wojna właściwie wybuchła?

WSZYSTKIE CHWYTY DOZWOLONE?

„Według scenariusza ćwiczeń uczestnicy sami musieli zdecydować, w którym momencie została przekroczona granica między kryzysem a wojną, a w związku z tym, kiedy wykorzystać do obrony potencjał militarny zgodnie z przepisami prawa”, wyjaśnia płk dr hab. Leszek Elak, kierownik „Twierdzy ’18”, wskazując, że wzorce w tym wypadku czerpano z konfliktu na Ukrainie, gdzie formalnie nie ogłoszono wojny. „Autorzy manewrów wskazywali symptomy rozpoczęcia działań wojennych innych niż te, które znamy z historii. Studenci mieli je rozpoznać. Narastanie konfliktu mogli zaobserwować w takich działaniach, jak ochrona uciskanej mniejszości etnicznej, propaganda, aktywność w cyberprzestrzeni, trolling, ataki dy-

wersyjne na infrastrukturę krytyczną, dywersja, głębokie uderzenia raketowe, działalność wojsk i służb specjalnych przeciwnika czy akty terroru wymierzone w osoby publiczne”, opowiada pułkownik.

Zgodnie ze scenariuszem przeciwnik chętnie wykorzystywał różne metody antagonizowania społeczeństwa, m.in. zgłaszał na policję i do prokuratury fikcyjne przypadki agresji i napaści na przedstawicieli Czerwonych, za pośrednictwem mediów osłabiał zaufanie do władz rządowych i samorządowych oraz podważał wiarygodność instytucji publicznych, takich jak wojsko i policja. Stąd fałszywe newsy o pijanych żołnierzach grabiących mienie Czerwonych czy policjantach ścigających za niepopelnione przestępstwa. Pojawiły się również bardziej wyrafinowane działania, jak chociażby ogłaszanie bankructw działających na terenie Niebieskich firm należących do kapitału Czerwonych, które wroga propaganda przedstawiała jako gnębienie wolnego biznesu i skazywanie ludzi na bezrobocie.

„Chcemy, aby nasi studenci przestali myśleć schematycznie. Powinni sobie uświadomić, że konflikty hybrydowe są już rzeczywistością i należy inaczej wykorzystywać swój potencjał do przeciwdziałania i obrony niż w wypadku klasycznego konfliktu. To sposób postrzegania zagrożeń i podejmowania działań odmienny od tego, według którego dotychczas byli szkoleni”, wyjaśnia płk dr hab. Leszek Elak.

Pierwszy etap „Twierdzy ’18” przewidywał działania niekinetyczne w zagrożeniach hybrydowych, w drugim zaś były już ćwiczenia sztabowe – trenuje się wówczas konwencjonalne użycie wojsk, a dokładniej działania opóźniające i obronne prowadzone po wkroczeniu przeciwnika na



ARCH. ASZWOJ



WZORZEC ĆWICZEŃ ZACZERPNIĘTO Z KONFLIKTU NA UKRAINIE, GDZIE FORMALNIE NIE OGŁOSZONO WOJNY

nasz teren. Tyle że w tym wypadku były one dalekie od klasycznego szkolenia na mapach. Uczestnicy „Twierdzy '18” musieli brać pod uwagę społeczno-ekonomiczną sytuację w regionie. „Na ogromnym teatrze działań wojennych, nakreślonym wokół Przemyśla, mamy domy mieszkańców, szkoły, szpitale, kościoły i przedsiębiorstwa. Są zabytki, jest infrastruktura kolejowa i energetyczna – miliardy złotych, które musimy chronić, chociażby w ten sposób, że zaplanujemy nasze działania tak, aby straty miejscowej ludności były jak najmniejsze. W czasie prowadzenia walki powinniśmy mieć zawsze na uwadze przede wszystkim bezpieczeństwo ludności”, wyjaśnia płk Elak.

AKCJA NA ŻYWO

Od strony organizacyjnej „Twierdza '18” niewiele różniła się od innych ćwiczeń dowódczo-sztabowych w Akademii Sztuki Wojennej. Manewry odbywały się zarówno w salach wykładowych, jak i w terenie. Uczelnia stawia na najnowocześniejsze rozwiązania, zatem każdy z uczestników szkolenia pierwszego dnia, oprócz kompletu papierowych, klasycznych map, dostał komputer, na którym zainstalowany został system wsparcia dowodzenia C3IS Jaśmin, wsparty modulem JEMM (Joint Exercise Management Module), z których korzystają m.in. jednostki operacyjne np. na ćwiczeniach „Anakonda” i „Dragon”.



W ćwiczeniach dowódczo-sztabowych zorganizowanych przez najważniejszą wojskową uczelnię w kraju po raz pierwszy z zagrożeniami hybrydowymi musiały się zmierzyć ramie w ramie jednostki operacyjne, WOT oraz służby podległe MSWiA.

„Dzięki temu cały proces dowodzenia, zobrazowanie aktualnej sytuacji, planowanie działań oraz zbieranie danych odbywały się praktycznie na żywo. To było ogromne ułatwienie, bo w ten sposób mogliśmy generować zdarzenia wymuszające na wszystkich ćwiczących określoną reakcję. Mieliśmy też pewność, że polecenia dotarły do adresatów i dostawaliśmy od nich odpowiedź”, wyjaśnia ppłk dr inż. Bartosz Biernacik, kierownik Zakładu Teleinformatyki Wydziału Wojskowego ASzWoj.

Organizatorzy podkreślają, że ćwiczenia były wyjątkowe nie tylko ze względu na ich charakter, czyli połączenie pracy sztabowej z działaniami w terenie, lecz także z powodu uczestników. Oprócz słuchaczy Podyplomowych Studiów Operacyjno-Taktycznych oraz Wyższego Kursu Sztabowego wzięli w nich udział również studenci z Koła Naukowego Wojsk Specjalnych „Militarni”, dowództwo 3 Podkarpackiej Brygady Obrony Terytorialnej, Komenda Główna Straży Granicznej, Bieszczadzki Oddział Straży Granicznej, Wojewódzki Sztab Wojskowy z Rzeszowa i Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych z Kielc.

Ppłk Marek Pietrzak, rzecznik prasowy Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej, podkreśla, że również dla terytorialsów „Twierdza '18” miała duże znaczenie. „Chceliśmy uzyskać odpowiedzi na kilka kluczowych pytań, m.in. jak zorganizować i prowadzić działania taktyczne w dziedzinie przeciwdziałania zagrożeniom hybrydowym poniżej progu wojny, w jaki sposób płynnie przejść od ugrupowania działań o niskiej intensywności do działań bojowych, a także jak zorganizować współdziałanie Straży Granicznej i WOT-u w celu podniesienia efektywności wojsk własnych”.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

DUCH wspólnoty

Polacy po raz pierwszy objęli dowództwo nad sojuszniczymi oddziałami i poprowadzili je do boju w czasie ćwiczeń „Allied Spirit”.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

A merykańscy żołnierze z 2 szwadronu 2 Pułku Kawalerii mimo ciężkiego ostrzału przystępują do forsowania zasieków. Zadanie nie jest łatwe – przeciwnik spodziewał się natarcia i miał kilkadziesiąt godzin na to, by przygotować miasteczko do obrony. Do umocnień w pomysłowy sposób wykorzystał wysokie na kilka metrów mury i rowy melioracyjne, dlatego sytuacja wydaje się beznadziejna. Saperzy z poświęceniem, wykorzystując ciężar własnego ciała, rozkładają na koncertynie specjalne maty.

Po chwili pierwsza drużyna dobiega do najbliższego budynku i neutralizuje karabin maszynowy zainstalowany na ratuszowej wieży. Korzystając z przerwy w ostrzale, dołączają do niej kolejne pododdziały. Przed kawalerzystami najtrudniejsza faza operacji. Od żołnie-

rzy oczekuje się dużej dynamiki, jednak na każdym kroku może się czaić przeciwnik. Bez precyzji i zachowania szczególnej ostrożności Amerykanie naraziliby się na ciężkie straty.

Celem ćwiczeń „Allied Spirit VIII” jest poprawa interoperacyjności formacji, które służą w różnych armiach NATO. Umiejętność ta jest kluczowa, dlatego na poligonie w Hohenfels instruktorzy ze Sztabu Szkoleń 7 Armii (7th Army Training Command) stawiają na najwyższy poziom realizmu. Żołnierze, także w sztabach, muszą reagować na dynamicznie zmieniającą się sytuację, w tym zdarzenia losowe. Cały czas mają być przygotowani na ewentualny atak. Zadbano o to, by pododdziały wchodzące w skład pozoracji doskonale znały teren działania i dysponowały wszechstronnym



Pole walki jest kontrolowane za pomocą systemu MILES, który odwzorowuje trafienia i pomaga czuwać nad przebiegiem starć.

W ĆWICZENIACH „ALLIED SPIRIT VIII” wzięło udział ponad 4700 żołnierzy z dziesięciu państw. Dowództwo nad nimi objęli Polacy z 12 Brygady Zmechanizowanej.

sprzętem (w tym siłami specjalnymi oraz śmigłowcami szturmowymi). Pole walki jest kontrolowane za pomocą systemu MILES (Multiple Integrated Laser Engagement System), który odwzorowuje trafienia i pomaga czuwać nad przebiegiem starć. Wszystko w myśl zasady „im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w boju”.

W takich warunkach mieli szansę sprawdzić się żołnierze 12 Brygady Zmechanizowanej im. gen. broni Józefa Hallera. Podczas ósmej edycji „Allied Spirit” Błękitna Brygada nie tylko wystawiła pododdziały na linię, lecz także objęła dowództwo nad utworzoną na potrzeby ćwiczeń międzynarodową brygadą. Na

jej czele stanął płk Piotr Trytek: „Przez cały czas działaliśmy w warunkach maksymalnie zbliżonych do bojowych. Przeciwnik doskonale znał teren i potrafił tę wiedzę wykorzystać. Jednocześnie oprócz zaplanowanych faz ćwiczeń cały czas dostawaliśmy nowe zadania, na przykład przygotowanie rajdów”.

Nie były to jedyne wyzwania, którym musiał stawić czoła polski dowódca. „W decydującej fazie wojska przeciwnika wchodziły już w styczność z moimi formacjami, a ja nagle dostałem rozkaz przygotowania operacji na zupełnie innym kierunku. Musiałem błyskawicznie podjąć decyzję, jakie siły mogę



MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)



wystawić, aby nie osłabić własnych linii. Ostatecznie byłem zmuszony utworzyć odwód z pododdziałów logistycznych i batalionu dowodzenia. Wykonaliśmy to zadanie z sukcesem”, mówi pułkownik. Zaznacza również, że Błękitna Brygada po raz pierwszy brała udział w ćwiczeniach o takim wymiarze i dowodziła pododdziałami innych nacji oraz zabezpieczała je logistycznie. Jest to o tyle istotne, że Amerykanie z zasady wykonują te czynności samodzielnie.

WALKA DNIEM I NOCĄ

Na twarzy por. Adriana Kłosa widać zmęczenie. Jako szef zmiany pionu operacyjnego batalionu nadzoruje on działania pododdziałów saperów, które zostały przydzielone do wykonywania zadań w pobliżu frontu. Jeden z plutonów wspólnie z brytyjską piechotą przygotowuje się do natarcia. Może ono potrwać nawet kilkadziesiąt godzin. Oficer pilnuje ich pozycji, odbiera rozkazy z brygadowego TOC-u (Tactical Operations Center, czyli Taktyczne Centrum Operacji) i koordynuje działania Polaków z sojusznikami. Zadanie byłoby łatwiejsze, gdyby nie ciągła presja czasu oraz doskonale znający teren przeciwnik.

W ciągu ośmiu dob boju sztab 2 Stargardzkiego Batalionu Saperów został już trzykrotnie ostrzelany. Za każdym razem udało się odeprzeć atak i pod osłoną nocy zmienić lokalizację, ale nieustanne napięcie i wysiłek odcisnęły już piętno nawet na najbardziej doświadczonych żołnierzach.

„Wśród saperów krąży powiedzenie, że jesteśmy klasą robotniczą sił zbrojnych. Robimy rzeczy, które być może nie są widowiskowe, ale konieczne. W czasie natarcia naszym głównym zadaniem jest torowanie

Działania międzynarodowej brygady wspomagało także lotnictwo, w tym słynne chinooki i black hawki.



przejąć w zaporach inżynieryjnych przeciwnika. Drużyny złożone z Polaków są przydzielone do trzech batalionów, amerykańskiego 2 Pułku Kawalerii i 118 Pułku Piechoty oraz do brytyjskiego Królewskiego Pułku Piechoty Księżnej Walii. Według doktryn naszych sojuszników zwykły żołnierz nie ma w ogóle kontaktu z materiałami inżynieryjnymi”, twierdzi por. Adrian Kłos.

Działania międzynarodowej brygady wspomagało także lotnictwo, w tym słynne chinooki i black hawki. Piloci 227 Dywizjonu 1 Brygady Kawalerii Powietrznej odpowiadali za ewakuację medyczną oraz transport walczących pododdziałów. Podczas starć żołnierze mogli liczyć również na natychmiastową interwencję śmigłowców AH-64 Apache. Dla Polaków nie były to pierwsze doświadczenia z amerykańskim lotnictwem. Jego wszechstronność oraz siłę ognia poznali już na misjach w Iraku i Afganistanie. „Mój apache jest wyposażony w działko M230 kalibru 30 mm oraz systemy rakietowe Hellfire i Hydra, które mogą razić cele w odległości do 8 km. Jednocześnie dysponuję kamerami na podczerwień oraz noktowizją, dlatego mogę dostrzec wroga siły zarówno w dzień, jak i o zmierzchu. Zwy-



**CELEM ĆWICZEŃ
JEST POPRAWA
WSPÓŁPRACY
MIĘDZY FORMA-
CJAMI SŁUŻĄCYMI
W RÓŻNYCH
ARMIACH NATO.
POZWALA TO WY-
PRACOWAĆ
ROZWIĄZANIA
GODZĄCE RÓŻNE
PROCEDURY
ORAZ OSWOIĆ
ŻOŁNIERZY
Z WYPOSAŻENIEM
SOJUSZNIKÓW**



kle operujemy na niewielkich wysokościach i nocą, dzięki czemu pozostajemy niezauważeni”, tłumaczy chor. Darren Nay. Według niego loty w nocy są o wiele bezpieczniejsze. Jeśli wróg nie zdaje sobie sprawy z obecności apache’a, Amerykanie mogą go wypatrzeć i zaatakować.

CZAS NA WNIOSKI

Drzwi puszczają pod naporem jednego ze szturmujących żołnierzy. Do środka wpada oddział Amerykanów, którzy przystępują do czyszczenia kolejnych pomieszczeń. Ratusz to jedna z ostatnich wrogich pozycji w mieście, ale żaden z walczących nie może sobie pozwolić na rozluźnienie. W tym budynku schronienie znaleźli także cywile. Każdy ruch czy szmer może zdradzać czającego się za rogiem przeciwnika, ale może być także wywołany przez śmiertelnie wystraszonego niewinnego człowieka.

Kilkanaście minut później nad osnieżonymi dachami opada zielona flara. W ten sposób oznaczono, że miasto zostało zdobyte, a przez zabezpieczoną drogę mogą przejechać kolumny pancerne sojuszniczych wojsk. Końiec natarcia nie jest jednak równoznaczny z końcem

pracy polskich oficerów. To właśnie analiza podjętych podczas walk decyzji oraz wynikające z niej wnioski są największą wartością „Allied Spirit VIII”.

„Ćwiczenia rozpoczęły się od przemieszczenia na poligon w Niemczech i chociaż procedury związane z przekraczaniem granic mogły zostać opracowane lepiej, to ta faza zakończyła się sukcesem. W Hohenfels pokazaliśmy, że żołnierze 12 Brygady potrafią organizować obronę oraz prowadzić skuteczne natarcie. Są przygotowani nie tylko do walki, lecz także do pracy w strukturach międzynarodowych. Przemysleń wymagają natomiast działania niekinetyczne. Polska nie jest sygnatariuszem niektórych konwencji przyjętych przez naszych sojuszników, co przekłada się na dylematy natury prawnej”, tłumaczy płk Piotr Trytek, zwracając także uwagę na potrzebę rozbudowania sekcji współpracy cywilno-wojskowej (CIMIC). „W strukturze brygady mamy żołnierzy odpowiedzialnych za CIMIC, ale powinno ich być zdecydowanie więcej. Ja natomiast nauczyłem się widzieć pole walki szerszej i dostrzegać to, z czym zderzą się dowódcy batalionów, jeżeli ja nie zrobię swojej roboty. To jest dla mnie najważniejsze pole do przemysleń”.



POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIE-
GO WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTAJCIE O MA-
RYNARZACH, PILOTACH, LOGI-
STYKACH, ARTYLERZYSTACH,
PRZECIWLOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Na tropie skażeń

Gdy wszyscy są w szoku,
my zastanawiamy się, co zrobić,
aby konsekwencje skażenia
były jak najmniejsze.

W Warszawie na stacji metra Stadion Narodowy doszło do zamachu terrorystycznego. Nieznani sprawcy rozpylili w wagonach i na peronie toksyczną substancję. Ta informacja postawiła na nogi kilkaset osób, w tym chemików, ratowników, strażaków, żołnierzy, policjantów i pracowników służby zdrowia. Musieli zmierzyć się z atakiem terrorystów, w którym zostało poszkodowanych blisko sto osób.

W ciągu kilkunastu minut na terenie stacji rozstawiono namioty, do których ratownicy przenosili rannych. W tym czasie chemicy próbowali ustalić, jakim gazem zostało skażone metro. Zamach przypominał ten z 1995 roku,

gdy w tokijskim metrze terroryści rozpylili sarin. Zginęło wówczas 12 osób, a 3 tys. zostało rannych. „Przygotowując nasze ćwiczenia, wzorowaliśmy się na wydarzeniach w Japonii”, przyznaje ppłk Jarosław Czepiel, szef Wydziału Koordynacji Centralnego Ośrodka Analizy Skażeń (COAS).

POMOCNE SYMULACJE

Atak w metrze był symulacją, ale takie zagrożenie jest prawdziwe. W każdej chwili może bowiem dojść do zamachu terrorystycznego, a także do skażenia chemicznego, biologicznego czy promieniotwórczego. Wystarczy, że cysterna przewożąca amoniak lub chlor przewróci się na



drodze, dojdzie do awarii w zakładach chemicznych czy rozprzestrzeni się wirus ptasiej grypy. Aby monitorować takie sytuacje, w 2006 roku powstał Krajowy System Wykrywania Skażeń i Alarmowania (KSWSiA). „Celem takich ćwiczeń jak symulacja ataku w metrze jest sprawdzenie, w jakim stopniu zespoły poszczególnych służb, będące częścią systemu, efektywnie współdziałają”, tłumaczy ppłk Czepiel. W skład KSWSiA wchodzi bowiem 21 systemów wykrywania i alarmowania o skażeniach, których działanie koordynuje Centralny Ośrodek Analizy Skażeń. Ściśle współdziała m.in. ze Strażą Graniczną, Państwową Strażą Pożarną, Policją, służbami sanitarnymi oraz Państwową Agencją Atomistyki. Wkrótce do tego grona prawdopodobnie dołączy Służba Celna. To jej funkcjonariusze kontrolują na granicach cysterny, którymi wwożone są do Polski różne substancje, także niebezpieczne. COAS bierze też udział w państwowym monitoringu środowiska.

W razie zagrożenia Centralny Ośrodek Analizy Skażeń staje się centrum dyspozycyjnym Krajowego Systemu Wykrywania Skażeń i Alarmowania. „W niebezpiecznej sytuacji integrujemy zadania wszystkich służb odpowiedzialnych za reagowanie podczas wystąpienia zagrożenia skażeniami. Koordynujemy działalność około tysiąca różnych podmiotów wojskowych i cywilnych, aby jak najlepiej wykorzystać wszystkie dostępne siły i środki”, mówi ppłk Czepiel. Bliską współpracę utrzymujemy z Instytutem Meteorologii i Gospodarki Wod-

ŻEBY ZOSTAĆ ŻOŁNIERZEM CENTRALNEGO OŚRODKA ANALIZY SKAŻEŃ, TRZEBA MIEĆ DUŻĄ ODPORNOŚĆ NA STRES

nej, który przekazuje nam komunikaty o pogodzie. Takie informacje pozwalają obliczyć na przykład, jak szybko mogą się rozprzestrzeniać skażenia na danym terenie.

Udział wojska w krajowym systemie nie ogranicza się do wykrywania i analizowania skażeń. Żołnierze wchodzi w skład zespołów zarządzania kryzysowego wszystkich szczebli. Są łącznikami władz lokalnych odpowiedzialnych za ochronę ludności z kierownictwem resortu obrony. Służą też swoją wiedzą członkom zespołów zarządzania kryzysowego.



TRZY PYTANIA DO

Jacka Barańskiego

Na czym polega specyfika jednostki, którą Pan dowodzi?

Centralny Ośrodek Analizy Skażeń to szczególna jednostka. Nasze zadania wynikają nie tylko z przeznaczenia czy rozkazów i decyzji

przełożonych, lecz także z obowiązującego w naszym kraju prawa. W imieniu ministra obrony narodowej odgrywamy rolę centrum dyspozycyjnego Krajowego Systemu Wykrywania Skażeń i Alarmowania, integruje-

my działanie wielu podmiotów wojskowych i cywilnych o różnej podległości zajmujących się zagrożeniem skażeniami. Pełnimy funkcję naczelnego ognia Systemu Wykrywania Skażeń Sił Zbrojnych RP.

Na co dzień ośrodki monitoruje sytuację, organizuje szkolenia i ćwiczenia. Do najważniejszych należą treningi oraz ćwiczenia „Patrol”. Scenariusze takich manewrów uwzględniają zagrożenia dla ludności oraz infrastruktury kraju. Trzeba opanować wyciek chemikaliów z cysterny kolejowej lub amoniaku z zakładów chemicznych. Należy ograniczyć epidemię choroby zakaźnej stwierdzonej u turystów, którzy wrócili z Azji. W Narodowym Centrum Badań Jądrowych doszło do uwolnienia materiału promieniotwórczego, a na jednym z przejść granicznych próbowano wwieźć do Polski pojemniki z nieznaną zawartością. To zaledwie kilka przykładów. Na tle tak podgrywanych epizodów do działania przystępują resortowe systemy tworzące KSWSiA. Służby i instytucje muszą zareagować na symulowane skażenia chemiczne, biologiczne i promieniotwórcze. „W czasie takich ćwiczeń swoje umiejętności doskonali strażacy, policjanci, żołnierze oraz pracownicy administracji rządowej i samorządowej zajmujący się problematyką zarządzania kryzysowego”, podsumowuje ppłk Czepiel.

NIEZBĘDNE ANALIZY

W październiku 2017 roku nad Europą wykryto niewielkie ilości izotopu promieniotwórczego ruten-106. Nie wiadomo, skąd substancja wzięła się w powietrzu. Państwowa Agencja Atomistyki uspokajała, że stężenie jest niewielkie i nie powoduje zagrożenia dla zdrowia. Żołnierze Wydziału Analiz Centralnego Ośrodka Analizy Skażeń musieli jednak sami ocenić sytuację, aby przekazać dowódcom jednostek wojskowych informacje o ewentualnym zagrożeniu. Ppłk Jacek Granatowski, który kieruje tym wydziałem, odpowiada za koordynację działań Systemu Wykrywania Skażeń Sił Zbrojnych, który wchodzi

w skład krajowego. Jego zespół po analizie danych przedstawia obraz ewentualnego zagrożenia.

Podpułkownik uważa, że większość osób postrzega zagrożenia stereotypowo. Wybuch jądrowy kojarzy im się z grzybem i podmuchem, który zmiata wszystko, co napotka na swojej drodze. „Nasi analitycy myślą inaczej, muszą ocenić zasięg zagrożenia i straty. Gdy wszyscy są w szoku, my zastanawiamy się, co zrobić, aby konsekwencje były jak najmniejsze. Staramy się też jak najszybciej przetworzyć dane. Im sprawniej to zrobimy, tym więcej czasu na reakcję będą mieli żołnierze znajdujący się w terenie”, tłumaczy szef Wydziału Analiz COAS.

System informatyczny Promień ułatwia im pracę – skracając czas analizy, ostrzega i alarmuje. Wykorzystując komunikaty o zagrożeniu oraz dane meteorologiczne z Centrum Hydrometeorologii Sił Zbrojnych oraz z IMGW, automatycznie przesyła informacje o skażeniach, a na cyfrowej mapie pokazuje prognozę rozprzestrzeniania. W ten system są wyposażone także wojewódzkie centra zarządzania kryzysowego oraz instytucje centralne tworzące Krajowy System Wykrywania Skażeń i Alarmowania. Docelowo będzie on działał też w powiatowych centrach zarządzania kryzysowego. „W każdej jednostce wojskowej znajduje się co najmniej jeden posterunek obserwacji skażeń. Te dane trzeba przetworzyć i ocenić, aby doradzić dowódcę, jakie działania powinni podjąć”, tłumaczy ppłk Granatowski.

Po doświadczeniach z katastrofy w Czarnobylu w ośrodku zorganizowano punkt kierowania systemem wykrywania skażeń, w którym żołnierze podczas 24-godzinnych dyżurów prowadzą monitoring na terenie całego kraju. Nadzorują m.in. wojskową sieć sprawdzającą poziom skażeń promieniotwórczych. Wymieniają także informacje z wojewódzkimi centrami zarządzania kryzy-



Pobieramy próbki materiałów niebezpiecznych oraz z wykorzystaniem wysokiej klasy sprzętu, za pomocą badań laboratoryjnych identyfikujemy skażenia. Wszystko to robią żołnierze o unikatowych specjalnościach i umiejętnościach, mający odpowiednie wykształcenie, a nierzadko tytuły naukowe.

Jak można rozpocząć służbę w Centralnym Ośrodku Analizy Skażeń?

Żeby zostać żołnierzem Centralnego Ośrodka Analizy Skażeń, trzeba

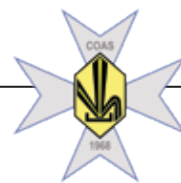
mieć dużą odporność na stres wynikający z pracy z substancjami i czynnikami niebezpiecznymi o działaniu chemicznym, promieniotwórczym i biologicznym. Należy pamiętać, że chemik jest jak saper – jeden błąd może decydować o naszym zdrowiu i życiu.

Jakie wymogi stawia Pan kandydatom?

Trzonem naszego ośrodka są specjaliści o wykształceniu chemicznym. Liczy się również doświadcze-

nie zdobyte w innych jednostkach i na misjach. Kandydat do służby w COAS-ie musi czuć potrzebę systematycznego podnoszenia kwalifikacji i umiejętności specjalistycznych. Innym bardzo ważnym czynnikiem jest wysoka sprawność fizyczna – niezbędna podczas działania w indywidualnych środkach ochrony przed skażeniami. ■

Kmdr JACEK BARAŃSKI
jest dowódcą Centralnego
Ośrodka Analizy Skażeń.



CENTRALNY OŚRODEK ANALIZY SKAŻEŃ

Powstał w 1968 roku. W 2007 roku otrzymał „Znak Honorowy Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej”. W 2008 roku minister obrony narodowej podjął decyzję o ustanowieniu odznak pamiątkowej i rozpoznawczej COAS, a 31 marca ogłosił do rocznym świętem Centralnego Ośrodka. ■

sowego oraz Centrum ds. Zdarzeń Radiacyjnych Państwowej Agencji Atomistyki.

W pokoju, w którym żołnierze pełnią taką służbę, na ścianie wisi mapa Polski. Zaznaczono na niej kilkadziesiąt większych i mniejszych kolorowych punktów. Są to ośrodki, które w razie katastrofy mogą stanowić zagrożenie – głównie chodzi o zakłady przetwarzające toksyczne substancje, jak chlor, amoniak, kwas siarkowy czy azotany. Największe punkty oznaczają firmy mające w swoich zbiornikach ponad 50 t niebezpiecznych substancji. Mniejsze to mleczarnie, masarnie, zakłady uzdatniania wody. Ta baza danych jest aktualizowana co pół roku we współpracy z wojewódzkimi centrami zarządzania kryzysowego.

Aby w razie wypadku czy katastrofy sprawnie określić parametry zagrożenia, nakreślić prognozę rozwoju sytuacji oraz rekomendować podjęcie konkretnych działań, żołnierze Wydziału Analiz COAS uczestniczą w takich ćwiczeniach jak „Błysk”. W 2017 roku scenariusz tych manewrów przewidywał 68 skażeń biologicznych, chemicznych, radiologicznych, nuklearnych. Skalę zagrożeń oceniali 44 ośrodki analizy skażeń i grupy operacyjne oraz 120 żołnierzy i 40 wojskowych w kierownictwie ćwiczeń. „W ciągu doby przetwarzaliśmy m.in. ponad 4,5 tys. meldunków meteorologicznych, wysyłaliśmy także kilkaset komunikatów”, opowiada ppłk Granatowski.

SKAŻENIA NA ŻYWO

Z realnymi skażeniami mają do czynienia żołnierze Wydziału Reagowania COAS, w którym znajdują się m.in. mobilne laboratoria obrony przed bronią masowego rażenia (ML OPBMR), biologiczne, chemiczne i radiometryczne,

zespoły pobierania prób. Aby je wykryć, żołnierze muszą wejść na zagrożony teren. „Każdego roku dostajemy wezwania do zbadania takich podejrzanych znalezisk, zazwyczaj wykopanych w trakcie prac budowlanych lub na terenach wojskowych przekazanych cywilom”, mówi mjr Mariusz Tyburski, szef sekcji analizy i pobierania prób biologicznych w Wydziale Reagowania COAS. Wówczas żołnierze z mobilnych zespołów pobierają w terenie próbki skażonych materiałów i przeprowadzają analizę. Do dyspozycji mają laboratorium mobilne wyposażone w sprzęt do prowadzenia rozpoznania i identyfikacji skażeń albo stacjonarne laboratoria chemiczne i radiometryczne.

Por. Michał Łagowski, oficer sekcji pobierania prób i zabezpieczenia w Wydziale Reagowania COAS, brał udział w wielu takich akcjach. Jedną z nich było wezwanie do Celestynowa pod Warszawą, gdzie w czasie prac budowlanych robotnicy wykopali pojemniki z gazem i jeden z nich się rozszczelił. Na miejsce przyjechało mobilne laboratorium chemiczne. Żołnierze rozstawili namioty, sprawdzili teren za pomocą detektorów do wykrywania skażeń, pobrali próbki nieznanej substancji i przekazali je do zbadania. Okazało się, że pojemniki zawierały chloropikrynę, pochodzącą z lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia substancję o działaniu drażniącym, używaną dawniej do rozpędzania zamieszek.

„W zależności od sytuacji dobieramy odpowiednie środki ochrony skóry i dróg oddechowych. Jeśli jest duże prawdopodobieństwo silnego skażenia, nie używamy masek filtracyjnych, lecz wkładamy kombinezony gazoszczelne i bierzemy aparaty powietrzno-butłowe”, wyjaśnia por. Łagowski. I opowiada o kolejnej akcji: „Kilka tygodni



SPRZĘT

Żołnierze Centralnego Ośrodka Analizy Skażeń dysponują sprzętem, który pozwala bezpiecznie wykonywać zadania: pobrać próbki skażonych materiałów i prowadzić analizy laboratoryjne. Wyposażeni są w specjalistyczną odzież ochronną, w tym filtracyjną (ma membrany pochłaniające skażenia) i izolacyjną (pozwala działać w terenie skażonym). COAS ma nowoczesne detektory do wykrywania skażeń chemicznych oraz promieniotwórczych, dzięki którym można precyzyjnie zlokalizować miejsce skażenia, a tym samym pobrać właści-

wą próbkę do badań. Laboratoria COAS-u są wyposażone m.in. w chromatografy ze spektrometrem masowym (gazowe i cieczowe) oraz spektrometry (podczerwieni z transformacją Fouriera i półprzewodnikowe). Zespoły pobierania prób dysponują specjalistycznym sprzętem do prześwietlania pocisków, pozwalającym bezinwazyjnie „zajrzeć” do ich wnętrza. Umieszczenie laboratoriów (chemicznego, biologicznego i radiometrycznego) oraz zespołów pobierania prób na pojazdach specjalistycznych zapewnia im odpowiednią mobilność. ■

UDZIAŁ WOJSKA W KRAJOWYM SYSTEMIE NIE OGRANICZA SIĘ DO WYKRYWANIA I ANALIZOWANIA SKAŻEŃ. ŻOŁNIERZE WCHODZĄ W SKŁAD ZESPOŁÓW ZARZĄDZANIA KRYZYSOWEGO WSZYSTKICH SZCZEBLI

temu na terenie jednej z jednostek wojskowych na Wybrzeżu wykopano beczki z nieznaną substancją. Stwierdziliśmy, że pochodziły one z czasów II wojny światowej. Po otwarciu zaczęły dymić, bo znajdował się w nich kwas chlorosulfonowy. Ta bardzo niebezpieczna substancja wytwarza silnie toksyczną mgłę”. Skąd na Wybrzeżu wzięły się becz-

ki z kwasem chlorosulfonowym? Z pomocą historycznych źródeł udało się ustalić, że ponad 70 lat temu na tamtym terenie stacjonowały pododdziały zadymiania z Włoch, które używały tej substancji do zabezpieczenia portów przed nalotami. W akcji, o której opowiedział por. Łagowski, brały udział jednostki ogólnowojskowe, marynarka wojenna, saperzy, policja, straż pożarna oraz pododdziały wojsk chemicznych. „Każde praktyczne działanie naszego ośrodka związane z reagowaniem kryzysowym polega na współpracy z innymi jednostkami. My jednak jesteśmy koordynatorem działań, wypracowujemy wnioski do dalszego postępowania”, podkreśla por. Łagowski.

TRENING CZYNI MISTRZA

W ostatnich latach żołnierze ośrodka wielokrotnie zabezpieczali pod względem rozpoznania i identyfikacji skażeń różnego rodzaju wydarzenia, takie jak warszawski szczyt NATO, wizyta papieża Franciszka, Światowe Dni Młodzieży w Krakowie. Swoje umiejętności będą doskonalić też podczas tegorocznych ćwiczeń Krajowego Systemu Wykrywania Skażeń i Alarmowania „Patrol '18”. Ich analizy mają decydujące znaczenie dla bezpieczeństwa wojsk na wypadek skażenia chemicznego, biologicznego czy radiologicznego. Od trafności ich ocen dotyczących skażenia na danym terenie zależy ludzkie życie.

Żołnierze COAS-u poszerzają swoją wiedzę o różnego rodzaju szkoleniach. M.in. w kwietniu odbędzie się III Konferencja Naukowa Krajowego Systemu Wykrywania Skażeń i Alarmowania „Funkcjonowanie Krajowego Systemu Wykrywania Skażeń i Alarmowania w świetle aktualnych zagrożeń skażeniami”. ■

PRZYBYLIŚMY, ZOBACZYLIŚMY, KOALICJA ZWYCIĘŻYŁA

Z Łukaszem Piątkiem

o doświadczeniach polskich lotników biorących udział w operacji „Inherent Resolve” rozmawiał Łukasz Zalesiński.

Wygraliśmy wojnę! Na to wychodzi. Zaledwie przyjechaliśmy do Kuwejtu, a w świat poszła informacja, że Mosul został odbity. Przez kolejne miesiące siły tzw. Państwa Islamskiego były w odwrocie, aż wreszcie w grudniu 2017 roku premier Iraku Hajdar Dżawad al-Abadi ogłosił, że wojna została wygrana. W ciągu pół roku spod ucisku kalifatu wyzwolonych zostało 7 mln osób, zamieszkujących na tysiącach kilometrów kwadratowych. Potem śmialiśmy się, że tak jak kiedyś król Jan III Sobieski po udanej odsieczy wiedeńskiej stwierdził: „przybyliśmy, zobaczyliśmy, Bóg zwyciężył”, tak my teraz możemy mówić: „przybyliśmy, zobaczyliśmy, koalicja zwyciężyła”. W całej tej maszynerii byliśmy zaledwie małym trybikiem. Ale chyba spisaliśmy się nie najgorzej...

Wróćmy jednak do początku. Był strach? Myśleliście: „jedziemy na wojnę”?

Raczej nie, choć w tym wypadku mogę mówić tylko za siebie. Ja miałem raczej poczucie, że przed nami wielka przygoda. Wyzwanie z kategorii tych, na które pilot czeka przez całe życie. Do takich właśnie zadań szkoliliśmy się latami, a podatnicy płacili za to niemałe pieniądze. Oczywiście byliśmy świadomi ogromnej odpowiedzialności, która na nas ciąży. Podczas ćwiczeń można sobie pozwolić na błąd. Najwyżej potem koledzy się trochę pośmieją i tyle. A tutaj jechaliśmy reprezentować nasz kraj. W dodatku w sercu jednego z najgorętszych światowych konfliktów.

Przygotowywaliście się do tego w jakiś szczególny sposób?

W naszej zmianie brali udział piloci z Krzesin, którzy wcześniej w ogóle nie latali z zasobnikami Goodrich DB-110 albo – tak jak ja – mieli kilkuletnią przerwę. Dlatego musieliśmy to jeszcze w Polsce potrenować. Do tego doszły organizowane w Łasku szkolenia poświęcone uwarunkowaniom geopolitycznym w regionie. To była podstawa. Do bazy w Kuwejcie większa część żołnierzy naszej zmiany poleciała 26 czerwca 2017 roku. Obowiązki od kolegów z II zmiany przejmowaliśmy 13 lipca. Tak więc już na miejscu też mieliśmy trochę czasu na aklimatyzację.

To przypomnijmy: na czym polegały wasze zadania?

Prowadziliśmy loty rozpoznawcze nad terytorium Iraku. Gromadziliśmy materiał zdjęciowy, który trafiał do analityków, a po obróbce – do sztabowców z Połączonego Centrum Operacji Powietrznych [Combined Air Operations Center – CAOC]. Informacje te były wykorzystywane podczas planowania działań zbrojnych przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu.

Siły IS działały także w Syrii.

Zgadza się, ale tam nie mogliśmy latać. To wymagałoby zgody reżimu Asada, a z nim koalicja nie współpracuje.

Lataliście wyłącznie według planu, czy zdarzało się wam podrywać samoloty w trybie alarmowym?



ARCH. ŁUKASZA PIATKA

Lataliśmy nad pustynią, ale też miastami iracko-syryjskiego pogranicza.

Obserwowaliśmy, czy nie powstają tam umocnienia, czy IS nie przemieszcza swoich oddziałów, nie odbudowuje mostów na Eufracie

Nie pełniliśmy dyżurów. W takim trybie działają tam tylko Amerykanie, którzy podzielili rejon na strefy odpowiedzialności. Każdą z nich przez kilka godzin patrolują kolejne pary samolotów. My wykonywaliśmy wyłącznie zadania wcześniej zaplanowane. O terminie, w jakim odbędzie się lot, i obszarze, do którego się udamy, wiedzieliśmy tydzień wcześniej. Dwa dni przed startem dostawaliśmy informację, gdzie dokładnie mamy się kierować i na co zwrócić szczególną uwagę.

I co widać z góry?

W pierwszej części misji bardzo często kierowaliśmy się nad miasta, które wówczas były jeszcze w rękach IS, takie jak Tall Afar, Al-Ka'im, Rawa, Anah, Al-Szarkat, Al-Kasim, potem lataliśmy nad Tikritem. Na zachodzie Iraku

i przy granicy z Syrią w wielu miejscach widać zniszczenia. To rezultat nie tylko obecnej wojny, ale też walk z poprzednich lat. Wojskowe lotniska na przykład pocięte są lejami po bombach. Z kolei kiedy leci się nad Eufratem, można obserwować mosty celowo uszkodzone przez siły koalicji. W ten sposób sojusznicy walczący z IS chcieli utrudnić bojownikom przemieszczanie się między poszczególnymi miastami i prowincjami. Uszkodzenia nie są jednak wielkie. Przedstawiciele koalicji wyszli bowiem z założenia, że po wojnie kraj trzeba będzie odbudować. I to oni za to w dużej części będą musieli zapłacić. Dlatego w mostach uszkadzano jedno przęsło, tak żeby na drugą stronę nie mogły przejechać transporty z uzbrojeniem. Trasy naszych przelotów w dużej części prowadziły też nad pustynią. A wtedy wokół w ogóle niewiele widać. Jak okiem



sięgnąć, szarożółty piach i pył. Na szczęście mieliśmy bardzo precyzyjny sprzęt, dzięki któremu nawet z pozornie jednostajnego krajobrazu można było wyłowić ciekawe rzeczy...

Co więc interesowało koalicyjnych analityków?

Sprawdzaliśmy, czy na trasie naszych przelotów nie powstały nowe umocnienia albo budowle mogące pełnić funkcję militarną, czy ktoś nie próbował zbudować jakiejś prowizorycznej przeprawy przez rzekę, czy w okolicach miast nie tworzą się podejrzane obozowiska. Trudno jest wychwycić anomalie. Przeciwnie bojomnikom IS walczyła regularna iracka armia, ale też lokalna milicja, a jej członkowie ubierają się właściwie identycznie, jak „żołnierze” Państwa Islamskiego. Mają też podobne uzbrojenie.

Nielatwe były te misje, ale czy niebezpieczne?

Przed każdym wylotem mieliśmy briefing, na którym kalkulowano progi ryzyka. Ustalaliśmy, na jaką wysokość możemy zejść, by znajdować się poza zasięgiem broni bojowników IS. Na terytorium Iraku zdarzały się ostrzały i zestrzelenia, ale przeważnie wtedy, kiedy samoloty czy śmigłowce podchodziły do lądowania bądź startowały. A my robiliśmy swoje i wracaliśmy do Kuwejtu. Oczywiście nasze maszyny były uzbrojone, na wypadek gdybyśmy jednak musieli się przed kimś bronić. Wojna przecież przez cały czas toczyła się tuż obok nas. W dzień za bardzo jej nie widzieliśmy, ale już w nocy, podczas lotów w goglach noktowizyjnych – jak najbardziej. W okolicach syryjskiego Abu Kamal po niebie przelatywały pociski artyleryjskie, odbywała się tam regularna wymiana ognia, trwały bombardowania z udziałem Rosjan. Choć znajdowaliśmy się po irackiej stronie granicy, te obrazy docierały do nas z odległości 50–60 km, z okolicy miasta Dajr-az-Zaur, gdzie wtedy toczyły się ciężkie walki. Zresztą w Iraku też one trwały.

A zdarzały się sytuacje, które was zaskoczyły?

Kiedyś para naszych samolotów musiała przerwać misję i wrócić na lotnisko w Kuwejcie. Kiedy byliśmy w powietrzu, dotarła do nas informacja, że z trasą lecą-

INHERENT RESOLVE

W skierowanej przeciwko Państwu Islamskiemu misji „Inherent Resolve” biorą udział przedstawiciele 62 państw. Polska dołączyła w połowie 2016 roku. W ramach III zmiany wystaliśmy do Kuwejtu 140 żołnierzy, przede wszystkim z 31 i 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego. Mieli oni do dyspozycji cztery wielozadaniowe samoloty F-16 wyposażone w zasobniki Goodrich DB-110 oraz Lockheed Martin Sniper XR.



cych znad Syrii rosyjskich bombowców Tu-22 przetnie się nasza. A dowództwo chciało unikać jakichkolwiek sytuacji, które potencjalnie mogłyby doprowadzić do konfliktu. Mieliśmy specjalną komórkę, która zajmowała się koordynacją lotów i pilnowała, żebyśmy trzymali się z dala od Rosjan.

Wspominał Pan, że jeszcze podczas waszej zmiany premier Iraku ogłosił zakończenie wojny z IS. A mimo to na początku stycznia nad Zatokę Perską polecili kolejni polscy żołnierze. Dlaczego?

Państwo Islamskie zostało rozbite, ale małe partyzanckie grupy nadal są tam aktywne. Misja „Inherent Resolve” trwa, bo Amerykanie wolą dmuchać na zimne. Już raz się z Iraku wycofywali i po latach się okazało, że zbyt wcześnie. Polscy piloci nadal więc prowadzą loty rozpoznawczo-patrolowe.

Jak wiele dała wam ta misja?

Przed wszystkim zyskaliśmy ogromne doświadczenie. Tylko w trakcie naszej zmiany piloci spędzili w powietrzu ponad tysiąc godzin. Każdy lot trwa cztery–pięć godzin, łącznie z tankowaniem w powietrzu, do tego w warunkach bojowych. Nie zastąpią tego żadne, nawet najbardziej prestiżowe ćwiczenia. Podczas misji udowodniliśmy, że mamy dobrze wyszkolonych pilotów i techników. Potwierdziły to liczne pochwały, zarówno z dowództwa sił działających na teatrze obejmującym Bliski Wschód i Azję Zachodnią, które mieści się w Tampie na Florydzie, a odpowiada za operacje w Iraku, Syrii i Afganistanie, jak i z dowództwa operacji „Inherent Resolve” oraz z Połączonego Centrum Operacji Powietrznych w Katarze. Kolejny raz pokazaliśmy, że potrafimy działać ramię w ramię z sojusznikami, odpowiadać na wyzwania związane z globalnym bezpieczeństwem. A to w realny sposób przekłada się na traktowanie w świecie samej Polski. Myślę, że dzięki takiemu zaangażowaniu na stałe stacjonują dziś u nas amerykańskie wojska.

Pptk pil. ŁUKASZ PIĄTEK był dowódcą III zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego OIR „Kuwejt”.



■ ■ ■
Patronat Honorowy Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w roku 100-lecia Odzyskania
Niepodległości 1918-2018

XXVI Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

4-7.09.2018

KIELCE

www.mspo.pl

Partner strategiczny





PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Sprawdzian przed służbą

Pierwsze w historii egzaminy wstępne dla cywilnych kandydatów na kaprali wojsk obrony terytorialnej odbyły się w Szkole Podoficerskiej Wojsk Lądowych w Poznaniu.

Służba w wojsku to nasza rodzinna tradycja. Żołnierzami są mój tata i brat, żona jest ratownikiem medycznym i pracuje w armii jako cywil. Długo nosiłem się z decyzją o wstąpieniu do wojska. W ubiegłym roku postanowiłem, że w końcu spełnię swoje marzenia o włożeniu munduru”, mówi 28-letni Sławomir Lingo z Kościeliska koło Zakopanego. Początkowo chciał dostać się do służby przez narodowe siły rezerwowe, ale gdy pojawił się w Wojskowej Komendzie Uzupełnień w Nowym Targu, usłyszał o poznańskim kursie. „Nie zastanawiałem się długo i złożyłem wszystkie wymagane dokumenty”, mówi mężczyzna. Sławomir Lingo jest jedną z 203 osób, które przyjechały do Poznania na egzaminy do Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych. W tej placówce odbędzie się pierwszy w historii naszej armii kurs dla cywilów, którzy po dziewięciu miesiącach zostaną kapralami wojsk obrony terytorialnej.

NAJTRUDNIEJ O DOBRĄ KONDYCJĘ

O naborze cywilnych kandydatów na kurs podoficerski WOT zdecydowały w 2017 roku Ministerstwo Obrony Narodowej. Jak uzasadniali przedstawiciele resortu, takie rozwiązanie umożliwi napływ podoficerów do nowego rodzaju sił zbrojnych bez konieczności sięgania po

zasoby wojsk operacyjnych. Ochotnicy mogli składać dokumenty do 15 listopada 2017 roku. Napłynęło kilkaset wniosków, ale ostatecznie 203 osoby w pierwszej połowie lutego przystąpiły do testów. Najmłodszy kandydat na podoficera miał 20 lat, a najstarszy 45. Wśród chętnych były 33 kobiety. Wiele kandydatów legitymowało się wyższym wykształceniem.

„Na początek ochotników czekał test z angielskiego, składający się z 50 pytań z czterema wariantami odpowiedzi. Ci, którzy mieli potwierdzoną znajomość języka, np. First Certificate in English, byli zwolnieni z egzaminu i otrzymywali maksymalną liczbę punktów. Mieliśmy dwie takie osoby”, mówi mł. chor. Andrzej Kędzierski, czasowo pełniący obowiązki rzecznik prasowy poznańskiej szkoły. Jak przyznają przedstawiciele placówki, minimalnej liczby punktów niezbędnych do zaliczenia nie udało się uzyskać jedynie 19 kandydatom. Nieco lepiej wypadli ochotnicy na teście wiedzy ogólnej. Z 50 pytaniami nie poradziło sobie tylko sześć osób. „To taka część egzaminów, do której trudno się przygotować. Trzeba po prostu mieć wiedzę z historii Polski i świata oraz najnowszej polityki. Mnie poszło całkiem nieźle”, mówi Sławomir Lingo.

Zdecydowanie najslabiej wypadł egzamin ze sprawności fizycznej. Podczas zmagania na hali



„Szeregowi mają już spore doświadczenie i wiedzę wojskową. Są znacznie sprawniejsi fizycznie niż cywile”, mówi st. chor. sztab. Jacek Kaźmierczak, czasowo pełniący obowiązki komendant SPWLąd.



SZKOLENIE DLA CYWILÓW

Dziewięciomiesięczny kurs podoficerski 50 najlepszych rozpocznie w kwietniu 2018 roku. W pierwszym kwartale ochotnicy przejdą szkolenie podstawowe, w drugim ogólne, a w trzecim specjalistyczne. To ostatnie będzie podzielone na moduły: dowódczy (w Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu), medyczny (Wojskowe Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi), łączności (Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu) oraz związany ze strzelcami wyborowymi (Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia w Toruniu).

Niektórzy w czasie rozmowy kwalifikacyjnej na dziesięć możliwych dostali zaledwie

JEDEN PUNKT.



ANDRZEJ KĘDZIEŃSKI / SPWL (3)

sportowej rywalizowano w trzech konkurencjach sprawdzających siłę, szybkość i wytrzymałość. Mężczyźni musieli zaliczyć biegi na 1000 m i wahadłowy 10x10 oraz podciąganie na drążku, a kobiety biegi na 800 m i zygzakiem po kopercie, a także uginanie ramion na ławeczce. „Słabe przygotowanie z WF-u widać było na pierwszy rzut oka. Wielu kandydatów nie potrafiło poradzić sobie z konkurencją 10x10 lub kopertą. Najwięcej problemów sprawiała im technika. Było widać, że niektórzy robią to po raz pierwszy w życiu. Nieco lepiej wypadły biegi na 800 i 1000 m. Ale i ta, nietrudna przecież konkurencja obnażyła słabe przygotowanie niektórych kandydatów”, przyznaje st. chor. sztab. Jacek Kaźmierczak, czasowo pełniący obowiązki komendanta SPWLąd.

Ostatecznie tego etapu egzaminu nie zaliczyło aż 114 osób. Jedną z nich był Mariusz Segiet ze Śląska. Trzydziestosześcioletek bez problemu rozwiązał test z wiedzy ogólnej, z angielskiego był zwolniony, ale poległ na WF-ie. „Zabrakło mi umiejętności technicznych i zwinności w biegu wahadłowym 10x10. Omijając jeden z drążków, upadłem, więc wynik końcowy nie był najlepszy”, przyznaje. Jest absolwentem filologii angielskiej, ale od niemal pół roku nie pracuje zawodowo, dlatego duże nadzieje wiązał z WOT-em. Z pozytywnym wynikiem sprawdzian z WF-u ukończył natomiast Michał Jopek z Radomia. Ma 22 lata, przez ostatnich kilka działał w Związku Strzeleckim „Strzelec”, jest absolwentem liceum o profilu wojskowym, a także sportowego gimnazjum. „Egzaminy nie sprawiły mi większych trudności. Mam dobrą kondycję, bo od dziecka uprawiam sporty walki”.

Tych, którzy zaliczyli dwa testy i WF, czekała jeszcze rozmowa kwalifikacyjna. Członkowie komisji oceniali motywację do wstąpienia do służby, doświadczenie (np. udział w obozach przetrwania lub przysposobienia obronnego, kursach lub szkoleniach, w tym górskim i spadochronowym) oraz zainteresowania mające związek z przyszłym kierunkiem nauki. „Zadaniem kandydatów była autoprezentacja. Musieli powiedzieć coś o sobie i swoich zainteresowaniach. Sprawdzaliśmy też ich wiedzę na temat wojsk

obrony terytorialnej, przywództwa oraz zadeklarowaną w dokumentach znajomość języków obcych innych niż angielski”, mówi st. chor. sztab. Andrzej Wojtusik, starszy podoficer Dowództwa WOT.

„Byli tacy, którzy zaskoczyli nas kwalifikacjami, doświadczeniem. Mieliśmy nawet kilku sportowców z osiągnięciami. Nie brakowało jednak i takich, którzy nie do końca rozumieli, do jakiej formacji chcą wstąpić albo – co gorsza – nic nie wiedzieli o wojskach obrony terytorialnej. Mam wrażenie, że trafili na egzaminy przypadkiem. W efekcie duża była rozpiętość punktów za ten etap rekrutacji. Niektórzy w czasie rozmowy kwalifikacyjnej na dziesięć możliwych dostali zaledwie jeden punkt, ale wielu udało się zdobyć nawet dziewięć punktów”, podsumowuje komendant szkoły. Łącznie można było ich dostać 30. Najwięcej, 24 punkty, otrzymały dwie kobiety.

WSZYSTKO OKAŻE SIĘ W PRAKTYCE

Poznańska placówka ma doświadczenie w przeprowadzaniu egzaminów wstępnych na kursy podoficerskie. Do tej pory o miejsca na nie ubiegali się wyłącznie szeregowi zawodowi, cywilów zaś interesowały tylko orkiestry wojskowe. Komendant zauważa spore różnice w rekrutacji obu grup. „Szeregowi mają już spore doświadczenie i wiedzę wojskową. Inne jest też ich podejście do egzaminów i nie zdarza się praktycznie, aby ktoś przyjechał nieprzygotowany. Wiedzą, o co walczą, więc ich determinacja też jest dużo większa. Są znacznie sprawniejsi fizycznie niż cywile – blisko 70% kandydatów w mundurach otrzymuje z tego sprawdzianu oceny bardzo dobre. A normy sprawnościowe wcale nie są niskie”, mówi st. chor. sztab. Kaźmierczak.

I choć wśród cywilnych kandydatów nie brak takich, którzy mają spore pojęcie o wojsku, to jak przyznają przedstawiciele szkoły, brak im praktycznej wiedzy o armii. „W sumie sprowadza się to do tego, że choć ci ludzie przeszli wymagane badania lekarskie i egzaminy, a wielu z nich jest dziś bardzo zdeterminowanych, to tak naprawdę nie wiemy, czy będą w stanie podołać niełatwemu szkoleniu. Wszystko się okaże w praktyce”, dodaje komendant. ■



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

PRZEPUSTKA DO TERYTORIALSÓW

Z Krzysztofem Leszczyńskim

**o tym, jak przygotować się do „szesnastek”
oraz jak ich program wpisuje się w dalszy cykl
szkolenia WOT-u, rozmawia Anna Dąbrowska.**

Czym jest „szesnastka”?

To trwające 16 dni szkolenie podstawowe dla kandydatów do wojsk obrony terytorialnej, którzy do tej pory nie mieli do czynienia ze służbą wojskową. „Szesnastka” jest początkową formą szkolenia dla tych ochotników, którzy pomyślnie przeszli rekrutację do naszej formacji. Celem jest nauczanie żołnierzy obrony terytorialnej żołnierskiego abecadła – podstawowych elementów taktyki czy strzelania.

Jak kandydaci się mogą przygotować do tego szkolenia?

Na stronach internetowych wojskowych komend uzupełnień można znaleźć instrukcje, jak to zrobić. Przygotowanie obejmuje cztery podstawowe punkty. Przede wszystkim kandydaci do terytorialnej służby wojskowej powinni załatwić swoje sprawy osobiste i urzędowe, bo przez 16 dni będą skoszarowani. Kolejnym elementem jest samodzielna nauka wojskowych zagadnień, które zostaną obje-

te praktycznym szkoleniem, m.in. podstaw taktyki, teorii strzelniczych czy budowy broni. Na razie ta wiedza jest dostępna w postaci pliku pdf, ale pracujemy nad stworzeniem platformy szkolenia na odległość. Dzięki temu będzie można uczyć się interaktywnie i sprawdzać swoją wiedzę, rozwiązując testy online. Teraz to się odbywa podczas testu pierwszego dnia szkolenia.

A trzeci i czwarty punkt przygotowań?

Trzeci to zadbanie o kondycję fizyczną. Opracowana przez nas aplikacja #OTrening dla osób przygotowujących się do wstąpienia w nasze szeregi ułatwi skonstruowanie planu treningowego, który z kolei pomoże w przygotowaniu się do testu sprawności fizycznej oraz wyczerpującego szkolenia. Ostatnim punktem jest przygotowanie butów. Wszyscy ochotnicy dostają pełne umundurowanie, ale dopuszczamy używanie własnego czarnego, sięgającego poza kostkę obuwia taktycznego. Jeśli ktoś chce zabrać na „szesnastkę” własne buty, radzimy je rozchodzić.

Ile czasu potrzeba na te przygotowania?

Około miesiąca. Tyle powinny zająć osobie zdrowej, choć nieuprawiającej sportu, nauka teorii oraz trening.

Co czeka ochotników po przekroczeniu bram koszar?

W ciągu pierwszych dwóch dni, zwykle są to sobota i niedziela, dostają wyposażenie i umundurowanie, poznają jednostkę i jej kadre, przechodzą niezbędne szkolenie, m.in. z bhp. Zdają też sprawdzian z wiedzy teoretycznej, a także mają kontrolne badania lekarskie i psychologiczne.

Wcześniej wszyscy przeszli badania psychologiczne i lekarskie orzekające o zdolności do służby wojskowej. Po co drugie badania?

Nie negujemy orzeczeń wydanych przez pracownię psychologiczną czy komisję lekarską. Rozmowa pierwszego dnia wcielenia daje możliwość poznania kondycji psychicznej kandydatów, która mogła się zmienić od czasu badań kwalifikacyjnych. Przez cały czas służby nasi żołnierze są objęci opieką psychologiczną. Z kolei lekarz bada kandydatów przed testem ze sprawności fizycznej i 16-dniowym szkoleniem na wypadek, gdyby coś związanego ze zdrowiem wydarzyło się pomiędzy badaniami w WKU a przyjsciem do jednostki, np. pojawiłby się jakiś uraz.

Jak wygląda początkowy test sprawności fizycznej?

Obejmuje marszobiegi na 3000 m, uginanie ramion w podporze przodem, tzw. pompki, i skłony tułowia w przód przez dwie minuty (brzuski). Celem testu jest określenie poziomu sprawności i przygotowania kandydatów do szkolenia. Żołnierze mogą też poznać stan swojej kondycji w porównaniu z innymi ćwiczącymi i w kontekście wymagań stawianych przez WOT. Normy są niższe niż w wypadku żołnierzy zawodowych, aby na początku nie dyskwalifikować słabszych osób. Dopiero po trzech latach służby w WOT normy zrównują się z tymi dla kadry zawodowej. Po ukończeniu „szesnastki” terytorialni dostają też plany treningowe, według których powinni ćwiczyć przez kolejne miesiące, aby podnosić swoją sprawność fizyczną. Dajemy im na to dziesięć miesięcy – do pierwszego egzaminu z WF-u. Drugim elementem sprawdzającym kondycję jest analiza budowy i składu ciała z wykorzystaniem urządzenia Body Analyzer. Skanuje ono całe ciało i analizuje jego skład, ilość tłuszczu, masy mięśniowej, typ budowy. Wyniki są wykorzystane w dalszej służbie, głównie w celu doskonalenia sprawności fizycznej kandydatów.

Czego mogą się spodziewać kandydaci w kolejnych dniach szkolenia?

Przede wszystkim będą musieli się przyzwyczaić do przebywania z bronią 24 godziny na dobę. Na razie w brygadach na pierwszym etapie formowania WOT-u jest to karabinek wz. 96 Beryl, ale do wyposażenia brygad na Warmii i Mazurach oraz Mazowszu trafiły już najnowsze karabinki Grot. Od momentu pobrania broni z magazynu nasi żołnierze mają ją cały czas przy sobie. Jest to pewna nowość w stosunku do tego, jak wyglądają tego typu szkolenia w wojskach operacyjnych. Chcemy, aby nasz żołnierz oswoił się z bronią i nabrał właściwych nawyków.

Szkolenie praktyczne – od 3. do 14. dnia – trwa po 12 godzin dziennie. Zajęcia są prowadzone w formie szkolenia taktycznego integrującego wszystkie przedmioty. Żołnierze nie ćwiczą oddzielnie poszczególnych zagadnień, np. umiejętności saperskich, topografii, rozpoznania, udzielania pierwszej pomocy przedmedycznej czy przetrwania na polu walki, lecz mają te elementy połączone w ramach jednych zajęć taktycznych. Do tego dochodzi szkolenie strzeleckie.

Na koniec kandydatów czeka egzamin w formie pętli taktycznej. Jak to wygląda?

Żołnierze mają do pokonania kilkanaście punktów rozlokowanych w obrębie pętli, którą pokonują punkt po punkcie. Na każdym z nich są testowane świeżo nabyte umiejętności. Kandydaci wykonują takie zadania, jak strzelanie, rozkładanie i składanie broni, zasady pokonywania terenu, ewakuacja rannego z pola walki, nawiązywanie łączności. Cały egzamin trwa 12 godzin. Jeśli ktoś go nie zaliczy, musi nadrobić zaległości w czasie kolejnych szkoleń. Ostatnie dwa dni „szesnastki” są przeznaczone na obsługę sprzętu i uzbrojenia. Szkolenie kończy uroczysta przysięga wojskowa organizowana w reprezentacyjnych miejscach, np. na rynkach miast, z których pochodzą żołnierze.

Czy są planowane jakieś zmiany w szkoleniu podstawowym?

Tak, ale dopiero po utworzeniu wszystkich brygad WOT-u i wyszkoleniu ich żołnierzy, czyli w perspektywie kilku lat. Wówczas zostanie uruchomiony stacjonarny, dziewięcioletniowy podstawowy kurs lekkiej piechoty, który po wygaszeniu szkolenia w obecnym systemie będą musieli ukończyć wszyscy aplikujący do służby w WOT. Będzie on organizowany w powstającym Centrum Szkolenia Wojsk Obrony Terytorialnej w Siedlcach.



DZIEŃ PODNIU



WCIELENIE DO JEDNOSTKI:

wyposażenie w mundur i sprzęt osobisty, zapoznanie z regulaminami, sprawy ewidencyjne, poznanie zasad ochrony informacji niejawnych, szkolenie bhp i przeciwpożarowe, test z wiedzy teoretycznej, kontrolne badanie lekarskie, rozmowa z psychologiem.

TEST WSTĘPNY ZE SPRAWNOŚCI FIZYCZNEJ:

marszobieg na 3 km, pompki, brzuski. W pierwszym przypadku ważny jest czas pokonania dystansu, przy pompkach i brzuszkach liczy się liczba powtórzeń (normy zależne od wieku i płci są dostępne na stronach WKU). Badanie współczynnika budowy ciała. Wręczenie broni.



SZKOLENIE PRAKTYCZNE:

taktyka – m.in. techniki pokonywania terenu, elementy bytowania, terenoznawstwo, maskowanie, obrona przeciwlotnicza, rzut granatem, marsz ubezpieczony, prowadzenie obserwacji, posługiwanie się maską przeciwgazową, udzielanie pierwszej pomocy, ewakuacja rannego z pola walki; szkolenie strzeleckie – m.in. budowa i obsługa broni, zasady bezpiecznego posługiwania się bronią, strzelanie, przyjmowanie postaw strzeleckich. Ostatniego dnia egzamin w formie pętli taktycznej.

ZANIM PRZEKROCZYSZ BRAMĘ KOSZAR

- Załatw sprawy osobiste i urzędowe.
- Poświęć czas na samodzielną naukę teorii, chodzi m.in. o budowę broni, zasady posługiwania się nią, przepisy prawne, regulaminy, terenoznawstwo, obronę przed bronią masowego rażenia, obronę przeciwlotniczą, prowadzenie obserwacji, pokonywanie terenu, budowę maski przeciwgazowej czy łączność.
- Zadbaj o kondycję fizyczną, korzystając z planu treningowego.
- Rozchodź własne obuwie taktyczne.

Przygotowanie do „szesnastki” zajmie Ci

**OKOŁO
MIESIĄCA**



Na co jest kładziony największy nacisk podczas tych 16 dni?

Priorytetem jest nauka bezpiecznego i skutecznego posługiwania się bronią, zasad zachowania na polu walki, udzielania pierwszej pomocy. Ponadto ochotnicy mogą się przekonać, czy ta służba jest tym, czego oczekiwali, a instruktorzy i psychologowie – poznać ich i ocenić.

PRIORYTETEM jest nauka bezpiecznego i skutecznego posługiwania się bronią, zasad zachowania na polu walki, udzielania pierwszej pomocy.

Służba przygotowawcza do narodowych sił rezerwowych trwa trzy miesiące. Czy 16 dni wystarczy na przygotowanie kandydata do OT?

Tak, dzięki temu, że te dni poświęcone są wyłącznie szkoleniu praktycznemu. Pamiętajmy też, że „szesnastka” jest tylko przepustką, pierwszym etapem przygotowania żołnierza terytorialnej służby wojskowej. Całą teorię kandydaci opanowują przed przyjsciem do koszar. Podczas szkolenia podstawowego uczą się też szybciej, dzięki szkoleniu w formie zintegrowanych zajęć taktycznych, poznając jednocześnie różne wojskowe zagadnienia. Ponadto nasza formacja jest skierowana do osób, które poza służbą w WOT mają swoją pracę i muszą obie te sprawy pogodzić. Dla nich dłuższa przerwa

w codziennych obowiązkach mogłaby stanowić problem. Wychodzimy naprzeciw potrzebom żołnierzy i organizujemy też podstawowe szkolenia w formie ośmiu spotkań weekendowych.

Jak ten program wpisuje się w dalszy cykl szkolenia?

Pierwsze 16 dni to podstawa, na której poszerzana jest dalsza wiedza wojskowa. Kolejne szkolenia są logiczną kontynuacją poprzednich, zostały tak rozpisane, aby się uzupełniały, rozwijały te same tematy i je pogłębiały. Każdego terytorialisa czeka trzyletnie szkolenie w formie 11 dwudniowych spotkań w ciągu roku oraz zintegrowanego, dwutygodniowego ćwiczenia poligonowego. W pierwszym roku jest szkolenie indywidualne, w drugim specjalistyczne, w trzecim skupiamy się na zgrywaniu żołnierzy na poziomie pluton-kompania. W sumie przez trzy lata będą się oni szkolić co najmniej przez 124 dni. Dopiero po tym czasie i ukończeniu tzw. certyfikacji zyskują status „combat ready”.

Ppłk KRZYSZTOF LESZCZYŃSKI jest szefem Wydziału Szkolenia Wojsk Obrony Terytorialnej.



16 MARCA 2018
start: godz. 22:00

100

SETKA KOMANDOSA

LUBLINIEC OBLACKIE CENTRUM MŁODZIEŻY NINIWA W KOKOTKU

Patronat:



Burmistrz Miasta Lubliniec

Partnerzy:



Lasy Państwowe
zapraszamy



Patronat medialny:





Mirosław Filipkiewicz

Dlaczego zostałem krwiodawcą?



Byłem uczniem wrocławskiego liceum, gdy pierwszy raz oddałem krew. Zobaczyłem plakaty informujące o Dniach Honorowego Krwiodawstwa PCK i tak się zaczęło. Od początku przyświecał mi jeden cel: wspierać innych, bo może nadejść dzień, kiedy ja będę potrzebował pomocy.

Do krwiodawstwa wciągnąłem całą swoją rodzinę. Moja żona Małgorzata, która jest nauczycielką, założyła szkolny Klub Honorowych

Dawców Krwi w Zbąszyniu. Zasłużonymi dawcami krwi są nasze trzy córki oraz syn, a także zięć i synowa.

W czasach PRL-u za oddanie 200 ml krwi żołnierzowi służby zasadniczej przysługiwał dzień wolny. Niektórzy chcieli po prostu w ten sposób zyskać dodatkowy dzień do urlopu. Wielu jednak połączyło bakcyła krwiodawstwa. Gros żołnierzy oddawało krew, choć za kilka

dni mieli opuścić jednostkę i wiedzieli, że nie zdążą wykorzystać wolnego dnia.

Kilka razy w miesiącu w koszarach w Międzyrzeczu i w Wędrzynie organizujemy akcje oddawania krwi. Zawsze zgłasza się 60–80 żołnierzy. Wielokrotnie organizowaliśmy takie akcje w kryzysowych sytuacjach. W sobotę 28 stycznia 2006 roku zawalił się dach hali Międzynarodowych Targów Katowickich. Rannych zostało 170 osób. W poniedziałek 147 żołnierzy, w tym dowódcy 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej i 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej, oddało blisko 70 l płynu ratującego życie. Ponad 50 l krwi w ciągu 5 godzin oddali też żołnierze 17 WBZ dla strzelca Jakuba Koślińskiego, który zachorował na rzadki rodzaj nowotworu. Czekolady, które dostajemy jako ekwiwalent energetyczny, przekazujemy do domów dziecka. Otrzymało je także 500 dzieci irackich, gdy wystawialiśmy PKW Irak.

Podczas 237 akcji członkowie naszego klubu oraz żołnierze 17 WBZ oddali blisko 11 tys. l krwi. MS ■

**HONOROWY
KRWIODAWCA**

**KPT. REZ. MIROSŁAW
FILIPKIEWICZ**

**Służba: 17 Wielkopolska
Brygada Zmechanizowana
w Międzyrzeczu**

- Krwiodawca od 1980 roku
- Oddał blisko 130 l krwi
- Prezes Wojskowego Klubu HDK PCK „Żołnierska Krew” przy 17 WBZ

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

SYSTEM POD KONTROLĄ

Najwyższa Izba Kontroli pozytywnie oceniła pomoc państwa dla weteranów poszkodowanych.

Była to pierwsza taka kontrola. Inspektorzy sprawdzali m.in., czy żołnierze poszkodowani w trakcie służby poza granicami kraju są zatrudniani w jednostkach podległych MON-owi i nadzorowanych przez ten resort, jaką opiekę oraz pomoc finansową dostają, a także czy mają odpowiedni dostęp do specjalistycznych usług medycznych w publicznych zakładach opieki zdrowotnej.

NAMIERZONE PROBLEMY

Inspektorzy NIK-u przeprowadzili też ankietę, żeby poznać opinie weteranów poszkodowanych na temat udzielanej im pomocy. W badaniu wzięły udział 94 osoby (13,3% ogólnej liczby weteranów poszkodowanych). 74,1% oceniło wsparcie jako bardzo dobre lub dobre, 5,2% – jako złe, a 20,7% nie miało zdania. 38,3% ankietowanych stwierdziło, że należy zmienić obowiązujące przepisy dotyczące udzielania pomocy weteranom poszkodowanym.

NIK zwrócił uwagę na problemy związane z funkcjonowaniem systemu pomocy dla weteranów poszkodowanych. W ośmiu jednostkach utworzono etatowe stanowiska opiekunów indywidualnych, ale system opiera się na nieetatowych. Koordynatorzy regionalni wyznaczeni w wojewódzkich sztabach wojskowych do opieki nad weteranami poszkodowanymi mieli ograniczoną wiedzę o swoich podopiecznych, co utrudniało im pracę. Zdaniem inspektorów, do zintegrowanego wieloszczeblowego systemu informatycznego resortu obrony narodowej (ZWSI RON) należy włączyć moduł zawierający niezbędne informacje o weteranach poszkodowanych i umożliwić koordynatorom regionalnym do niego dostęp.

Kontrola wykazała też, że w latach 2012–2016 Departament Wychowania i Promocji Obronności MON przeprowadził tylko jedno szkolenie dla 50 opiekunów indywidualnych (w jednostkach wojskowych podległych dowódcy generalnemu rodzajów sił zbrojnych było wówczas 179 opiekunów). Według NIK-u, to zdecydowanie za mało. Kolejna kwestia to Dom Weterana. W Łądku-Zdroju na bazie 23 Wojskowego Szpitala Uzdrowiskowo-Rehabilitacyjnego powstała placówka mająca nieść pomoc tej grupie żołnierzy. Przygotowano dla nich 30 łóżek, ale żaden weteran nie był zainteresowany długotrwałym pobytem w tym miejscu. NIK ocenił jako zasadną propozycję dyrektora Centrum Weterana skierowaną do podsekretarza stanu w MON-ie zmniejszenia miesięcznej opłaty za pobyt w Domu Weterana z 70 do 25% miesięcznego dochodu.

ZAPEWNIONA POMOC

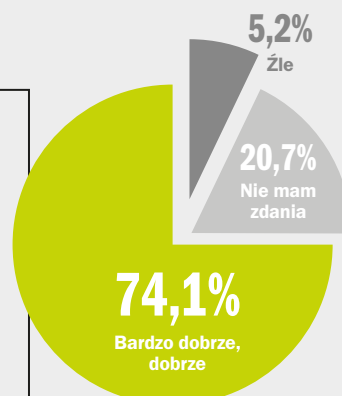
Według NIK-u, weterani poszkodowani korzystali z należnej im pomocy finansowej – m.in. występowali o dodatek dla weterana poszkodowanego, zapomóg czy jednorazowe świadczenie odszkodowawcze. Wszystkie złożone wnioski zostały rozpatrzone pozytywnie. Z budżetu MON-u w rozpatrywanym przez NIK okresie wypłacono 260 zapomóg o wartości 548,9 tys. zł, z tego 236 weteranom poszkodowanym – na kwotę 414,5 tys. zł, i 24 rodzinom żołnierzy poległych lub zmarłych poza granicami państwa – 134,4 tys. zł. Świadczenia na kontynuowanie nauki wypłacane weteranom poszkodowanym i dzieciom zmarłych żołnierzy opiewały na kwotę 521,9 tys. zł. Z pomocy tej skorzystało 207 osób. Wydano 12 decyzji odmownych, w tym w 11 przypadkach dotyczyły one sfinansowania drugich studiów (w świetle art. 26 ust. 3 ustawy

WSPARCIE

Kontrolę „Pomoc państwa dla żołnierzy poszkodowanych w trakcie służby poza granicami kraju” Najwyższa Izba Kontroli przeprowadziła w Ministerstwie Obrony Narodowej (Sztab Generalny WP, Departament Spraw Socjalnych, Departament Wojskowej Służby Zdrowia), Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych, Dowództwie Operacyjnym Rodzajów Sił Zbrojnych, trzech wojewódzkich sztabach wojskowych oraz trzech wojskowych biurach emerytalnych (w Olsztynie, Warszawie i Zielonej Górze). Odbiła się ona w terminie od 30 marca 2012 roku do 30 czerwca 2016 roku oraz w 2017 roku. ■

ów Sił Zbrojnych, Dowództwie Operacyjnym Rodzajów Sił Zbrojnych, trzech wojewódzkich sztabach wojskowych oraz trzech wojskowych biurach emerytalnych (w Olsztynie, Warszawie i Zielonej Górze). Odbiła się ona w terminie od 30 marca 2012 roku do 30 czerwca 2016 roku oraz w 2017 roku. ■

JAK OCENIASZ POMOC PAŃSTWA
UDZIELANĄ WETERANOM?



WETERANI POSZKODOWANI KORZYSTALI Z NALEŻNEJ IM POMOCY FINANSOWEJ – M.IN. WYSTĘPOWALI O DODATEK DLA WETERANA POSZKODOWANEGO, ZAPOMOGĘ CZY JEDNORAZOWE ŚWIADCZENIE ODSZKODOWAWCZE. **WSZYSTKIE ZŁOŻONE WNIOSKI ZOSTAŁY ROZPATRZONE POZYTYWNE**

o weteranach pomoc ta przysługuje na jedną z wybranych przez weterana poszkodowanego form kształcenia).

NIK ocenił, że w resorcie obrony narodowej stworzono również warunki umożliwiające weteranom poszkodowanym powrót do służby. Wszystkie wnioski dotyczące utworzenia nowych stanowisk przeznaczonych dla weteranów poszkodowanych z kategorią zdrowia zdolny do zawodowej służby wojskowej z ograniczeniami (Z/O) były rozpatrzone pozytywnie. W połowie 2016 roku w Siłach Zbrojnych RP było 78 takich stanowisk.

W ramach udzielania pomocy weteranom poszkodowanym jednostki wojskowe podległe Dowództwu Generalnemu Rodzajów Sił Zbrojnych współpracowały z organizacjami pozarządowymi i partnerami społecznymi, głównie stowarzyszeniami i fundacjami. Razem zorganizowano 42 różne imprezy, m.in. warsztaty terapeutyczne, psychologiczno-terapeutyczne oraz terapeutyczno-rehabilitacyjne. Inspektorzy NIK-u zwrócili także uwagę na to, że dowódcy jednostek wojskowych z własnej inicjatywy organizowali zbiórki środków finansowych dla

weteranów poszkodowanych, a także spotkania integrujące ich środowisko oraz festyny mające na celu pielęgnowanie pamięci o żołnierzach poległych w misjach poza granicami kraju.

ZALECENIA KONTROLERÓW

Po kontroli NIK skierował do Ministerstwa Obrony Narodowej wniosek o włączenie do systemu informatycznego ZWSI RON modułu zawierającego dane weteranów poszkodowanych, aby zapewnić koordynatorom regionalnym dostęp do bazy informacyjnej (w resorcie już trwają takie prace). Zalecił także analizę systemu pomocy weteranom poszkodowanym oraz dostosowanie etatów opiekunów indywidualnych do liczby przypisanych im podopiecznych. Wniosek do dowódcy generalnego dotyczył z kolei organizowania systematycznych szkoleń dla wszystkich opiekunów indywidualnych. NIK zalecił także przeprowadzenie odpowiedniej analizy, żeby znaleźć przyczynę braku zainteresowania weteranów poszkodowanych usługami proponowanymi przez Dom Weterana w Łądku-Zdroju. ■

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych.

Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

W numerze pierwszym „Polski Zbrojnej” błędnie podaliśmy nazwisko autora porady „Jakie prawa emerytalne?”. Jest nim Robert Kłosiński. Za pomyłkę przepraszamy Kancelarię Radców Prawnych SC K. Przymęcka & J.P. Przymęcki. W związku z licznymi pytaniami i wątpliwościami Czytelników odnośnie do udzielonej odpowiedzi autor raz jeszcze przekazał nam interpretację prawną.

EMERYTURA Z ZASADAMI

Byłem w służbie przygotowawczej w 2012 roku, a w czerwcu 2013 roku zostałem powołany do służby zawodowej. Czy mogę odejść na emeryturę po 15 latach służby, czy obowiązują mnie nowe zasady – czyli 25 lat służby i skończone 55 lat?

→ **Żołnierz prawo do emerytury uzyska po odświadczeniu minimum 25 lat i ukończeniu wieku 55 lat.**

Odpowiedź na powyższe pytanie reguluje art. 18a ust. 1 ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin (...), który stanowi, że żołnierzowi powołanemu po raz pierwszy po dniu 31 grudnia 2012 roku do zawodowej służby wojskowej lub służby kandydackiej emerytura przysługuje na zasadach i w wysokości określonych w niniejszym rozdziale. Jednocześnie w ust. 2 powyższego przepisu ustawodawca wskazał, że przepisu ust. 1 nie stosuje się do żołnierza: 1) pełniącego służbę kandydacką w dniu 1 stycznia 2013 roku, w przypadku powołania

do zawodowej służby wojskowej bezpośrednio po ukończeniu służby kandydackiej; 2) powołanego do zawodowej służby wojskowej po dniu 31 grudnia 2012 roku, jeżeli przed tym powołaniem pełnił służbę w Policji, Urzędzie Ochrony Państwa, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, Służbie Wywiadu Wojskowego, Centralnym Biurze Antykorupcyjnym, Straży Granicznej, Biurze Ochrony Rządu, Państwowej Straży Pożarnej lub Służbie Więziennej, do której został powołany przed dniem 1 stycznia 2013 roku. W niniejszej sprawie żołnierz pełnił służbę przygotowawczą, której nie sposób jest utożsamiać ze służbą kandydacką.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawa prawna: ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin z 10 grudnia 1993 roku (tekst jednolity DzU z 2015 poz. 330) – art. 18a ust. 1 i 2, art. 18b ust. 1 oraz art. 18e ust. 1.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

CO DALEJ ZE SŁUŻBĄ?

Jestem żołnierzem zawodowym. Mam za sobą 20 lat służby. Zostałem skierowany do wojskowej komisji lekarskiej ze względu na długoterminowe zwolnienie, wynoszące 90 dni. Czy gdyby komisja stwierdziła moją niezdolność do pełnienia dalszej służby wojskowej zawodowej, oznaczałoby to zwolnienie mnie ze służby, czy też sam mogę złożyć wypowiedzenie stosunku służbowego, przechodząc na emeryturę?

→ **Zgodnie z ustawą o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych do wojskowej komisji lekarskiej kieruje się żołnierza zawodowego, gdy nie wykonuje on zadań służbowych z powodu choroby trwającej nieprzerwanie przez trzy miesiące.** Procedura orzekania przed komisją wojskową jest regulowana przepisami rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej oraz właściwości i trybu postępowania wojskowych komisji lekarskich w tych sprawach.

Zgodnie z § 18 ust. 1 rozporządzenia wojskowa komisja lekarska wydaje orzeczenie niezwłocznie po przeprowadzeniu niezbędnych badań lekarskich i skompletowaniu dokumentów. Orzeczenie ustalające niezdolność do pełnienia zawodowej służby wojskowej doręcza się żołnierzowi zawodowemu za pośrednictwem dowódcy jednostki wojskowej. Od momentu doręczenia orzeczenia żołnierz posiada prawo do złożenia odwołania w terminie 14 dni. Do czasu rozpoznania odwołania orzeczenie nie podlega wykonaniu, a tym samym organ nie może zwolnić żołnierza z zawodowej służby wojskowej.

W sytuacji, gdy żołnierz w trakcie skierowania do wojskowej komisji lekarskiej złoży wniosek o zwolnienie go z zawodowej służby wojskowej – organ jest zobowiązany do zwolnienia żołnierza ze służby na podstawie art. 111 pkt. 9a – tj. z upływem terminu wypowiedzenia stosunku służbowego zawodowej służby wojskowej. Z chwilą wniesienia oświadczenia woli, jakim jest

wniosek żołnierza – dowódca jednostki wojskowej jest związany tym oświadczeniem. Jeśli w tym samym okresie dowódca otrzyma z właściwej komisji lekarskiej orzeczenie o trwałej niezdolności żołnierza zawodowego do służby – zwalnia go od wykonywania zajęć służbowych do dnia zwolnienia ze służby określonego w rozkazie personalnym wydanym na podstawie art. 115 ust. 1 ustawy.

Przepisy stanowią, że w razie ustalenia przez wojskową komisję lekarską niezdolności żołnierza do zawodowej służby wojskowej dowódca jednostki, w której żołnierz pełni służbę, zwalnia go od wykonywania obowiązków służbowych. Fakt takiego zwolnienia dowódca jednostki stwierdza w rozkazie dziennym. Od tego momentu żołnierz nie musi dostarczać do jednostki wojskowej kolejnych zwolnień lekarskich, ponieważ prawomocne orzeczenie komisji lekarskiej stwierdzające jego trwałą niezdolność do służby zastępuje zaświadczenie lekarskie, o którym mowa w art. 60b ust. 1 pkt. 3 ustawy – por. uchwała składu siedmiu sędziów Naczelnego Sądu Administracyjnego z 26 czerwca 2014 roku, I OPS 16/13, również internetowa baza orzeczeń sądów administracyjnych: <http://orzeczenia.nsa.gov.pl/cbo/query>. Wykładnię określonych przepisów dotyczących usprawiedliwiania nieobecności w służbie wydaną na gruncie przepisów ustawy o Policji (...) z powodzeniem można zastosować do żołnierzy zawodowych. Z logicznego punktu widzenia niemożliwa do zaakceptowania byłaby sytuacja, w której lekarz prowadzący leczenie żołnierza uznałby, że nie wymaga on dalszego zwolnienia od zajęć służbowych i przez niewystawienie zaświadczenia lekarskiego podważyłby orzeczenie właściwej komisji lekarskiej, uznającej żołnierza za trwale niezdolnego nie tylko do pełnienia obowiązków służbowych, ale również do pełnienia służby w charakterze żołnierza zawodowego.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU z 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 5, ust. 1, ust. 2 pkt 1, ust. 3 pkt 1, art. 60b ust. 1 pkt 3, art. 111 pkt 3 oraz pkt 9a, art. 115 ust. 1; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej oraz właściwości i trybu postępowania wojskowych komisji lekarskich w tych sprawach z 3 czerwca 2015 roku (DzU z 2015 poz. 761 z późn. zm.) – § 8 ust. 1, § 18 ust. 1, § 20 ust. 1, § 21 ust. 2, § 22 ust. 1; rozporządzenie MON w sprawie zwalniania żołnierzy zawodowych z zawodowej służby wojskowej z 12 maja 2014 roku (DzU z 2014 poz. 670 z późn. zm.) – § 21 ust. 2, § 22 ust. 1.

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD





Do United Technologies Corp. należy Pratt & Whitney, jeden z dwóch największych na świecie producentów silników lotniczych dla maszyn wojskowych.

TADEUSZ WRÓBEL

WIELKIE PRZEJĘCIA

Trwa proces łączenia się firm z sektora lotniczo-obronnego. Największe transakcje miały miejsce w Stanach Zjednoczonych.

PRATT & WHITNEY



F

irmy lotnicze i zbrojeniowe od lat przejmują mniejszych graczy na rynku. W ten sposób powstają coraz potężniejsze holdingi czy koncerny, których obroty bywają porównywalne z tymi osiąganymi przez niektóre państwa bądź nawet je przekraczają. Wartość drugiej największej transakcji, którą ogłoszono w ubiegłym roku, w historii branży lotniczo-obronnej wyniesie 30 mld dolarów. Analitycy podkreślają, że każda taka umowa zawarta przez jednego z najważniejszych graczy powoduje, że inne kluczowe firmy postępują podobnie.

WIELCY GRACZE

Owa warta kilkadziesiąt miliardów umowa, która została ogłoszona 4 września 2017 roku, dotyczy przejęcia firmy Rockwell Collins Inc. przez United Technologies Corp. i ma być sfinalizowana w trzecim kwartale 2018 roku. Oba te podmioty należą do największych grup przemysłowych. Rockwell Collins Inc. sama przejmowała od 2000 roku inne, mniejsze firmy. Ostatnia z transakcji dotyczyła B/E Aerospace Inc., producenta wnętrza kabin dla cywilnych odrzutowców, a jej wartość wyniosła 8,2 mld dolarów. Rockwell Collins Inc. zatrudnia 29 tys. pracowników i znalazła się na 40. miejscu na ubiegłorocznej liście stu największych producentów lotniczych i militarnych, którą sporządził serwis Defense News. Jego specjalnościami są awionika lotnicza, wyświetlacze oraz systemy łączności. Amerykańska firma świadczy usługi dla producentów samolotów oraz agencji rządowych – amerykańskich i państw sojuszników.

W porównaniu z Rockwell Collins Inc. United Technologies Corp. to gigant, zatrudniający ponad 200 tys. osób. Wartość wszystkich jego aktywów sięgała 90 mld dolarów. Na wspomnianej liście Defense News uplasował się na 12. miejscu.

Jedną z jego spółek zależnych jest UTC Aerospace Systems. Firma powstała w 2012 roku z połączenia ówczesnej spółki UTC Hamilton Sundstrand z nowo zakupioną Goodrich Corporation. UTC Aerospace Systems zajmuje się projektowaniem, produkcją i obsługą serwisową podzespołów oraz systemów do samolotów i śmigłowców, zarówno cywilnych, jak i wojskowych. Poza tym jest również zaangażowana w projekty kosmiczne.

Do UTC należy też Pratt & Whitney, jeden z dwóch największych na świecie producentów silników lotniczych do maszyn wojskowych. Niemniej jednak UTC nie koncentruje się wyłącznie na rynku obronnym. Jednym z biznesów tej firmy jest Otis Elevator Company, światowy potentat w produkcji wind, ruchomych schodów i chodników. Z kolei UTC Aerospace Systems produkuje urządzenia na potrzeby budownictwa, górnictwa, przemysłu chemicznego oraz spożywczego.

Amerykańscy eksperci zajmujący się gospodarką, jak podaje serwis internetowy Defense News, uważają, że wielka transakcja uruchomi nową falę przejęć w sektorze lotniczo-obronnym. Według Lorena Thompsona z Lexington Institute, koncern Boeing może zacząć kupować małe firmy produkujące awionikę i elektronikę. Richard Aboulafia z kolei, analityk lotniczy z Teal Group, nie wyklucza, że może podjąć próbę przejęcia Honeywell, koncernu, który dostarcza m.in. elektroniczne systemy kierowania i oprzyrządowanie kokpitów. Wśród jego produktów są też silniki turbinowe oraz większość komponentów dla konwencjonalnych bomb lotniczych. Honeywell jest również w konsorcjum zarządzającym Pantex Plant w Teksasie, gdzie są montowane wszystkie amerykańskie bomby atomowe. Warto pamiętać, że przed kilkunastu laty połączeniu tej firmy z General Electric sprzeciwiły się organy antymonopolowe Unii Europejskiej.

**WARTOŚCI DZIEŚCIU TRANSAKCJI W SEKTORZE LOTNICZO-OBRO-
NYM W LATACH
2015-2017
(W MLD DOLARÓW)
I POCHODZENIE
FIRM KUPUJĄCYCH**

2015 – 55,784
(pięć z USA, dwie z Wielkiej Brytanii, po jednej z Chin, Kanady i Singapuru)

2016 – 28,906
(pięć z USA, po dwie z Chin i Korei Południowej, jedna z Wielkiej Brytanii)

2017 – 62,276
(cztery z USA, po dwie z Chin, Francji i Korei Południowej, jedna z Kanady)



Po latach konsolidacji na rynku amerykańskim pozostało trzech dużych producentów samolotów wojskowych. Jednym z nich jest Northrop Grumman, który oferuje siłom zbrojnym także bezzałogowce.

Amerykańscy eksperci sądzą ponadto, że Departament Obrony i inne agencje rządowe USA nie sprzeciwiły się włączeniu Rockwell Collins Inc. do United Technologies Corp., gdyż firmy nie były dla siebie konkurencyjne. Uważają natomiast, że wzmocniony zasobami UTC Rockwell może być groźniejszym rywalem dla przedsiębiorstw specjalizujących się w systemach łączności wojskowej niż Harris Corp. czy Thales. Z drugiej strony w ostatnich latach można było zaobserwować spadek zainteresowania UTC sferą militarną na rzecz rynku cywilnego. W 2015 roku koncern odsprzedał Lockheedowi Martinowi spółkę Sikorsky Aircraft, której specjalnością są śmigłowce wojskowe, w tym sztandarowy produkt UH-60 Black Hawk.

AMERYKANIE NA CZELE

W raporcie przygotowanym przez PricewaterhouseCoopers znalazła się informacja, że zapowiedziane w 2017 roku umowy na zakup lub łączenie się firm lotniczych i zbrojeniowych na całym świecie osiągnęły wartość 72 mld dolarów, czyli o 5 mld więcej niż w rekordowym roku 2015. Co ciekawe, ogólna liczba transakcji przeprowadzonych w latach 2016–2017 była taka sama – 454, podczas gdy w 2015 roku było ich 518. Przy czym dziewięć ubiegłorocznych umów powyżej miliarda dolarów stanowiło 86% wartości wszystkich zawartych we wskazanym okresie.

Pod względem wartości lokalnych kontraktów handlowych resztę świata zdominowała Ameryka Północna z kwotą 43,5 mld dolarów. Druga co do wartości umowa, ponad 9 mld dolarów, dotyczyła przejęcia przez koncern Northrop Grumman Corp. firmy Orbital ATK Inc. – wśród jej produktów są m.in. taktyczne pociski rakietowe, amunicja automatyczna Bushmaster, amunicja średniego i dużego kalibru, elektronika wojskowa, rakiety nośne i sztuczne satelity (wojskowe i cywilne).

W pierwszej dekadzie znalazły się jeszcze dwie zawarte w Ameryce Północnej. Kanadyjska firma Maxar Technologies Ltd. (wcześniej MacDonald, Dettwiler and Associates) przejęła za ponad 2,1 mld dolarów DigitalGlobe Inc., która dostarcza m.in. zdjęcia kosmiczne. Poza tym jest również operatorem cywilnych urządzeń telekomunikacji. Pierwszą dekadę zamyka odkupienie przez Veritas Capital za 690 mln dolarów od Harris Corp. spółki

zajmującej się informatyką, czyli Harris Corp. – Government IT Services Business. Sprzedaż ta była konsekwencją wieloletniej tendencji do pozbywania się podległych Harris Corp. spółek działających na rynku komercyjnym. Firma stara się skoncentrować na interesach prowadzonych z instytucjami rządowymi.

EUROPA PRZED AZJĄ

Drugim regionem pod względem transakcji zawartych w branży lotniczej i obronnej była strefa euro wraz z Wielką Brytanią. Wartość ubiegłorocznych umów lokalnych wyniosła tu 13,4 mld dolarów, co oznaczało spadek o 20% w stosunku do 2016 roku.

Dwie europejskie umowy handlowe znalazły się w pierwszej dekadzie. Francuski gigant Safran SA, który zatrudnia około 70 tys. osób, nabył za ponad 7,8 mld dolarów także francuską firmę Zodiac Aerospace SA, produkującą na potrzeby przemysłu lotniczego i kosmicznego – m.in. różnorodne systemy bezpieczeństwa dla samolotów, wyposażenie kabin i fotele lotnicze.

Inny francuski gigant przemysłu zbrojeniowego Thales SA wszedł za około 5,4 mld dolarów w posiadanie holenderskiej firmy Gemalto NV, której specjalnością jest bezpieczeństwo cyfrowe (dostarcza bezpieczne urządzenia i oprogramowania). Gemalto jest też największym producentem kart SIM.

Tuż za Wspólnotą Europejską uplasował się region Azji i Oceanii z lokalnymi transakcjami na kwotę 11,8 mld dolarów. Porozumienia o największej wartości zawarto na rynkach chińskim i południowokoreańskim. Na piątym miejscu pod tym względem na świecie było przejęcie przez China Shipbuilding Industry Co. Ltd. (CSIC) za ponad 3,5 mld dolarów 36,155 akcji Wuchang Shipbuilding Industry Group Co. Ltd. CSIC to drugi co wielkości budowniczy jednostek pływających, wojskowych i cywilnych, który pozostaje pod kontrolą państwa. Poza tym firma zajmuje się m.in. produkcją akumulatorów, silników wysokoprężnych, turbosprężarek, maszyn portowych, turbin wiatrowych i automatycznych systemów dystrybucji. Z kolei prywatne przedsiębiorstwo Wuchang Shipbuilding Industry Group Co. Ltd., które od 2012 roku jest spółką zależną CSIC, oprócz budowy specjalistycznych jednostek

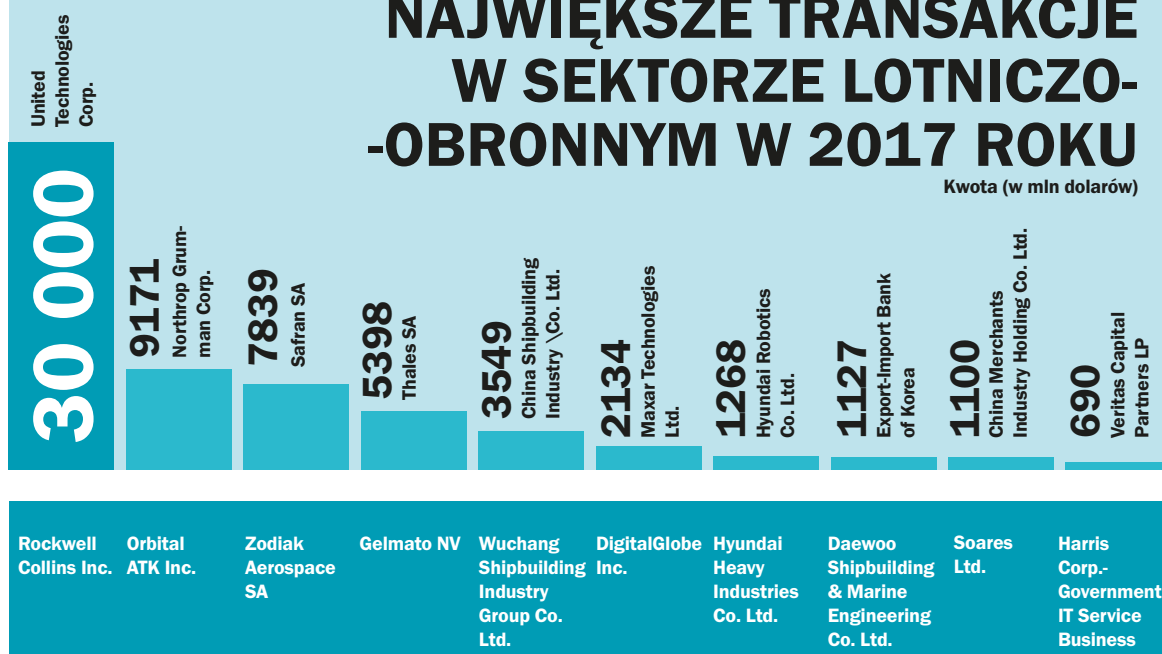


NABYWCA

PRZEDMIOT
TRANSAKCJI

NAJWIĘKSZE TRANSAKCJE W SEKTORZE LOTNICZO- -OBRONNYM W 2017 ROKU

Kwota (w mln dolarów)



NAJBARDZIEJ SPEKTAKULARNYM PRZEJĘCIEM W HISTORII BYŁO NABYCIE W 2015 ROKU W USA ZA OKOŁO **31,6 MLD DOLARÓW** FIRMY PRECISION CASTPARTS CORP. PRZEZ BERKSHIRE HATHAWAY INC.

plywających działa w takich sferach jak energetyka, przemysł naftowy i gazowy oraz spożywczy. Konstruuje też mosty i duże struktury stalowe.

Drugą transakcją chińską był zakup zarejestrowanego na Brytyjskich Wypach Dziewiczych holdingu inwestycyjnego Soares Ltd. przez China Merchants Industry Holding Co. Ltd. (z siedzibą w Hongkongu), który zajmuje się produkcją przybrzeżnych urządzeń wiertniczych, statków handlowych i pasażerskich oraz jednostek specjalistycznych, np. do przewozu ciężkich ładunków, a także takich jak statki wiertnicze, holowniki oceaniczne i pływające dźwigi. De facto była to transakcja wewnątrz holdingu, gdyż Soares Ltd była spółką zależną China Merchants Port Holdings Co. Ltd., której właścicielem jest z kolei China Merchants Industry Holding Co. Ltd.

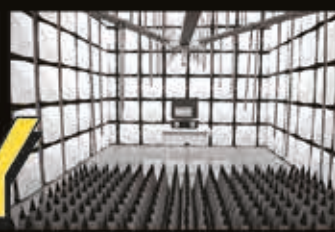
W Korei Południowej Hyundai Robotics Co. Ltd. kupił przedsiębiorstwo Hyundai Heavy Industries Co. Ltd., które buduje, oprócz statków i okrętów, platformy wydobywcze, zakłady przemysłowe, w tym elektrownie oraz zakłady petrochemiczne i odsalania wody, a także siłownie okrętowe. Hyundai Robotics Co. Ltd. działa zaś głównie w sferze robotyki i automatyzacji zakładów produkcyjnych. Pośród dziesięciu największych operacji handlowych znalazł się jeszcze zakup przez Export-Import Bank

of Korea (KEXIM) obligacji Daewoo Shipbuilding & Marine Engineering Co. Ltd. (DSME), zaliczanej do wielkiej trójki południowokoreańskich firm stoczniowych. Państwowy KEXIM pełni funkcję agencji kredytującej południowokoreański eksport, a inwestycja była elementem działań rządu w Seulu mających zapobiec bankructwu DSME. Problemy firmy zaczęły się po wykryciu w 2016 roku oszustw w jej księgach finansowych.

Dane raportu PricewaterhouseCoopers wskazują, że wielkie przejęcia i porozumienia w sektorze lotniczo-zbrojeniowym koncentrują się w trzech regionach świata: Ameryce Północnej, Azji i Europie Zachodniej. Podobnie było w poprzednich latach. Jednak o wartościach rocznych decyduje zwykle jedna gigantyczna umowa handlowa.

W Ameryce transakcje są zawierane wyłącznie między firmami prywatnymi. Z kolei w Europie i Azji część z nich należy do państwa lub ma ono w nich udziały. Chociażby Francja ma 14% udziałów w Safran SA. Nie zawsze też te kontrakty handlowe miały na celu wzmocnienie pozycji firm. W przypadku południowokoreańskiego DSME była to forma pomocy publicznej. Wielkie umowy handlowe są zawierane w państwach, w których przemysł lotniczy i zbrojeniowy jest najbardziej rozwinięty. Aczkolwiek odstępstwem od tej reguły pozostaje Federacja Rosyjska. ■

WOJSKOWY INSTYTUT TECHNICZNY UZBROJENIA



www.witu.mil.pl

witu@witu.mil.pl

KRZYSZTOF WILEWSKI

Światowe supermocarstwa, USA, Rosja oraz Chiny, prowadzą hipersoniczny wyścig zbrojeń. W tej części cyklu piszemy o pracach nad coraz lepszym napędem, a za miesiąc opowiemy o pociskach przyszłości.

Hipersoniczna rewolucja

Od początku narodzin lotnictwa marzeniem pilotów było latać szybciej i wyżej. Ograniczeniem tych pragnień była technika, która najpierw – aż do początków XX wieku – umożliwiała napędzanie statków powietrznych jedynie silnikami tłokowymi, a później odrzutowymi. Konstrukcja klasycznych silników odrzutowych wymaga, aby powietrze, zanim trafi do komory spalania, zostało sprężone przy użyciu różnego rodzaju turbin i wałów. Z tego powodu nie można rozpędzić samolotu do prędkości większej niż 3,5 Ma – czyli około 4,2 tys. km/h. Gdy leci szybciej, jego napęd odrzutowy przestaje działać poprawnie. Rozwiązaniem tego problemu jest rodzaj silników odrzutowych o nazwie ramjet, czyli silniki strumieniowe. Działają one również na zasadzie odrzutu gazów, jednak nie mają żadnych części ruchomych! Rozwiązanie idealne? Niekoniecznie. Silniki strumieniowe niestety można uruchomić dopiero wówczas, gdy pojazd osiągnie określoną prędkość, której absolutnie nie można zmniejszyć, gdyż, mówiąc potocznie, zgasną. Jaka to granica? Pierwszy na świecie samolot napędzany silnikiem strumieniowym nazwanym Leduc 10 (od nazwiska twórcy, inżyniera René Leduc),

który choć powstał tuż przed drugą wojną światową, to dokończony i oblatany został dopiero w 1949 roku, musiał być rozpędzony aż do 320 km/h, aby mógł samodzielnie rozpocząć lot. Francuski wynalazca, by to osiągnąć, zamontował Leduc 10 w samolocie pasażerskim SNCASE SE-161 Languedoc.

NIE TYLKO FRANCJA

René Leduc nie był pierwszym inżynierem pracującym nad silnikami strumieniowymi. Pierwsza konstrukcja tego typu została opatentowana w 1908 roku przez Francuza René Lorina, a w latach trzydziestych nad takimi napędami pracowali wojskowi inżynierowie ze wszystkich liczących się wówczas armii – w ZSRR Jurij Pobiedonoscew, w nazistowskich Niemczech Wolf Trommsdorff i Hellmuth Walter, a w USA m.in. William Avery.

Dlaczego prace Leduc'a nie były kontynuowane? Ponieważ jego samolot rozpędził się jedynie do około 700 km/h, czyli do prędkości absolutnie w zasięgu ówczesnych maszyn napędzanych klasycznymi silnikami odrzutowymi. A przecież miał tę wadę, że potrzebował nośnika, w posta-

ci innego samolotu, aby w ogóle zacząć swój lot. Tak więc prace nad napędami strumieniowymi dla samolotów porzucono, a kontynuowano jedynie, w ograniczonym zakresie, badania nad systemami przeznaczonymi dla pocisków (o których będzie można przeczytać za miesiąc, w drugiej części artykułu).

Odpowiedzi, dlaczego w latach osiemdziesiątych inżynierowie (nie tylko amerykańscy, lecz także radzieccy) wrócili do idei silników strumieniowych, należy szukać w konstrukcjach, które na początku lat pięćdziesiątych wybrano jako lepsze i praktyczniejsze, czyli odrzutowych (turbiniowych) oraz raketowych. Pierwsze umożliwiają rozpędzenie statku powietrznego jedynie do około 3 Ma (niektórzy naukowcy uważają, że granicą jest 3,5 Ma). Potem przestają działać właściwie. Ale o tym w 1950 roku inżynierowie nie wiedzieli. MiG-21, myśliwiec stworzony w połowie lat pięćdziesiątych, który przez trzy dekady był podstawowym uzbrojeniem lotnictwa państw Układu Warszawskiego, osiągał maksymalnie „zaledwie” 2 Ma. Tymczasem silniki strumieniowe doskonale radzą sobie nie tylko przy prędkościach naddźwiękowych (od 1 do 5 Ma), ale i hipersonicznych, czyli od 5 do 10 Ma. W przypadku drugiego typu napędu, czyli silników raketowych (które bez problemu osiągają i 20 Ma), decydujące okazały się pieniądze. Nawet dla Amerykanów, mających budżet obronny liczony w setkach miliardów dolarów, fakt, że lot samolotu raketowego jest kilkaset, jeśli nie kilka tysięcy, procent droższy niż lot konstrukcji strumieniowej, nie był bez znaczenia.

TRÓJKA W WYŚCIGU

Zarówno USA, jak i Rosja swoje prace badawczo-rozwojowe nad nowymi silnikami strumieniowymi (dla samolotów oraz pocisków balistycznych) rozpoczęły w latach osiemdziesiątych. Oba państwa mniej więcej w tym samym okresie doczekały się najpierw modeli mających możliwość rozpędzenia się do prędkości maksymalnej około 6 Ma (czyli już hipersonicznej), a później konstrukcji pozwalających osiągać nawet 10 Ma. Te drugie, z racji nieco innej budowy oraz wymaganych parametrów prędkości powietrza, nazwano Scramjet (Supersonic Combustion Ramjet).

Jeśli chodzi o Amerykanów, to prace nad hipersonicznym samolotem prowadzone są obecnie w ramach programu „Prompt Global Strike” (PGS), co oznacza „natychmiastowe globalne uderzenie”. Sprowadza się on do tego, że Stany Zjednoczone muszą być gotowe do uderzenia na dowolny obiekt na naszej planecie w ciągu maksymalnie dwóch godzin od jego wskazania. DARPA (Defense Advanced Research Projects Agency), amerykańska agencja odpowiedzialna za pozyskiwanie technologii, przyjęła,

że aby zrealizować ten cel, niezbędne jest uruchomienie aż dwóch programów badawczo-rozwojowych. Pierwszy, „Falcon Project” (Force Application and Launch from CONTinental United States), zakładał skonstruowanie nie tylko hiperdźwiękowego samolotu szybującego (Hypersonic Cruise Vehicle – HCV), lecz także specjalnej rakiety nośnej (Small Launch Vehicle – SLV), służącej do wynoszenia HCV na orbitę, z której będzie on opadał na ziemię z prędkością hipersoniczną. Efektem programu był prototypowy aparat HTV-2, który pierwszy lot odbył 22 kwietnia 2010 roku. Nie zakończył się on sukcesem. Maszyna rozbiła się dziewięć minut po starcie, nie osiągając prędkości hipersonicznej. Podobną porażką zakończył się drugi lot HTV-2, 11 sierpnia 2011 roku. Tym razem w trzeciej minucie lotu stracono łączność z aparatem, który rozbił się o wody Oceanu Spokojnego. Po tych niepowodzeniach Pentagon zdecydował o zamrożeniu projektu „Falcon”.

Zdecydowanie lepiej poszło amerykańskim inżynierom w drugim, równolegle realizowanym przez DARPA w ramach PGS, programie, w wyniku którego miał zostać zbudowany samolot nie szybujący, lecz dysponujący własnym napędem. Jego opracowanie powierzono Air Force Research Laboratory, NASA oraz firmom Boeing i Pratt&Whitney. Pierwszy lot aparatu oznaczonego jako X-51 odbył się 26 maja 2010 roku nad Point Mugu, poligonem morskim Naval Air Station w Kalifornii, i trwał – z prędkością hipersoniczną, co kluczowe – aż 200 sekund (na wysokości 21 tys. m). Obecnie Amerykanie planują uruchomienie nowego programu badawczo-rozwojowego, który scaliłby wyniki i doświadczenia „Falcona” wraz z projektem X-51.

Poza Amerykanami nad samolotami hipersonicznymi pracują również Rosja i Chiny. Rosyjscy inżynierowie prace nad konstrukcją szybującą (o kryptonimie Ju-70/102E) rozpoczęli na początku lat dziewięćdziesiątych, ale nie odnieśli sukcesów (niepowodzeniem zakończyły się kolejne próby w locie: dwie w 1990 roku oraz w 2001 i 2004 roku). W 2011 uruchomiony został program następcy – Ju-71, ale z nieoficjalnych danych wynika, że i tu na razie nie ma sukcesów – loty w latach 2013, 2014 i 2015 zakończyły się fiaskiem. W przypadku Chin wiadomo niestety jedynie, że Wu-14 (bo taki kryptonim nosi pojazd) to również konstrukcja szybująca, która musi być wyniesiona na orbitę, skąd „nurkuje” w atmosferę, a Państwo Środka pracuje nad nią od 2014 roku. Z nieoficjalnych informacji wynika, że podobnie jak w przypadku konstrukcji rosyjskich, Chińczycy także nie mają sukcesów.

Za to zdecydowanie lepiej jest z hipersonicznymi pociskami. W tej kwestii to właśnie Chiny i Rosja mają wyniki, a Amerykanie są tym goniącym. Ale o tym, w kolejnej części. ■

O 9M729 NIEWIELE WIADOMO. JEDNE ŹRÓDŁA PODAJĄ, ŻE JEST TO NOWA ODMIANA POCISKU MANEWRUJĄCEGO 9M728 STOSOWANEGO NA WYRZUTNIACH **ISKANDER-K**, A INNE WSKAZUJĄ NA KONTYNUACJĘ 3M-54 KALIBR-NK.

MACIEJ HYPŚ

W cieniu atomu

Rosjanie opracowują nowy pocisk samosterujący. Łamią w ten sposób postanowienia traktatu rozbrojeniowego, co grozi kolejnym raketowym wyścigiem zbrojeń.

Początek lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku to jeden ze szczytowych okresów zimnej wojny. W Azji Związek Radziecki zaatakował Afganistan, a Europa Zachodnia znalazła się w zasięgu nowych radzieckich rakiet balistycznych RSD-10 Pionier (oznaczenie NATO: SS-20). Rozmieszczone wzdłuż zachodnich granic ZSRR pociski pośredniego zasięgu (5500 km) mogły w kilkanaście minut dotrzeć do każdego punktu w Europie. Ze względu na niewielką celność w połączeniu z dużą mocą głowicy jądrowej nazwano je zabój-

cami miast. W odpowiedzi na pojawienie się nowej radzieckiej broni sojusz zareagował dyslokowaniem w Europie amerykańskich rakiet balistycznych średniego zasięgu Pershing II oraz pocisków manewrujących BGM-109G Gryphon. Miały one mniejsze zasięg i moc głowic, ale rekompensowały to bardzo wysoką dokładnością trafienia.

Wraz z wprowadzeniem na europejski teatr działań nowego uzbrojenia, które miało przywrócić równowagę, jeśli chodzi o wzajemny potencjał jądrowy, NATO zaproponowało ZSRR rozmowy rozbrojeniowe. Zakończyły się one

KREML LICZY NA TO, ŻE POWOŁYWANIE SIĘ NA RYZYKO NUKLEAR- NEJ ZAGŁADY W PRZY- PADKU KONFRONTACJI Z ROSJĄ SPOWODUJE PODZIAŁY W NATO I OSŁABI SOJUSZ

sukcesem dopiero w 1987 roku – prezydent USA Ronald Reagan i I sekretarz KPZR Michaił Gorbaczow podpisali „Układ o całkowitej likwidacji pocisków raketowych pośredniego zasięgu” (Treaty on Intermediate-range Nuclear Forces – INF Treaty). Na mocy tego traktatu oba państwa zobowiązały się do likwidacji odpalanych z wyrzutni lądowych rakiet balistycznych i pocisków manewrujących o zasięgu od 500 do 5500 km.

Po wyjściu z kryzysu lat dziewięćdziesiątych przedstawiciele Rosji wielokrotnie krytykowali traktat INF. W 2007 roku Władimir Putin oświadczył, że nie służy on interesom jego państwa, a szef sztabu generalnego rosyjskich sił zbrojnych zagroził wypowiedzeniem porozumienia w razie rozmieszczenia amerykańskiej tarczy rakietowej w Polsce i Czechach. Ostatecznie formalnie do tego nie doszło, ale wiele wskazuje na to, że wraz z wprowadzeniem do uzbrojenia pocisków manewrujących 9M729 (oznaczenie NATO: SSC-X-8) Rosjanie złamali postanowienia traktatu INF, choć nigdy oficjalnie nie przyznali, że rakiety mają zasięg zakazany w dokumencie.

O 9M729 niewiele wiadomo. Jedne źródła podają, że jest to nowa odmiana pocisku manewrującego 9M728 stosowanego na wyrzutniach Iskander-K, a inne wskazują na kontynuację 3M-54 Kalibr-NK. W każdym razie według raportu rosyjskiego instytutu badawczego GosNIIP, w 2014 roku pocisk przeszedł próby państwowe. Został skonstruowany w układzie klasycznym ze skrzydłami składanymi na czas transportu. W fazie startu używany jest silnik raketowy, a w czasie lotu – odrzutowy. System naprowadzania składa się z układu bezwładnościowego wspomaganego nawigacją satelitarną systemów GLONASS i GPS. Możliwe, że w końcowej fazie naprowadzania jest wykorzystywane aktywne naprowadzanie radarowe. Kluczowym parametrem wpływającym na zgodność z traktatem INF jest zasięg – w przypadku 9M729 szacowany na 500 do 5500 km.

AMERYKAŃSKIE OBawy

Już w lipcu 2014 roku przedstawiciele rządu USA stwierdzili, że Rosja łamie postanowienia traktatu. Zakazuje on bowiem nie tylko posiadania, ale też testów nowych pocisków tej klasy. Ponadto Amerykanie wskazywali, że skala produkcji znacznie przekracza potrzeby prób w locie i świadczy o chęci wprowadzenia tego uzbrojenia do służby liniowej.

Kiedy prezydent Barack Obama wezwał Rosjan do spotkania na forum specjalnej komisji weryfikacyjnej – organu kontrolującego przestrzeganie traktatu INF, oni odpowiedzieli, że to Amerykanie łamią postanowienia trakta-

tu, wykorzystując uzbrojone drony. Gen. Philip Breedlove, pełniący wówczas w NATO funkcję naczelnego dowódcy sił sprzymierzonych, stwierdził, że wprowadzenie takiej niewielkiej, mobilnej i łatwej do zamaskowania broni nie może pozostać bez odpowiedzi. Rozważano m.in. nałożenie sankcji, ale osta-

tecznej decyzji w tej sprawie nie podjęto. W odpowiedzi na amerykańskie oskarżenia Rosja zawiesiła współpracę z USA dotyczącą wzajemnej kontroli ilości posiadanego plutonu.

Prezydentowi Obamie nie udało się rozwiązać problemu. Co więcej, po objęciu urzędu przez Donalda Trumpa, w czasie gorącego okresu obsadzania kluczowych stanowisk w departamentach Obrony i Stanu, Rosjanie – według amerykańskich informacji wywiadowczych – sformowali już dwa liniowe bataliony wyrzutni nowych pocisków. W związku z tym Amerykanie zmienili swoje oznaczenie tego pocisku na SSC-8 – usunęli literę X, bo uznali, że broń z fazy eksperymentalnej weszła do służby liniowej.

ROSYJSKA STRATEGIA

Chociaż traktat INF dotyczy USA, Rosji, Ukrainy, Białorusi i Kazachstanu, to de facto ma znaczenie tylko dla tych dwóch pierwszych państw. Dlatego jest tak bardzo krytykowany przez Moskwę. Podnosi ona argumenty, że Stany Zjednoczone są otoczone oceanami i państwami przyjaznymi, jak Kanada czy Meksyk, podczas gdy sąsiedzi Rosji stanowią niebezpieczeństwo i na dodatek rozwijają typy broni zakazanej w Federacji Rosyjskiej. Chodzi oczywiście o Chiny i Koreę Północną, ale jako zagrożenie postrzegane są również europejskie państwa należące do NATO.

Kreml liczy na to, że powoływanie się na ryzyko nuklearnej zagłady w przypadku konfrontacji z Rosją spowoduje podziały w NATO i tym samym je osłabi. Wydaje się to prawdopodobne, ponieważ ciężko sobie wyobrazić, by np. Niemcy wzywały do remilitaryzacji Europy i rozmieszczenia na jej terytorium dodatkowych amerykańskich sił jądrowych. Według takiego scenariusza, sama możliwość zastosowania mobilnego, trudnego do zniszczenia uzbrojenia nuklearnego może spowodować powstrzymanie się NATO od reakcji na ewentualną dalszą agresję rosyjską na Ukrainie czy w państwach bałtyckich. Rosyjscy przywódcy kalkulują, że osłabienie, zastraszenie i podzielenie NATO warte jest poniesienia spodziewanych niewielkich szkód związanych ze złamaniem traktatu.

Tak samo uważa były członek amerykańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego Franklin Miller, który podkreśla, że nie wolno dopuścić w Europie do groźących rozłame





U.S. D.O.D.

Ronald Reagan i Michaił Gorbaczow po podpisaniu traktatu INF.

8 GRUDNIA 2017 ROKU MINĘŁA 30. ROCZNICA WEJŚCIA W ŻYCIE TRAKTATU INF. JEŚLI SYTUACJA BĘDZIE SIĘ ROZWIJAŁA TAK, JAK DO TEJ PORY – BYĆ MOŻE OSTATNIA

dyskusji i protestów, jakie pojawiły się w latach osiemdziesiątych w związku z rozmieszczeniem pershingów. Dlatego Amerykanie w odpowiedzi powinni rozmieścić większą liczbę pocisków na okrętach, a nie na lądzie.

Drugim celem Rosji jest wyrównanie sił w stosunku do Chin, które nie są związane traktatem INF. Mówi się o zagrożeniu, jakie chińskie rakiety stwarzają dla amerykańskich baz na Pacyfiku. Rosjanie uważają jednak, że mogą one z łatwością być użyte również przeciwko celom we wschodniej części ich kraju. Obecne stosunki obu państw wydają się poprawne, ale w przeszłości było wiele konfliktów, a spór graniczny w Mandżurii został rozwiązany dopiero w 2005 roku. Jednocześnie Rosjanie zdają sobie sprawę z tego, że ze względu na syberyjskie warunki geograficzne obrona tego obszaru wojskami konwencjonalnymi jest niewykonalna i dlatego oficjalnie przestrzegają, że w wypadku nawet konwencjonalnej napaści z tamtej strony, do obrony swojego terytorium użyją broni jądrowej. Nowy pocisk daje pod tym względem znacznie większą elastyczność niż broń strategiczna.

SZUKANIE WINOWAJCZY

8 grudnia 2017 roku minęła 30. rocznica wejścia w życie traktatu INF. Jeśli sytuacja będzie się rozwijała tak, jak do tej pory – być może ostatnia. Wiele na to wskazuje, a dziś jedyną wątpliwą kwestią wydaje się rozstrzygnięcie, z czyjej ostatecznie winy przestanie on de facto obowiązywać albo raczej kogo światowa opinia publiczna uzna za winowajcę.

Zachód właściwie już oficjalnie twierdzi, że wraz z testami oraz późniejszym wprowadzeniem do linii pocisków SSC-8 Rosja złamała traktat. Problem w tym, że wszystkie informacje odnośnie do nowego uzbrojenia pochodzą ze źródeł wywiadowczych, a sama Moskwa do tej pory nie udzieliła żadnych oficjalnych informacji na temat pocisku. Utrzymuje jedynie, że dysponuje technologią, która pozwala bardzo szybko wprowadzić takie uzbrojenie do arsenału, w razie gdyby traktat został złamany przez Stany

Zjednoczone. Dodatkowo oskarża USA, że już to zrobiły – wskazując oczywiście na drony oraz wyrzutnie stosowane w tarczy antyrakietowej w Rumunii i przewidziane wkrótce w Polsce. Chodzi o to, że pociski przeciwrakietowe SM-3 są wyrzeliwane z niemal takich samych wyrzutni (Mk 41 VLS) jak te stosowane na okrętach i służące do odpalania tomahawków. Co więcej, w obliczu braku współpracy ze stroną rosyjską Amerykanie intensywnie szukają odpowiedzi na nowe zagrożenie. Poza wspomnianym możliwym rozmieszczeniem dodatkowych pocisków na okrętach US Navy, republikanie zgłosili wniosek, by w budżecie obronnym na 2018 rok zarezerwować pieniądze na rozpoczęcie prac nad nowym amerykańskim pociskiem pośredniego zasięgu odpalany z lądu, czyli bezpośrednim odpowiednikiem SSC-8. Chociaż same prace teoretyczne są dozwolone, to przeprowadzenie jakichkolwiek prób w locie byłoby złamaniem traktatu.

Amerykanie powinni naciskać na swoich milczących do tej pory sojuszników w Europie i Azji, bo nowe rosyjskie pociski właśnie dla nich stanowią zagrożenie, a nie bezpośrednio dla USA. Jak do tej pory żaden z przywódców europejskich, a także Japonii czy Korei Południowej nie poruszał tej kwestii przy okazji spotkań z Władimirem Putinem. Jedynie NATO wydało specjalne oświadczenie. Można też pomyśleć o podzieleniu się informacjami wywiadowczymi z Chinami, które mimo dobrych dziś stosunków z Rosją, z pewnością będą zainteresowane ograniczeniem moskiewskiego potencjału w tym obszarze.

Takie dyplomatyczne posunięcia Zachodu mogą jednak nie wystarczyć do powstrzymania nowego wyścigu zbrojeń. Kreml wydaje się zdeterminowany, by pożegnać się z niesprawiedliwością, za którą od dawna uważa traktat INF. Warto jednakże podjąć taką próbę, bo nawet w wypadku niepowodzenia będzie można przynajmniej jednoznacznie wskazać faktycznego winnego zerwania umowy INF i ponownego sprowadzenia nad Europę widma rakiet atomowych. ■

MACIEJ HYPŚ jest publicystą portalu Konflikty.pl.

ŁOTWA

Zakup spike'ów

Ministerstwo obrony 12 lutego 2018 roku podpisało z Euro-Spike GmbH umowę o wartości 108 mln euro na dostawę przeciwpancernych pocisków kierowanych Spike. Resort podał tylko, że będą one zintegrowane z wozami rozpoznawczymi CVR(T). WT

RHEINMETALL



SŁOWENIA

Wejście boxera

Resort obrony podał, że Rząd zapoznał się z informacją o procedurze zakupu ośmiokołowych wozów bojowych dla średniej batalionowej grupy bojowej oraz zamiarze przystąpienia kraju do wielonarodowego programu „Boxer” w ramach międzynarodowej organizacji OCCAR. Pieniądze na ten projekt przewidziano w planie finansowym na lata 2018–2019. Jeszcze nie zdecydowano, w jaki sposób zostaną one pozyskane. W grę wchodzi cztery opcje, między innymi umowa międzyrządowa lub postępowanie o udzielenie zamówienia zgodnie z art. 346 „Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej”. WR



NEXTER

FRANCJA

Pojazdy przyszłości

Florence Parly, minister sił zbrojnych, ogłosiła, że firmy Nexter i Texelis dostaną zamówienie na lekkie opancerzone pojazdy wielozadaniowe VBMR-L (Leger).



Prezes Nextera

**STÉPHANE
MAYER**

Dzięki temu kontraktowi Nexter umacnia swoją pozycję jako sprawdzonego gracza na rynku uzbrojenia lądowego.

Ten czterokołowy wóz będzie miał masę 15 t i pomieści dziesięciu żołnierzy z systemem FÉLIN. VBMR Leger zostanie przystosowany do zamontowania takiego samego sprzętu jak w innych pojazdach pancernych mających trafić

do francuskich wojsk lądowych w ramach programu Scorpion. Zaplanowano cztery podstawowe wersje tych wozów: patrolową, rozpoznania, łączności oraz walki elektronicznej. W ciągu czterech lat do żołnierzy najpierw trafią pojazdy patrolowe. Do 2025 roku armia dostanie 689 sztuk VBMR-L, a do 2030 roku ponad 2 tys. WR



ROSJA

SUKHOI

Inwestycje w lotnictwo

Wojska powietrzno-kosmiczne jeszcze w 2018 roku dostaną ponad 100 nowych i zmodernizowanych maszyn. Chodzi o **myśliwce Su-30SM, Su-35S (na zdjęciu), bombowce Su-34 i szkolne Jak-130.**

Wiceminister obrony Jurij Borisow zapowiedział też, że w tym roku rozpocznie się modernizacja Su-30SM. Ujawnił też, że w planach resortu jest kontrakt na przedpro-

dukcyjną partię 12 myśliwców piątej generacji Su-57 na potrzeby testów bojowych. W 2018 roku przewidziana jest dostawa sześciu szturmowych śmigłowców Ka-52, zakup kolejnych 114 maszyn tego typu zaplanowano na lata 2018–2027. Lotnictwo wojskowe ma też dostać śmigłowce szturmowe Mi-28 i wielozadaniowe Mi-8 w różnych wersjach. TED

REPUBLIKA KOREI

Nowa fregata

Marynarka wojenna dostała fregatę rakietową „Daegu”, pierwszą z planowanych ośmiu jednostek typu FFX-II.

Okręt o długości 122 m i szerokość 14 m ma standardową wyporność 2800 t i pełną 3650 t. Został wyposażony w kombinowany napęd dieselowo-elektryczny lub gazowy CODLOG, złożony z turbiny gazowej Rolls-Royce MT30 i dwóch silników na magnesy stałe zasilanych przez zespoły generatorów wysokoprężnych MTU 12V 4000, który pozwala jej osiągnąć maksymalną prędkość 30 w. Fregata ma silne uzbrojenie – pionową wyrzutnię z 16 celami z pociskami przeciwlotniczymi, przeciwko okrętom podwodnym, wyrzutnie pocisków rakietowych przeciwokrętowych i do atakowania celów lądowych. Poza tym dysponuje armatą Mk45 Mod 4 kalibru 127 mm, systemem obrony bezpośredniej Phalanx z sześciolufowym działkiem kalibru 20 mm i sześcioma wyrzutniami torped kalibru 324 mm. TWR

HISZPANIA

Odnowa floty

Królewskie siły powietrzne w tym roku dostaną co najmniej dwa transportowce A400M i pierwszy z czterech bezzałogowców Reaper. Kontynuowane będą dostawy myśliwców Eurofighter. W planach jest rozpoczęcie analiz pod kątem zastąpienia wycofanych ze służby w 2016 roku samolotów Boeing 707 trzema maszynami Airbus A330 MRTT. T

FILIPINY

Zerwana umowa na belle

Kilka dni po podpisaniu z Canadian Commercial Corporation umowy za 234 mln dolarów na 16 śmigłowców Bell 412 EPI dla ich sił powietrznych, Filipiny anulowały ten kontrakt. Strona filipińska stwierdziła, że maszy-

ny będą wykonywały „operacje wojskowe na potrzeby bezpieczeństwa wewnętrznego”. Problem polegał na tym, że administracja prezydenta Rodriga Dutertego jest oskarżana o łamanie praw człowieka. Kanadyjski minister handlu wyraził natomiast zgodę na sprzedaż śmigłowców w przekonaniu, że będą one używane do zadań niebojowych, w tym poszukiwawczo-ratowniczych. WT

BELL HELICOPTER

AUSTRALIA

SUKCES NIEMCÓW

Ministerstwo obrony podpisało z niemiecką firmą Lürssen kontrakt o wartości co najmniej 3 mld dolarów australijskich na kierowanie pracami projektowymi i budowę 12 pełnomorskich okrętów patrolowych, które w tamtejszej marynarce wojennej zastąpią patrolowce typu Armidale. Niemcy zostali wybrani na lidera programu SEA 1180 w listopadzie 2017 roku. Pierwsze dwie nowe jednostki zostaną zbudowane w stoczni ASC należącej do Osborne Naval Shipyard w Adelajdzie w Australii Południowej. Prace mają rozpocząć się już w tym roku. Pozostałych dziesięć powstanie w nale-

żącej do Austala stoczni Henderson Maritime Precinct w Henderson na południe od Perth, w Australii Zachodniej. **Pierwsza jednostka zostanie dostarczona marynarce w 2021 roku.** Nowe australijskie patrolowce powstaną na bazie projektu OPV 80 firmy Lürssen. Okręty o długości 80 m, szerokości 13 m i zanurzeniu wynoszącym 3 m będą miały wyporność około 1500 t, czyli pięć razy większą niż typ Armidale. Główną ich bronią będzie armata kalibru 40 mm. Według danych niemieckiej firmy na pokładzie jest miejsce dla 56 osób, w tym 18 pasażerów. W



Australijski wiceminister obrony do spraw przemysłu obronnego

CHRISTOPHER PYNE

Nowe okręty zostaną zbudowane w australijskich stoczniach z rodzimej stali. Dzięki temu projektowi powstanie około 1000 miejsc pracy.

LÜRSSEN DEFENCE





RAFAŁ
CIASTOŃ

Twórca visa



Pistolet wz. 35 Vis (początkowo od nazwisk konstruktorów oznaczany jako WiS) to chyba najbardziej rozpoznawalny przedstawiciel polskiej broni strzeleckiej okresu międzywojnia. Radomski Łucznik ogłosił wznowienie jego produkcji na potrzeby kolekcjonerskie. Warto przy tej okazji przybliżyć także sylwetkę jednego z twórców visa.

Piotr Wilniewicz urodził się 31 stycznia 1887 roku w guberni irkuckiej jako syn polskich zesłańców styczniowych. Dwa lata później rodzina przeniosła się do Wilna, gdzie w 1905 roku przyszły konstruktor zdał maturę. W tym samym roku rozpoczął studia na Wydziale Fizyko-Matematycznym Uniwersytetu Petersburskiego, by w kolejnym semestrze kontynuować je na Wydziale Chemicznym Politechniki Lwowskiej.

Drugi rok nauki Wilniewicz rozpoczął już w Petersburgu na Wydziale Chemicznym Instytutu Technologicznego, który ukończył w 1914 roku, jednakże bez uzyskania dyplomu. W 1915 roku z wyróżnieniem skończył Michajłowską Szkołę Artylerii. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości powrócił do ojczyzny i w 1921 roku podjął pracę w sochaczewskiej fabryce prochu. Jednak w kolejnym roku wyjechał do Wilna, gdzie przez dwa lata był zatrudniony w spółce leśnej. W 1924 roku Wilniewicz został wykładowcą Oficerskiej Szkoły Artylerii w Toruniu, gdzie pozostał do 1928 roku, kiedy to objął stanowisko kierownika działu balistyki w Dyrekcji Państwowych Wytwórni Uzbrojenia. Trzy lata później, wspólnie z Janem Skrzypińskim, zaprojektował wspomnianego wcześniej visa. Konstrukcja była wzorowana na amerykańskim pistolecie Colt M1911, jednak zastosowano w niej kilka oryginalnych rozwiązań, dotyczących m.in. przekoszenia lufy. Pistolet wszedł do uzbrojenia Wojska Polskiego w 1936 roku, a do rozpoczęcia wojny wyprodukowano około 45 tys. egzemplarzy. Produkcja była kontynuowana także przez Niemców – do końca wojny powstało 350 tys. jednostek oznaczanych jako P-35p.

Konstruktorski tandem stworzył w 1937 roku jeszcze jeden rewolucyjny produkt – pistolet maszynowy Mors, który wymagał jednak dalszego dopracowania i ostatecznie wszedł do produkcji dopiero dwa lata później. W rezultacie powstało jedynie około 40 egzemplarzy próbnej serii.

Lata okupacji Wilniewicz spędził w Warszawie. Jako członek Armii Krajowej wykorzystywał swe talenty inżynierskie w konspiracji – stworzył m.in. tłumik do pistoletu maszynowego Sten. Po upadku powstania konstruktor trafił do obozu w Pruszkowie, a do stolicy powrócił już po jej wyzwoleniu. W 1948 roku jako wykładowca związał się z Politechniką Łódzką, dwa lata później zaś przeniósł się na Politechnikę Warszawską. W tym samym roku rozpoczął także roczną współpracę z Ministerstwem Przemysłu i Handlu jako doradca. Z warszawską uczelnią Wilniewicz był związany do końca życia, chociaż od 1953 roku wykładał również w Wieczorowej Szkole Inżynierskiej (późniejszej politechnice) w Poznaniu. Po wojnie współtworzył też dwie konstrukcje strzeleckie, przy czym pierwsza z nich – pistolet wz. 57 WiR – nie weszła do produkcji, druga zaś – PM 63 RAK – trafiła do niej dopiero po śmierci konstruktora.

Piotr Wilniewicz zmarł w 1960 roku i został pochowany na cmentarzu Powązkowskim.



RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ BLISKI WSCHÓD



Żołnierz 13 batalionu
Brygady Golani
podczas ćwiczeń
w rejonie Wzgórz
Golan.

ANDRZEJ PAWŁOWSKI

AJATOLLAHOWIE PUKAJĄ DO DRZWI

**czy Iran i Izrael, będące
w stanie zaawansowanego konfliktu
politycznego, prowadzą wojnę, która
nigdy nie została wypowiedziana?**



E

ksport rewolucji islamskiej drogą pokojową zakończył się na Bliskim Wschodzie niepowodzeniem. Państwa tego regionu nie zawsze były zainteresowane przenoszeniem konkretnych rozwiązań na swój grunt. Początkowo traktowały islamską rewolucję jako wzór do naśladowania, ale był to bardzo krótki epizod. Później odnosiły się do niej z podejrzliwością i nawet wrogością, upatrując w ustanowieniu ogólnomużulmańskiej ummy realnego zagrożenia dla odrębności państwowej. Na czele tego nieformalnego tworu miała stanąć Islamska Republika Iranu. Nie wszyscy jednak byli nastawieni negatywnie do haseł i osiągnięć tej rewolucji. Szczególnymi jej zwolennikami okazali się islamscy szyici w Iraku, Libanie i Bahrajnie.

Po nieudanym eksporcie rewolucji Teheran początkowo ukierunkował się na odbudowę kraju po wojnie z Irakiem, aby dzięki rozwojowi ekonomicznemu i pozycji politycznej zyskać miano państwa godnego naśladowania. Ta metoda też nie przyniosła oczekiwanego rezultatu, więc ajatollahowie zdecydowali się na powiększenie strefy wpływów drogą militarną. Trafili na podatny grunt, gdyż w 2011 roku w Syrii wybuchła wojna domowa. Izrael, w obawie przed obecnością sił zbrojnych Iranu na terytorium sąsiada, rozpoczął starania na arenie politycznej, aby ograniczyć dążenia państwa ajatollahów. Takie działania okazały się jednak niewystarczające.

WRÓG U BRAM

Pruski teoretyk wojny Carl von Clausewitz stwierdził, że wojna jest kontynuacją polityki innymi środkami. Ta myśl jest ponadczasowa i można ją odnieść do konfliktu Izraela z Iranem w Syrii. Tak, między tymi dwoma państwami toczy się konflikt niskiej intensywności,

który możemy nazwać wojną o ograniczonych celach. Nie jest to wojna totalna, zmierzająca do bezwarunkowej kapitulacji, lecz „akt przemocy, mający na celu nagięcie przeciwnika do naszej woli”. Izrael zmierza do powstrzymania Iranu przed zdobyciem kontroli nad Syrią, wspieraniem Hezbollahu, a przez to przed doprowadzeniem do sytuacji, w której teokracja stanie się egzystencjalnym zagrożeniem.

Polityka przywódców Izraela w stosunku do państwa ajatollahów w generalnym ujęciu nie jest skomplikowana i opiera się na powstrzymywaniu eksportu irańskiej rewolucji poza granice Iranu. Obecna sytuacja geopolityczna na Bliskim Wschodzie wydaje się pod tym względem idealna. Faktycznie Syria jest w rękach Rosji i Iranu. I o ile Izraelczycy są w stanie dogadać się z Rosjanami, o tyle rosnąca pozycja Teheranu w tym regionie jest dla nich nie do zaakceptowania. Tym bardziej że wykorzystał on syryjską wojnę domową do przeniesienia żołnierzy bliżej Izraela.

Zniknęła bezpieczna strefa państwa kontrolowanego przez Baszszara al-Assada, a wróg stanął u bram państwa Izrael. Być może nie tak blisko jak żołnierze Hitlera pod Moskwą i Stalingradem w czasie II wojny światowej, ale wystarczająco, aby móc nękać izraelskich wojskowych. Miałoby temu służyć opanowanie syryjskiej części Wzgórz Golan oraz przejścia transportowego w prowincji Kunejtra. A to skutkowałoby otwarciem drugiego, obok południowo-libańskiego, frontu walki z Izraelem.

Warto też zwrócić uwagę na to, że infrastruktura wojskowa w miejscowości Al-Kiswa znajduje się w odległości 50 km od izraelskiej części Wzgórz Golan. Wojska Iranu mogły więc znaleźć się w zasięgu ognia moździerzowego. Strategiczne znaczenie tego terytorium jest niepodważalne, gdyż obsadzenie go pociskami ziemia–ziemia pozwoli na pokrycie ogniem całego Izraela.

Polityka przywódców Izraela w stosunku do państwa ajatollahów w generalnym ujęciu nie jest skomplikowana i opiera się na powstrzymywaniu eksportu irańskiej rewolucji poza granice Iranu.



Premier Benjamin Netanjahu robi, co może, aby przekonać opinię publiczną o niebezpieczeństwie grożącym Izraelowi.

PRZEZ OSTATNICH SZEŚĆ LAT DOSZŁO DO ZASADNICZEJ ZMIANY W STRATEGII IZRAELA W SYRII – OD POCZĄTKOWEJ POLITYKI NIEZAANGA- ŻOWANIA, PRZEZ OGRANICZONĄ INTER- WENCJĘ, PO AKTYWNE POWSTRZYMY- WANIE DZIAŁAŃ TEHERANU

Zdobycie kontroli nad rejonem w pobliżu miasta Abu Kamal, leżącego przy granicy syryjsko-irackiej, mogłoby otworzyć korytarz prowadzący bezpośrednio do Wzgórz Golan. Efektem tego byłoby zapewnienie niezakłóconych dostaw uzbrojenia, doradców sił Ghods i Pasdaranów w bezpośrednie sąsiedztwo Izraela.

TEHERAN SIĘ ZBROI

Iran systematycznie buduje potencjał pozwalający na konfrontację z Izraelem. W marcu 2017 roku Ruch Partii Wybrańców Boga (Harakat Hezbollah al-Nujaba) utworzył brygadę wyzwolenia Golanu, która za cel sta-

wia sobie oswobodzenie tego terytorium spod izraelskich rządów. Do wzmocnienia sił irańskich w Syrii są werbowani również szyi z terytorium Pakistanu i Afganistanu. Potencjalnych rekrutów kusi się obietnicami zakwaterowania, miesięcznym wynagrodzeniem w kwocie 600 dolarów, a także późniejszym zatrudnieniem i stałym pobytem w Iranie.

Teheran próbuje destabilizować pogranicze syryjsko-izraelskie przez rekrutację syryjskich druzów i dawnych bojowników Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Temu celowi służy umieszczenie tzw. doradców sił Ghods na syryjskim terytorium i aktywacja komórek



partyzanckich, które będą siał niepokój na granicy, zmuszając Izrael do utrzymywania większych sił w tym rejonie. Iran ma już ponad 70 tys. bojowników w Syrii: setki własnych żołnierzy, 7 tys. bojowników Hezbollahu, tysiące afgańskich rekrutów z organizacji Liwa al-Fatemioun oraz ochotników z Iraku i Pakistanu.

Najwyższy przywódca Iranu Ali Chamenei stwierdził, że kolejnym celem jego państwa będzie Jordania, gdyż „z Zachodniego Brzegu Jordanu należy uczynić drugą Strefę Gazy”, aby nękać Izrael również na tym odcinku.

STRATEGIA POWSTRZYMYWANIA

Izrael od lat przestrzega żelaznej zasady – nie pozwala na stacjonowanie irańskich oddziałów w odległości mniejszej niż 50 km od granicy. 2 grudnia 2017 roku lotnictwo wojskowe tego kraju zaatakowało bazę w Al-Kiswie, położoną 14 km od Damaszku. Do operacji doszło niecały miesiąc po prasowych doniesieniach o tym, że powstaje tam irańska baza wojskowa. Atak nastąpił po przygotowaniach wywiadowczych opartych przede wszystkim na źródłach wywiadu elektronicznego, w szczególności zdjęciach satelitarnych ze stycznia, maja i października 2017 roku. Wcześniej w tym miejscu istniała infrastruktura wojskowa syryjskich sił zbrojnych. Budynki miały służyć zakwaterowaniu co najmniej 500 żołnierzy i garażowaniu pojazdów. Planowano rozbudowę obiektu – powstały już kwatery dowództwa i wylano fundamenty pod kolejne budynki. Wówczas było pewne, że zostanie tam zorganizowana irańska wysunięta baza operacyjna.

Atak z grudnia 2017 roku odbił się szerokim echem w mediach, ale nie był czymś specjalnym, jeśli chodzi o izraelsko-irańską rywalizację w Syrii. To tylko element całościowej strategii powstrzymywania Iranu, który puka do granic Izraela, ale także atak po raz pierwszy wykonany na dobrze znany i rozpracowany obiekt.

Można to porównać do sytuacji, gdy Stany Zjednoczone powstrzymywały Związek Radziecki w czasach zimnej wojny. Waszyngton budował sieć sojuszy – wtedy powstała Organizacja Paktu Północnoatlantyckiego, Pakt Bezpieczeństwa Pacyfiku, Organizacja Paktu Azji Południowo-Wschodniej i Organizacja Paktu Centralnego. Izrael zaś przez dłuższy

IRAN CHCE WYKO- RZYSTAĆ DESTABI- LIZACJĘ NA BLI- SKIM WSCHODZIE, ŻEBY ZDOBYĆ POZYCJĘ HEGEMONIA W REGIONIE

czas występuje sam, musi więc działać z wyprzedzeniem. Tamtejszy rząd jest zatem zmuszony do powstrzymywania sił irańskich z dala od swoich granic. Dlatego też prowadzi konflikt o niskiej intensywności.

Strategia powstrzymywania polega zatem na aktywności na arenie politycznej w połączeniu z działaniem innymi środkami, takimi jak wojna zastępcza w Syrii. Benjamin Netanjahu robi co może, aby przekonać opinię publiczną o niebezpieczeństwie, które stwarza Teheran. W listopadzie 2017 roku izraelscy politycy bardzo często ostrzegali o zamiarach Iranu, planującego stworzenie stałej bazy wojskowej w Syrii. Informacje o dążeniach do przeniesienia irańskich wojsk lądowych i lotnictwa wojskowego w pobliże granic Izraela nie były traktowane poważnie. Nie wierzono także we wprowadzenie okrętów marynarki wojennej na Morze Śródziemne dzięki wykorzystaniu infrastruktury portów syryjskich.

Powstrzymywanie Iranu nie przejawia się w tak złożonych działaniach, jak te podejmowane wobec Związku Radzieckiego. Nie ma więc wydarzeń na kształt kryzysu rakietowego na Kubie czy wojny w Wietnamie. Operacje lotnicze mają na celu przerwanie dostaw



Najwyższy przywódca Iranu Ali Chamenei stwierdził, że kolejnym celem jego państwa będzie Jordania, gdyż „z Zachodniego Brzegu Jordanu należy uczynić drugą Strefę Gazy”, aby nękać Izrael również na tym odcinku.

uzbrojenia dla libańskiego Hezbollahu i prób zadołowania się żołnierzy Korpusu Strażników Rewolucji w Syrii, w bezpośrednim sąsiedztwie państwa Izrael. Atak na bazę w Al-Kiswie wskazuje, że jest to jednak reakcja zachowawcza. Świadczyć o tym może kierowanie kontrolowanych przecieków do prasy. Wystarczy zauważyć, że informacja o budowie tamtejszego obiektu przedostała się do mediów w połowie listopada, a do uderzenia w bazę doszło niespełna miesiąc później. Tak długi czas był daniem szansy Irańczykom na opuszczenie budynków, aby nie doszło do strat w ludziach i eskalacji konfliktu. Zresztą premier Netanjahu i prezydent Re'uwen Riwlin już w lipcu i sierpniu 2017 roku ostrzegali, że instalacja irańskich stałych baz wojskowych w Syrii będzie mieć negatywne konsekwencje.

Działania polityczne i militarne są prowadzone metodycznie. Potwierdzeniem tego jest chociażby nalot na obiekt w Dżumarji, leżącej na północnych obrzeżach Damaszku i mogącej służyć jako zaplecze logistyczne dla sił irańskich, m.in. z racji zlokalizowanych tam ośrodka badawczego i kompleksu magazynowego. Jest to miejsce projektowania pocisków raketowych oraz składowania uzbrojenia i amunicji. Obiekt wojskowy na przedmieściach Al-Kiswy, który również zaatakowano, może być wykorzystywany przez Pasdaranów albo jednostki tworzone przez szyickich bojowników z Afganistanu lub Pakistanu. Podobno inspekcji prac w tej bazie dokonywał już dowódca Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej gen. Ghasem Solejmani.

SYRYJSKIE POLE BITWY

Przez ostatnich sześć lat doszło do zasadniczej zmiany w strategii Izraela w Syrii – od początkowej polityki niezaangażowania, przez ograniczoną interwencję, po aktywne powstrzymywanie działań Teheranu. Momentem przełomowym było pokonanie Daesz w Syrii, istniała też obawa, że miejsce islamistycznych bojowników zajmą Pasdarani. Powtarzane jak mantra słowa, że wojna domowa w Syrii nie leży w sferze zainteresowań Izraela, straciły na znaczeniu. Stało się jasne, że wynik wewnętrznej rozgrywki w sąsiadującym kraju ma istotne znaczenie.

Rząd Benjamina Netanjahu nie wymyślił tego, że Iran próbuje zainstalować w Syrii stałe bazy wojskowe. Szef sztabu Sił Obronnych Izraela Gadi Eisenkot, minister obrony Awigdor Lieberman i premier ciągle powtarzają, że nie pozwolą na rozmieszczenie irańskich baz lądowych, morskich i lotniczych oraz placówek wywiadowczych na syryjskim terytorium. Izrael stanowczo sprzeciwia się rosnącym wpływom Iranu w sąsiedniej Syrii i budowaniu tam obiektów wojskowych, występu-

jąc przeciwko temu na drodze dyplomatycznej i zarazem używając sił zbrojnych. Stara się też ograniczyć ilość sprzętu wojskowego dostarczanego Hezbollahowi. Premier Benjamin Netanjahu ostrzega ponadto przed bezpośrednim zajęciem przez Iran pozycji bojowników samozwańczego Państwa Islamskiego w Syrii.

Państwo ajatollahów zamierza wykorzystać destabilizację na Bliskim Wschodzie, żeby zdobyć pozycję hegemonu w regionie. Dlatego chce brać udział w politycznej, ekonomicznej i militarnej odbudowie Syrii. Przywódcy Izraela wiedzą z kolei, że osiągnięcie takiego statusu byłoby gwoździem do ich trumny i zagrożeniem dla istnienia samego państwa. Przed Iranem długa droga: konieczność zdobycia istotnej przewagi w Syrii, podporządkowanie Iraku, rozmieszczenie wojsk przy granicy z Syrią i skupienie pod swoim przewodnictwem szyitów na Bliskim Wschodzie. Teheran jednak właśnie taki ma cel, gdyż dąży do stworzenia korytarza lądowego do Morza Śródziemnego i do powstania regionu szyickiego półksiężyca od Iranu po Liban, czyli grupy państw o dominującej pozycji. Postawi to Izrael w bardzo trudnej sytuacji, w jakiej ten kraj nie był od czasów wojny Jom Kippur w 1973 roku.

Tak jak Stany Zjednoczone powstrzymywały Związek Radziecki poprzez sieć sojuszy, w której zdecydowanie najważniejszą rolę odgrywało NATO, tak Izrael zabiega o tworzenie koalicji, która powstrzyma Iran przed dalszymi działaniami. Dlatego też Netanjahu starał się normalizować stosunki międzypaństwowe z Turcją, a nawet poszedł dalej, wyciągając dłoń do bardziej umiarkowanych, jak to określono, państw arabskich. Mowa tutaj o Arabii Saudyjskiej, która, podobnie jak Turcja, żywotnie nie jest zainteresowana dominacją Iranu w regionie. Jeszcze kilka lat temu sojusz państwa Izrael z blokiem sunnickim był nie do pomyślenia. Wszystko po to, aby prowadzić ukrytą wojnę z Iranem na terytorium syryjskim, wojnę, na szczęście, zastępczą.

Względny spokój został zburzony po tym, gdy 10 lutego 2018 roku runął na ziemię izraelski myśliwiec wielozadaniowy F-16I Sufa. To cena, jaką musiało zapłacić tamtejsze lotnictwo za przeprowadzenie skomasowanych uderzeń na irańskie instalacje wojskowe na terytorium Syrii. Przyczyną odwetowych operacji było naruszenie integralności terytorialnej Izraela przez irański dron. Rozpoczęło się zatem uprawianie sofistyki medialnej przez premiera Benjamina Netanjahu. Na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa zapowiadał on działania nie tylko wobec proirańskich sił w Syrii, lecz także przeciwko samemu Teheranowi. ■

ANDRZEJ PAWŁOWSKI jest publicystą portalu Konflikty.pl

TOMASZ OTŁOWSKI

Wypalona rewolucja

Duża armia, rozbudowany arsenał rakiet balistycznych oraz broń jądrowa to atuty Iranu, ale na niewiele się one zdadzą bez silnej, sprawnej gospodarki.

Kiedy kilka dni przed końcem 2017 roku doszło w Meszhedzie (stolicy prowincji Chorasane Razawi we wschodnim Iranie, ważnym ośrodku gospodarczym i religijnym) do spontanicznych masowych demonstracji, które przerodziły się w rozruchy i starcia z siłami bezpieczeństwa, świat wstrzymał oddech. Tym bardziej że niepokoje społeczne szybko rozprzestrzeniły się niemal na cały kraj, a pierwotne hasła społeczno-ekonomiczne i bytowe zostały zastąpione twardymi postulatami politycznymi o jawnie antyreżimowym i antysystemowym wydźwięku. W wielu starciach z siłami porządkowymi demonstranci użyli broni palnej, co było w Iranie ewidentną nowością.

Skala, zasięg oraz żywiołowość tych rozruchów wzbudziły u wielu obserwatorów i komentatorów, nie tylko zachodnich, lecz także arabskich i izraelskich, nadzieję na powtórzenie się scenariusza sprzed niemal dekady, gdy Iranem wstrząsnęła pamiętna „zielona rewolucja”, a kraj stanął na krawędzi wojny domowej. Obecne protesty w Iranie wygasły jednak już w styczniu 2018 roku równie nagle, jak się pojawiły.

Aby stłumić tę rebelię, władze w Teheranie nie musiały nawet podejmować drastycznych środków, takich jak wprowadzenie stanu wyjątkowego czy specjalne prerogatywy dla sił bezpieczeństwa. Co zatem sprawiło, że te społeczne niepokoje, mające przecież potencjał na

ewoluowanie w coś na kształt „irańskiej wiosny”, szybko wypaliły się od wewnątrz? Jak się wydaje, odpowiadają za to głównie czynniki mające swe źródła w sytuacji międzynarodowej wokół Islamskiej Republiki Iranu (IRI) i w jej pozycji w regionie.

POLITYCZNY PATRONAT

Rozwój wydarzeń na Bliskim Wschodzie w ostatnich latach sprawił, że Iran stał się największym beneficjentem burzliwych zmian geopolitycznych, które dokonują się w tej części świata. U progu 40. rocznicy powstania IRI jest bowiem już tylko o krok od osiągnięcia głównych celów strategicznych, nakreślonych przez „ojców założycieli” teokratycznego Iranu po rewolucji z 1979 roku. Najważniejsze jest uzyskanie kontroli politycznej nad zamieszkanymi przez szyitów rejonami Bliskiego Wschodu, zwłaszcza nad tzw. szyickim półksiężycem, czyli obszarem rozciągającym się od Syrii i Libanu, przez Irak, aż po Iran.

Ten polityczny i ideologiczny patronat Teheranu nad bliskowschodnimi szyitami ma być z kolei kluczem do jego umocnienia w regionie. To także, w ocenie establishmentu politycznego i religijnego IRI, niezbędny warunek do zapewnienia prymatu irańskiej wizji teologicznej w świecie islamu, czyli dominacji szyizmu. Analizując wydarzenia w regionie w ostatnich latach, trudno nie dostrzec, że rewolucyjny Iran nigdy jeszcze, w ciągu czte-

AP/EBRAHIM NOROOZI/EAST NEWS



WEWNĘTRZNE NAPIĘCIA SPOŁECZNO- -EKONOMICZNE I POLITYCZNE NIE POZWOLĄ IRANOWI ZDOBYĆ STATUSU MOCARSTWA REGIONALNEGO

rech dekad swego istnienia, nie był tak blisko osiągnięcia tych celów.

Jakby tego było mało, pozycja i strategiczne znaczenie IRI uległy znaczącemu wzmocnieniu po 2014 roku, kiedy region zaczął się zmagać z nowym zagrożeniem w postaci Państwa Islamskiego (IS). Jako organizacja

ekstremistyczna, wywodząca się ze skrajnych odłamów islamu sunnickiego (określanych przez Teheran mianem takfirystów), stała się śmiertelnym wrogiem zwłaszcza dla szytów w Iraku i Syrii. Iran podjął wówczas zdecydowane działania wymierzone w kalifat, udzielając szerokiego wsparcia państwom regionu przez niego zagrożonym. Równocześnie umiejętnie wykorzystał tę sytuację do zaprezentowania się społeczności międzynarodowej jako pragmatyczny i przewidywalny gracz regionalny, skutecznie zwalczający zagrożenia terrorystyczne ze strony radykalnego sunnizmu. A więc te same zagrożenia, wobec których od kilkunastu lat stoi również sam Zachód.

Pozwoliło to na ocieplenie wizerunku Iranu w oczach zachodniej opinii publicznej, co dodatkowo wzmacniał fakt, że urząd prezydenta IRI od 2013 roku pełni Hasan Rouhani, polityk powszechnie uważany za umiarkowa-



nego. W rezultacie Iran przestał być pariasem regionu i awansował do roli poważnego partnera w walce z terroryzmem i w staraniach na rzecz stabilizacji środowiska międzynarodowego Bliskiego Wschodu.

BLISKOWSCHODNIA ZIMNA WOJNA

Taki obrót spraw jest jednak nie do zaakceptowania dla wielu regionalnych aktorów sceny międzynarodowej, zwłaszcza arabskich, sunnickich monarchii regionu Zatoki Perskiej, z Arabią Saudyjską na czele. Rywalizacja między Rijadem a Teheranem (a szerzej: między sunnitami a szyitami) narasta od dawna, coraz wyraźniej przekształcając się w geopolityczne współzawodnictwo o dominację w regionie. W wielu punktach Bliskiego Wschodu (Syria, Jemen, Liban, Irak) ta saudyjsko-irańska zimna wojna przerodziła się już w rzeczywiste, nierzadko bardzo gorące wojny zastępcze, gdzie lokalne siły walczą ze sobą w imię szerszych interesów swych mocodawców i patronów z Rijadu lub Teheranu. Ale to jednak Iran i jego miejscowi poplecznicy są stroną odnoszącą polityczne i militarne sukcesy oraz zyskującą punkty w rozgrywce z przeciwnikami, co zdecydowanie zwiększa zasięg strategicznego oddziaływania IRI i sprzyja jej sprawie. To islamski, szyicki Iran jest dzisiaj w geopolitycznej ofensywie w regionie, jego główni adwersarze zaś – Arabia Saudyjska z jej sojusznikami, Izrael, a nawet Turcja – znajdują się w defensywie, co próbują maskować improwizowanymi, „zdecydowanymi” działaniami w swym otoczeniu (Rijad – w Jemenie, a Ankara i Tel Awiw-Jaffa – w Syrii).

Efektem takiej skutecznej strategii w polityce międzynarodowej Teheranu stało się doprowadzenie do zawarcia w 2015 roku przełomowego porozumienia w sprawie irańskiego programu nuklearnego. Wspólny kompleksowy plan działania (Joint Comprehensive Plan of Action – JCPOA), zawarty przez Iran z globalnymi potęgami pod auspicjami Organizacji Narodów Zjednoczonych, przewiduje zniesienie sankcji w zamian za stopniowe ograniczanie aktywności Irańczyków w dziedzinie programu nuklearnego. Choć układ formalnie wszedł w życie już niemal trzy lata temu, to jednak na razie nie przyniósł poprawy sytuacji ekonomicznej.

Głównym powodem jest zmiana polityki Stanów Zjednoczonych po objęciu urzędu prezydenta przez Donalda Trumpa. Nowa administracja USA krytykuje to porozumienie jako nieskuteczne i niepełne – jego treść i założenia nie dotyczą bowiem zaawansowanych i intensywnie rozwijanych programów rakietowych Iranu. Waszyngton domaga się więc renegocjacji JCPOA, nie wykluczając nawet opcji jego jednostronnego zerwania. Irańczycy jednak nie godzą się na jakiegokolwiek zmiany,

bo dla nich obecna formuła porozumienia jest optymalna, co zresztą jest efektem ich mistrzowskich działań politycznych i dyplomatycznych. Teheran w latach 2014–2015 wykorzystał bowiem to, że ówczesnej amerykańskiej administracji prezydenta Baracka Obamy tak bardzo zależało na zawarciu umowy z Iranem, że skłonna była przymknąć oczy na braki w jej postanowieniach.

Dzisiaj ta niepewność co do dalszych losów JCPOA sprawia, że zachodni inwestorzy (zwłaszcza wielkie międzynarodowe korporacje, niezbyt skłonne do zadzierania z Waszyngtonem) na razie omijają Iran szerokim łukiem, a ambitne plany ekspansji ekonomicznej na Zachód wciąż są w zawieszeniu.

NIESPEŁNIONE NADZIEJE

Zapowiadane miliardowe korzyści z irańskiego otwarcia się na świat i ze zniesienia sankcji wciąż są więc jedynie pieśnią przyszłości. Bariery mają charakter wyłącznie polityczny, bo z formalnego punktu widzenia nic nie stoi na przeszkodzie, aby strumień inwestycji i funduszy popłynął do kraju ajatollahów. Miliony Irańczyków wciąż mają więc nadzieję, że już wkrótce uda im się skosmumować te obiecane i oczekiwane ekonomiczne owoce porozumienia ze światem.

Być może to właśnie te niespełnione wciąż nadzieje zwykłych mieszkańców na poprawę bytu stały się zasadniczą przyczyną szybkiego wygaszenia niedawnych protestów. Najwyraźniej w Iranie nie ma jednak jeszcze potencjału do wybuchu szerokiego społecznego buntu. Obecne władze w Teheranie najpewniej mają świadomość, że przywrócony po fali ostatnich rozruchów względny spokój społeczny ma kruche podstawy, czas działa zaś na niekorzyść rządzących. Dalsza niepewność wokół JCPOA wpływa niekorzystnie na sytuację gospodarczą Iranu, ta z kolei wywołuje lub wzmacnia napięcia społeczne i związane z tym podziały polityczne.

Ryzyko takiego obrotu spraw jest tym większe, że sytuacja społeczno-ekonomiczna Iranu jest znacznie gorsza niż jego pozycja międzynarodowa. Bezrobocie oscyluje między poziomem 12% (dane oficjalne) a nawet 25% (nieoficjalne, choć zapewne bliższe stanowi faktycznemu), dotykając szczególnie młodych ludzi. Inflacja ma wymiar dwucyfrowy i znacząco wpływa na obniżenie stopy życiowej obywateli, a do tego dochodzą narastające trudności w zaopatrzeniu w podstawowe towary konsumpcyjne. Większość gałęzi gospodarki jest niedoinwestowana, a tym samym niewydolna, a ogólną złą sytuację od kilku lat pogarszają relatywnie niskie ceny ropy i gazu na światowych rynkach.

Pomimo tego duża część irańskiej klasy politycznej odnosi się co najmniej niechętnie do perspektyw zaist-



LOEY FELIPE / UN



Urząd prezydenta od 2013 roku pełni szczycki duchowny Hasan Rouhani, polityk powszechnie uważany za umiarkowanego.

nienia Iranu w gospodarce światowej. Dla tych ludzi – w większości skupionych wokół obozu tzw. konserwatystów – zatargi Teheranu z administracją Donalda Trumpa to dar z niebios, hamujący „szatańskie zakusy” Zachodu i sunitkich Arabów wobec Iranu. Ważne w tym kontekście jest to, że najzagorzalsi irańscy konserwatywni krytycy polityki obozu prezydenta Rouhaniego mają rozbudowane związki z tzw. trzecim sektorem irańskiej gospodarki, czyli jej częścią zarządzaną przez resorty siłowe – armię, służby bezpieczeństwa, ale przede wszystkim wszechpotężny Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej (Pasdaran).

TRZECI SEKTOR

Według pobieżnych i z oczywistych względów niemożliwych do weryfikacji szacunków zachodnich analityków, ten „parapaństwowy” sektor irańskiej gospodarki odpowiada za około 40% PKB kraju (dla porównania: oficjalny sektor państwowy wytwarza około 35% produktu krajowego, a prywatny – zaledwie 25%). To oczywiście tylko statystyki, które nie pokazują jednak całej prawdy. Ów trzeci sektor to głównie najwyżej rozwinięte i najbardziej dochodowe gałęzie irańskiej gospodarki, takie jak energetyka, branża zbrojeniowa i dotyczące projektów nuklearnych, ale także np. perspektywiczny rynek nieruchomości komercyjnych. Nic dziwnego, że zapowie-

dzi jego deregulacji – niezbędnej w warunkach otwartej na zagraniczną konkurencję gospodarki – wzbudzają popłoch w strukturach siłowych IRI.

Zmiany w strukturze irańskiej gospodarki, zapowiedziane przez prezydenta Rouhaniego już u schyłku niedawnych zamieszek, polegające na zmniejszeniu wpływu Pasdaran i armii na ekonomię kraju, dolewają tylko oliwy do ognia. Z jednej strony być może udało się reformatorom kupić w ten sposób nieco spokoju społecznego i złagodzić nastroje, z drugiej jednak plany te wywołały furię konserwatystów. Rouhani wie, że pozycja jego obozu słabnie, więc gra niezwykle ostro, wiele ryzykując. Konserwatyści rosną bowiem w siłę, czego dowodem może być nie tylko umocnienie ich wpływów w parlamencie, lecz także np. odnotowywany w wielu regionach kraju liczniejszy zaciąg ochotników w szeregi ludowej milicji Basidż.

Paradoksalnie narracji irańskich twardogłowych sprzyja zaostrzenie stanowiska Waszyngtonu wobec JCPOA. Konserwatyści irańscy, choć od początku byli przeciwni jakimkolwiek układom z „wielkim szatanem”, teraz skwapliwie wykorzystują nowe stanowisko USA do kreowania w swym przekazie politycznym i propagandowym obrazu „zdradzonego Iranu”, któremu źli Amerykanie uniemożliwiają rozwój ekonomiczny w kooperacji ze światem, nieudolny zaś Rouhani nie umie sobie z tym problemem poradzić. I coraz więcej Irańczyków zdaje się w to wierzyć.

Wewnętrzne napięcia społeczno-ekonomiczne i polityczne w Iranie, które uwidoczniły się na tle noworocznych rozruchów, stawiają zatem pod znakiem zapytania zdolność tego państwa do osiągnięcia statusu mocarstwa regionalnego. Duża armia, rozbudowany arsenał rakiet balistycznych, zaawansowane prace nad bronią jądrową oraz uzyskanie strategicznych wpływów w kluczowych częściach regionu to oczywiste atuty Iranu. Ale na niewiele się one zdadzą bez silnej, sprawnej gospodarki i stabilnej sytuacji społeczno-politycznej. Historia pokazuje bowiem, że niejedno wschodzące imperium, o obiecującym potencjale geopolitycznym, załamało się wskutek wewnętrznych napięć i konfliktów, zanim jeszcze utrwaliło na dobre swą potęgę. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI

KONFLIKT BEZ ŻADNYCH REGUŁ

W dialekcie kurmandži Rożawa oznacza po prostu „Zachód”. Paradoksalnie walki o Afrin mogą nie tylko zaważyć na losach syryjskich Kurdów, ale także podważyć pozycję ich zachodnich sojuszników na arenie międzynarodowej.

MICHAŁ ZIELIŃSKI



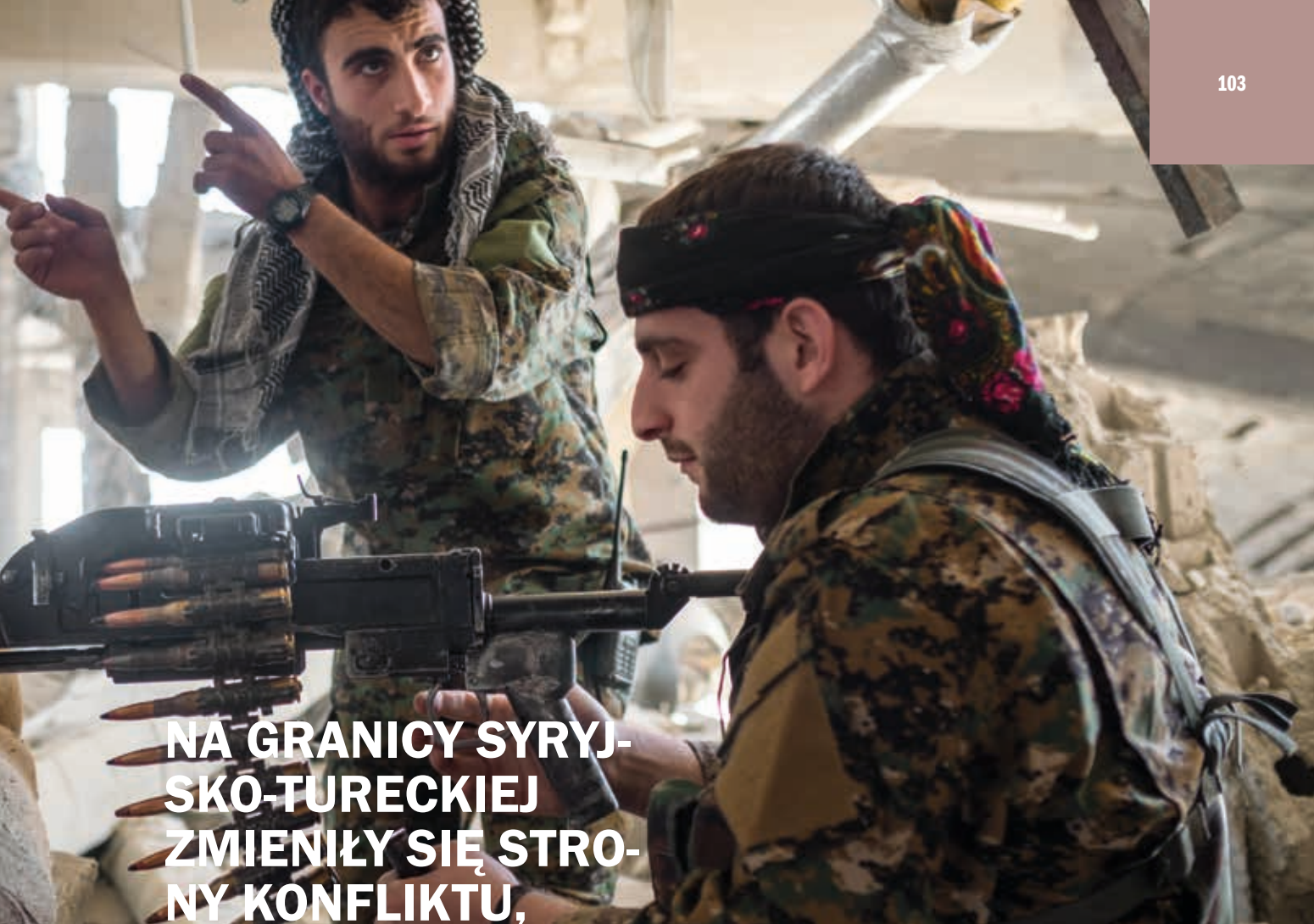
Rożawa była stopniowo zasiedlana przez Kurdów już od czasów imperium osmańskiego, jednak w świadomości przeciętnego Europejczyka zaistniała dopiero w drugiej połowie 2014 roku. To właśnie wtedy media zachodnie zaczęły transmitować walki o leżące tuż przy syryjsko-tureckiej granicy Ajn al-Arab, znane także jako Kobane. W świetle kamer oraz przed międzynarodową widownią Kurdowie, bez względu na płeć i wiek, przez ponad pół roku odpierali zjadłe ataki bojowników tzw. Państwa Islamskiego. Krwawe obrazy z tamtych dni zostały zapamiętane jako pierwsze istotne zwycięstwo nad terrorystami spod znaku czarnych flag. Nie udało się tego osiągnąć, gdyby nie naloty prowadzone przez międzynarodową koalicję oraz niechętnie, ale jednak dostarczone przez Turcję wsparcie. To właśnie Turcy mimo bardzo skomplikowanych relacji z Kurdami wpuścili na swoje terytorium cywilów uciekających z oblężonego miasta, a po zabiegach dyplomatycznych Stanów Zjednoczonych otworzyli korytarze dla nadciągającej odsieczy. Oprócz kurdyjskich bojówek Partii Pracujących Kurdystanu (PKK) i Peszmergów stanowiły ją również ugrupowania wchodzące w skład Wolnej Armii Syrii. Pod koniec stycznia 2015 roku siły te przełamały li-

nie Daesz, wyparły terrorystów z Kobane i wspólnie przystąpiły do kontrnatarcia. Świat obiegła informacja o początku końca samozwańczego kalifatu.

W ciągu trzech lat od opisanych wydarzeń sytuacja w Rożawie uległa diametralnej zmianie. Kurdowie i Arabowie z Syryjskich Sił Demokratycznych zostali najważniejszymi sojusznikami Stanów Zjednoczonych w regionie i wspólnym wysiłkiem zredukowali do minimum obszar kontrolowany przez tzw. Państwo Islamskie. Obecnie między Syryjskimi Siłami Demokratycznymi a wojskami lojalnymi wobec prezydenta Baszszara Al-Asada dochodzi do regularnych tarć, które kilkakrotnie przybrały bardzo ostrą formę (jak w lutym tego roku, kiedy Amerykanie dokonali nalotu na rosyjskich kontraktorów usiłujących przełamać linię demarkacyjną). Incydenty te bezpośrednio przekładają się na stosunki pomiędzy USA i Rosją, ale uwaga opinii międzynarodowej skierowana jest przede wszystkim na leżący znacznie dalej na zachód Afrin.

GAŁĄZKA OLIWNA

Afrin jest oprócz Dżaziry i regionu Eufratu jednym z trzech obszarów wchodzących w skład Rożawy. Mimo że praktycznie od niej odizolowany i otoczony przez siły



NA GRANICY SYRYJSKO-TURECKIEJ ZMIENIŁY SIĘ STRO- NY KONFLIKTU, ALE SAM PRZEBIEG WALK PRZYPOMINA WYDARZENIA SPRZED KILKU LAT

rządowe, fundamentalistów oraz turecką armię, dotychczas był uważany za jeden z najbardziej stabilnych regionów w Syrii. Sytuacja ta uległa zmianie w drugiej połowie stycznia 2018 roku wraz z rozpoczęciem operacji „Gałązka oliwna”. Obecnie od północy i zachodu na Kurdów naciera turecka armia, od wschodu powiązane z nią ramię Wolnej Armii Syryjskiej, a od południa terrorystyczne bojówki. Atak na Afrin został zainicjowany przez Ankarę i jest wymierzony w kurdyjskie Powszechne Jednostki Obrony, które ze względu na swoje powiązania z PKK uznawane są przez Turcję za organizację terrorystyczną. Jego celem jest zabezpieczenie tureckich granic oraz osłabienie wpływów Kurdów w regionie (zwłaszcza po tym, jak Kurdowie rozpoczęli formowanie jednostek ochrony pogranicza, które docelowo mają liczyć nawet

30 tys. żołnierzy). Mimo że niemal wszystkie kraje członkowskie NATO wyraziły zaniepokojenie atakiem przeprowadzonym przez Turcję, ich działania ograniczają się jedynie do zabiegów dyplomatycznych. Przedstawiciele Stanów Zjednoczonych zwrócili uwagę, że głównym celem sojuszu w Syrii pozostają bojownicy Daesz. Brytyjczycy zaznaczyli, że rozumieją chęć Turcji do zabezpieczenia granic, ale stawiają na rozwiązania niewymagające stosowania przemocy. Holendrzy zażądali wyjaśnień ze strony NATO, a Niemcy wstrzymali program modernizacji tureckich leopardów. W tym samym czasie Iran wezwał do natychmiastowego przerwania operacji. Głos zabrali także Rosjanie, którzy określili działania Turcji jako szalone i zarazem uznali Amerykanów za winnych takiego obrotu spraw. Niemal równocześnie do Afrinu zaczęło napływać irańskie uzbrojenie oraz zaopatrzenie wysyłane z rejonów kontrolowanych przez Damaszek.

KTO PRZECIW KOMU

Sytuacja po drugiej stronie frontu jest równie skomplikowana. Oprócz niektórych pododdziałów Wolnej Armii Syryjskiej i fundamentalistów z Ahrar asz-Szam do





MICHAŁ ZIELIŃSKI

Od wypracowania porozumienia między zaangażowanymi stronami, bądź jego braku, będzie zależeć wiele, nie tylko los Kurdów żyjących w Rożawie. Niezależnie od poglądów i układów politycznych trzeba pamiętać, że w każdej godzinie giną tam ludzie: żołnierze, bojownicy, kobiety i dzieci.

tureckiej ofensywy dołączyły organizacje przebywające na terenie prowincji Idlib. Miejsce to jest zdominowane przez bojówki powiązane z Al-Kaidą, w tym przez terrorystyczną supergrupę Hajat Tahrir asz-Szam. Trudno jednoznacznie stwierdzić, w jakim stopniu decyzje te wynikają z samodzielnej inicjatywy dżihadystów, jednak niemal natychmiast spotkały się z odpowiedzią syryjskiego i rosyjskiego lotnictwa. Mniej bezpośrednio do działań w Syrii włączył się także Chel ha-Awir, korpus powietrzny Sił Obronnych Izraela, który pomimo sympatii dla Kurdów zaczął razić cele powiązane z syryjskim rządem oraz z Iranem. Podobne incydenty zdarzały się już w przeszłości, ale właśnie teraz doskonale widać, jak bardzo skomplikowane i niejednoznaczne są regionalne sojusze.

Oprócz oczywistych korzyści, które z rozwoju wydatków czerpią Iran i Rosja, zaangażowanie kurdyjskich Powszechnych Jednostek Obrony w obronę Afrinu przekłada się na walkę z bojownikami Daesz. Mimo starań międzynarodowej koalicji, leżąca na wschodzie Syrii prowincja Dajr az-Zaur wciąż pozostaje pod częściową kontrolą tzw. Państwa Islamskiego. Decyzja o przerzuceniu części sił z tego regionu pozwala terrorystom na złapanie oddechu i przegrupowanie oddziałów.

NARASTAJĄCA KONSTERNACJA

Na granicy syryjsko-tureckiej zmieniały się strony konfliktu, ale sam przebieg walk przypomina wydarzenia sprzed kilku lat. Tureccy żołnierze starają się wdrzeć na terytorium kontrolowane przez Kurdów, nad głowami obserwujących ich reporterów latają nowoczesne myśliwce, a horyzont przysłania gęsty, czarny dym. W tym samym czasie przez ulice przygranicznych miast przechodzą kolejne manifestacje. Część protestujących w geście poparcia dla Recep Tayyipa Erdoğan przytwierdza do skutków gałązki oliwne i wiwatuje na cześć swojego wodza. Inni, okryci zielono-czerwono-żółtymi flagami, domagają się powstrzymania ofensywy. Niezależnie od poglądów,

w każdej godzinie giną ludzie: żołnierze, bojownicy, kobiety i dzieci. Do 20 lutego 2018 roku ten konflikt pochłonął już przynajmniej 600 ludzkich istnień. Przynajmniej jedna trzecia z nich to cywile.

Walki mają bezpośrednie przełożenie na bezpieczeństwo w innych regionach Syrii oraz wewnętrzną integralność sojuszu północnoatlantyckiego, dlatego ich deeskalacja leży w interesie nie tylko Kurdów i ich sojuszników. Zadanie to nie będzie jednak łatwe. Kurdowie, pozostający w sojuszu z USA, walczą z Turcją, państwem członkowskim NATO. Tych pierwszych wspiera Iran przy cichej akceptacji Rosji, ci drudzy otwarcie prowadzą działania wspólnie z fundamentalistami. Z kolei Kurdowie jest niesiona pomoc za aprobatą Damaszku, którego siły w tym samym czasie są atakowane przez kibicujący Kurdom Izrael. Kilkaset kilometrów dalej na wschód ci sami Kurdowie ścierają się z siłami lojalnymi względem Baszszara Al-Asada i rosyjskimi najemnikami. Cały ten układ może być tak samo trudny do zrozumienia, jak bardzo zagmatwany jest konflikt o Afrin. Jeszcze większą konsternację wywołuje to, że przebieg starć jest coraz mniej przejrzysty nie tylko dla opinii publicznej, lecz także dla strzelających do siebie stron.

Mimo protestów w innych częściach Rożawy Kurdowie nie ludzą się, że Stany Zjednoczone militarnie zaangażują się w jakikolwiek konflikt z Turcją. Podobnie zakłada prezydent Erdoğan, który już kilkakrotnie wzywał Amerykanów do wycofania się z najbardziej kluczowych dla niego miast, w tym do opuszczenia zajmowanego przez siły koalicji Manbidzu. W historii sojuszu nie zdarzyła się jeszcze sytuacja, w której interesy jego najważniejszych członków były ze sobą tak sprzeczne. Iran i Rosja na pewno nie przepuszczą okazji do ugrania własnych interesów, dlatego od wypracowania porozumienia bądź jego braku będzie zależeć wiele, nie tylko los Kurdów żyjących w Rożawie. ■

Zdjęcia Kurdów z Syryjskich Sił Demokratycznych zostały wykonane podczas zeszłorocznych walk o Ar-Rakę.

Polska Zbrojna

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

MAGAZYN PUBLICYSTYCZNY
O POLSKIEJ ARMII



ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY REDAKCYJNEJ

Koszt 1 egzemplarza „Polski Zbrojnej” – 6,50 zł.

Warunkiem wysyłki egzemplarzy
jest złożenie zamówienia na adres

prenumerata@zbrojni.pl

lub telefonicznie: 261-840-400

oraz wpłata odpowiedniej kwoty na nasze konto:

23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

Wojskowy Instytut Wydawniczy
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa



Spotkanie
prezydenta Ta-
dżykistanu Emoma-
liego Rahmona z Wła-
dimiarem Putinem,
Duszanbe, luty
2017 roku.

ROBERT SENDEK

Wybrany rozgrywa partię życia

**Obawiając się opozycji w kraju oraz islamistów,
prezydent Tadżykistanu umacnia władzę i zacieśnia
współpracę wojskową z Federacją Rosyjską.**

Tadżycki dramaturg o osobliwie dla Polaka brzmiącym nazwisku Abdugaffor Abdudżabbor pod koniec 2017 roku opublikował sztukę teatralną. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby pisarz nie sugerował w niej, że władza prezydenta Emomalego Rahmona pochodzi od samego Boga. Jak donosi lokalna prasa, autor spektaklu „Wybrany” w 15 scenach zarysowuje nowszą historię Tadżykistanu – od 1992 roku, od momentu, gdy Rahmon został głową państwa; ukazuje drogę prezydenta do wielkości i skalę jego zasług dla państwa i narodu.

Takie peany na cześć panującego nie są niczym dziwnym ani w samym Tadżykistanie, ani w całym regionie

Azji Środkowej. Znany jest przykład zmarłego w 2006 roku prezydenta Turkmenistanu Saparmyrata Nyýazowa, na którego cześć zmieniano nazwy miesięcy i jeszcze za życia wzniesiono mu ogromny, pozłacany pomnik. Sztuka Abdudżabbora doskonale wpisuje się w coraz mocniej rysujący się w Tadżykistanie kult jednostki. Pieśń wychwalającą Rahmona, którą napisał Ramazon Rahimow, minister spraw zagranicznych Tadżykistanu, wykonywały miejscowe gwiazdy estrady. Padają w niej słowa, że prezydent zasługuje na godność szacha, tradycyjny tytuł władców perskich. Utwór zatytułowano „Peszwoi millat”, czyli „Przywódca narodu”. Jest to o tyle ważne, że miejscowy parlament takie miano przy-



Amerykanie w ramach programu walki z terroryzmem szkolili m.in. tadżyckich specjalsów.

MEDIA DONOSZĄ, ŻE W CIĄGU 2017 ROKU ROSJANIE PRZEKAZALI TADŻYKISTANOWI SPRZĘT WOJSKOWY WARTOŚCI OKOŁO 122 MLN DOLARÓW

znał prezydentowi Tadżykistanu w 2015 roku. Od tego czasu prezydent w tadżyckiej telewizji przed każdą wzmianką o głowie państwa obowiązkowo wygłasza formułkę: „twórca pokoju i jedności narodowej – przywódca narodu, prezydent Tadżykistanu, czcigodny Emomali Rahmon”.

OBY ŻYŁ WIECZNIE

Emomali Rahmon rządzi Tadżykistanem nieprzerwanie od 1992 roku. Najpierw jako przewodniczący Rady Najwyższej, a od 1994 roku jako prezydent. Oprócz niego jeszcze tylko prezydent Kazachstanu Nursułtan Nazarbajew należy do starej gwardii byłych urzędników sowieckich w Azji Środkowej, którzy sięgnęli po władzę w rodzimych republikach, gdy rozpadał się Związek Radziecki. Od tego czasu Rahmon postępuje zgodnie ze starą zasadą wszystkich satrapów i władzy raz zdobytej oddać nie zamierza. Temu celowi służyły m.in. organizowane w kluczowych momentach referenda. Najpierw, w 1999 roku przeprowadzone zostało głosowanie w sprawie wydłużenia kadencji prezydenta z pięciu lat do siedmiu. Potem, w 2003 roku, zniesiono art. 65 obowiązującej konstytucji, ograniczający liczbę jego kaden-

cji. Ostatnie wybory prezydenckie (2013) Rahmon wygrał bez najmniejszych problemów – zgarnął niemal 84% głosów.

Obecna, siedmioletnia kadencja upływa w 2020 roku, a że politykowi przybywa lat, więc konieczne było jeszcze jedno referendum, pozwalające na bezproblemowe przekazanie władzy w ramach prezydenckiej rodziny. Tym komentatorzy tłumaczą przeprowadzenie głosowania w 2016 roku: za zgodą wyborców obniżono wówczas minimalny wiek dla kandydata na urząd prezydenta z 35 do 30 lat. Rahmon ma syna Rustama, który w 2020 roku skończy 33 lata, więc w roku wyborczym byłby za młody, by w zgodzie ze starymi przepisami startować na urząd.

GENERAŁ I PUŁKOWNIK

Rahmon rządzi krajem, który jest środkowoazjatycką beczką prochu. Nie licząc sąsiedniego, zniszczonego wojną Afganistanu, Tadżykistan jest najbiedniejszym państwem regionu. Znaczną część gospodarki (nawet do 30%) stanowią przelewy finansowe Tadżyków pracujących za granicą, głównie w Rosji. W kraju co i rusz odżywa wewnętrzny konflikt z islamistami. Rahmon długo próbował balansować między mocarstwami, chcąc wywalczyć sobie możliwie dużo niezależności. Okazją do tego była amerykańska interwencja w Afganistanie po zamachach z 11 września 2001 roku. Prezydent rozpoczął wówczas współpracę z Amerykanami, którzy w ramach programu walki z terroryzmem szkolili m.in. tadżyckich specjalsów. Z czasem jednak, kiedy Stany Zjednoczone zmniejszyły swe zaangażowa-



TADŻYKISTAN JEST JEDNYM Z NAJBIEDNIEJSZYCH KRAJÓW REGIONU. ZNACZNĄ CZĘŚĆ JEGO GOSPODARKI – NAWET DO 30% – STANOWIĄ PRZELEWY FINANSOWE TADŻYKÓW PRACUJĄCYCH ZA GRANICĄ, GŁÓWNIEM W ROSJI

nie w regionie, głównym partnerem Tadżyków została Rosja.

Dużo problemów sprawia Rahmonowi opozycja polityczna, skupiona głównie wokół Islamskiej Partii Odrodzenia Tadżykistanu, uznawanej za ugrupowanie islamistyczne. O ile w sąsiednich republikach środkowoazjatyckich tego typu działalność jest zakazana, o tyle w Tadżykistanie ta partia mogła działać legalnie. Wynikało to z ustaleń, jakie zapadły podczas rozmów kończących krwawą wojnę domową w czerwcu 1997 roku. W kolejnych latach ugrupowanie to mogło wystawiać własnych kandydatów do parlamentu. I nawet jeśli ostatecznie w kolejnych wyborach nie zdobywało znaczącego poparcia, to i tak było główną partią opozycyjną. W kraju nie było jednak spokojnie. Zwłaszcza na wschodzie dochodziło do walk, jak np. w 2010 roku, kiedy połowym komendantom udało się m.in. zestrzelić rządowy śmigłowiec.

Zdarzały się jednak bardziej spektakularne historie, takie jak bunt gen. Abdulhalima Nazarzody, który z ramienia Islamskiej Partii Odrodzenia Tadżykistanu pełnił funkcję wiceministra obrony Tadżykistanu. Na początku września 2015 roku został on oskarżony o przygotowanie islamistycznego zamachu stanu. Doszło wówczas do starć, generał zginął, jego bojówki zaś zostały rozbite. Pojawiają się jednak głosy, że cała historia została ukartowana przez siły rządowe dążące do delegalizacji islamistów. Rzeczywiście, działalność Islamskiej Partii Odrodzenia Tadżykistanu została ostatecznie zakazana pod koniec września 2015 roku.

O tym, że w Tadżykistanie źle się dzieje, świadczy także historia szefa tadżyckiego OMON-u, płk. Gulmuroda Halimowa. To bardzo barwna, a jednocześnie charakterystyczna dla Tadżykistanu postać. Halimow miał za sobą m.in. służbę w gwardii prezydenckiej, ale także organizowane przez Amerykanów kursy dla antyterrorystów. Jako członek sił specjalnych, brał udział w walkach ze zbrojną opozycją i dosłużył się stopnia pułkownika. Wiosną 2015 roku uciekł z kraju i przedostał się do Syrii, gdzie walczył i został nawet ministrem wojny Państwa Islamskiego. Podobno zginął podczas jednego z nalotów sił rosyjskich we wrześniu 2017 roku.

Ta historia pokazuje, że Tadżykistan nie jest w stanie utrzymać przy sobie ludzi takiego pokroju. Według szacunków, do Państwa Islamskiego miało przystać nawet 2 tys. Tadżyków. Pewnego rodzaju podsumowaniem tego wewnętrznego pęknięcia w miejscowym społeczeństwie jest film zrealizowany w USA przez tadżyckiego

emigranta Dżajhuna Nasimiego o bliźniakach, których rozdzieliły tragiczne wydarzenia czasów wojny domowej w Tadżykistanie. Bracia spotykają się po latach w Afganistanie: jeden z nich jest amerykańskim żołnierzem, drugi – bojownikiem walczącym po stronie talibów.

BRATERSKA POMOC Z PÓŁNOCY

Zacieśnieniu współpracy między Rosją a Tadżykistanem służą dość częste wzajemne wizyty dyplomatów. W lutym 2017 roku do Duszanbe pojechał Władimir Putin, w lipcu – szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow, jesienią zaś wybrał się tam szef rosyjskiego ministerstwa obrony Siergiej Szojgu. W międzyczasie Rahmon spotkał się z Putinem w Soczi. Dla Tadżykistanu Federacja Rosyjska jest partnerem strategicznym pod każdym względem – ekonomicznym, politycznym i wojskowym. Z kolei dla Moskwy ten biedny kraj jest ważny ze względu na położenie niemal w samym sercu Azji Środkowej.

Podczas ubiegłorocznych rozmów tadżycko-rosyjskich zapadło wiele ważnych decyzji. Jedną z nich było podjęcie ściślejszej współpracy wojskowej. Ustalony został m.in. program wspólnej modernizacji armii Tadżykistanu, wysunięto propozycję stworzenia połączonej grupy wojsk. Ma to służyć zwiększeniu kontroli na newralgicznej granicy z Afganistanem.

Media donoszą, że w ciągu 2017 roku Rosjanie przekazali Tadżykistanowi sprzęt wojskowy wartości około 122 mln dolarów. W grudniowej dostawie znalazły się m.in. trzy czołgi T-72B1, dziewięć pojazdów BTR-80, BTR-70 i BMP-2, trzy haubice D-30 i trzy armaty przeciwlotnicze 23M1, śmigłowce Mi-24 i Mi-8, a także sprzęt medyczny i topograficzny, części zapasowe, środki łączności oraz znaczna ilość amunicji.

Takie przekazywanie broni to jedno, druga kwestia zaś to okresowe przerzucanie rosyjskiego sprzętu do Tadżykistanu, m.in. w ramach manewrów prowadzonych wspólnie z tamtejszą armią oraz innymi państwami należącymi do Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (OUBZ). Jest to tym łatwiejsze, że w Tadżykistanie działa 201 Baza Wojskowa, uważana za największą lądową rosyjską jednostkę znajdującą się poza granicami Federacji Rosyjskiej. Manewry sił operacyjnego reagowania państwa OUBZ odbyły się na tadżyckim poligonie Harbmajdon w listopadzie 2017 roku, a wiosną i latem tamtego roku wspólne ćwiczenia prowadziły tam wojska Rosji i Tadżykistanu. ■

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU,
TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy

ŻOŁNIERZ
1 Pułku Spadochroniarzy
Piechoty Morskiej
w Bajonnie we Francji.

TADEUSZ WRÓBEL

SIŁA SPECJALSÓW

**Francja planuje wydać ćwierć miliarda euro
na wyposażenie wojsk specjalnych.**

Francuscy specjaliści są najbardziej zapracowani ze wszystkich żołnierzy tamtejszych sił zbrojnych. Wiceadmirał Laurent Isnard, stojący na czele Dowództwa Operacji Specjalnych (Commandement des opérations spéciales – COS), na spotkaniu z komisją obrony izby niższej Zgromadzenia Narodowego 19 grudnia 2017 roku podał, że dowodzi 800 żołnierzami w operacjach zagranicznych, w tym 600 z wojsk specjalnych – to 10% sił francuskich w tych misjach.

Specjaliści znad Sekwany są aktywni w różnych miejscach na świecie – w regionie Sahelu w Afryce czy w Lewancie, jak historycznie określa się rejon Bliskiego Wschodu nad wschodnimi wybrzeżami Morza Śródziemnego. Żołnierze francuskich wojsk specjalnych zwalczają tam ekstremistyczne ugrupowania, takie jak tzw. Państwo Islamskie. To są długie kampanie wojenne, a nie szybkie, krótkie rajdy. Ponadto współcześni przeciwnicy specjalistów często dysponują ciężkim uzbrojeniem i korzystają z mediów społecznościowych. Bitwę o iracki Mosul wiceadmirał Isnard określił np. jako kombinację Stalingradu i Twittera. Dlatego wojska specjalne potrzebują coraz bardziej nowoczesnego uzbrojenia i sprzętu. To ma być jeden z priorytetów w nowym planie rozwoju francuskich sił zbrojnych w latach 2019–2025.

ZMIANY NA NIEBIE

Szef COS poinformował parlamentarzystów, że w budżecie zaplanowano 250 mln euro na wyposażenie wojsk specjalnych. Przyznał też, że są pewne opóźnienia w modernizacji technicznej ich sprzętu. Planuje się zakup śmigłowców wielozadaniowych NH90 w odpowiedniej wersji, które mają zastąpić caracale. Według danych z 1 lipca 2017 roku, lotnictwo wojsk lądowych Francji oraz siły powietrzne miały po osiem tych maszyn. Przed kilkoma miesiącami w prasie francuskiej pojawiły się jednak informacje o nie najlepszym ich stanie.

Wszystkie caracale wojsk lądowych miałyby zatem zostać przekazane siłom powietrznym. Isnard zwrócił uwagę, że w pułku lotniczym w Pau, który współpracuje z wojskami specjalnymi, są aż trzy typy śmigłowców manewrowych – Caracal, Puma i Cougar. Unifikacja sprzętu latającego w tej jednostce obniżyłaby koszty obsługi i szkolenia. Jak stwierdził wiceadmirał, żałuje on, że we Francji nie ma też programu ciężkiego śmigłowca. Większość państw zachodnich, takich jak USA, Niemcy, Wielka Brytania, Holandia, Włochy i Hiszpania, posiada bowiem takie maszyny.

WSPÓŁCZEŚNI PRZECIWNICY SPECJALISTÓW CZĘSTO DYSPONUJĄ CIĘŻKIM UZBROJENIEM I KORZYSTAJĄ Z MEDIÓW SPOŁECZNOŚCIOWYCH

Inny słaby punkt tamtejszych sił zbrojnych to brak bezzałogowych statków powietrznych, zwłaszcza klasy MANE. Dlatego Francuzi muszą korzystać ze wsparcia Amerykanów w akcjach przeciw terrorystom w Afryce. Isnard powiedział zatem parlamentarzystom, że wojska specjalne potrzebują dronów nie tylko służących do rozpoznania, lecz także uzbrojonych. Jak podkreślił, taki sprzęt zapewni Francuzom strategiczną autonomię od sojusznika zza Atlantyku. Wiceadmirał ujawnił zatem, że wojska specjalne zamierzają uruchomić procedurę zakupu bezzałogowców klasy MANE, zdolnych przebywać w powietrzu do sześciu godzin, o zasięgu do 100 km. Drony te będą mogły prowadzić wywiad elektroniczny oraz przenosić lekkie uzbrojenie i minidrony. Szef COS podkreślał, że do obsługi takiego sprzętu wystarczy tylko trzech żołnierzy, podczas gdy kupione przez siły powietrzne reapersy wymagają skomplikowanego naziemnego zabezpieczenia logistycznego.

Inna pilna potrzeba, na którą zwrócił uwagę Isnard, to nowy sprzęt do łączności dalekiego zasięgu, kompatybilny z tym posiadanym przez wojska specjalne i tajne służby sojuszników.

Doświadczenia z misji wykazały, że francuskie wojska specjalne potrzebują nowych pojazdów różnych klas. Niestety w lutym 2017 roku zwrócono producentowi, Renault Truck Defense,

25 z 202 zamówionych ciężkich wozów na podwoziu Sherpa, bo ich użytkowanie uznano za niebezpieczne. Po wprowadzeniu poprawek będą one znów dostarczone wojsku w czerwcu 2018 roku, a całość zamówienia zostanie zrealizowana nie wcześniej niż do końca 2019 roku.

Z kolei projekt lekkiego pojazdu dla specjalistów typu Buggy, również opracowywany przez Renault Truck Defense, jest dopiero w fazie prototypu. Dostawy tych wozów nie rozpoczną się zatem wcześniej niż w 2020 roku. Wojskowi chcą też kupić opancerzone samochody cywilne (30 sztuk), tak by operatorzy mogli dyskretnie poruszać się w terenie zurbanizowanym w czasie operacji prowadzonych z wojskami specjalnymi sojuszników lub lokalnymi grupami zbrojnymi.

Już w tym roku specjaliści dostaną miniaturowy okręt podwodny trzeciej generacji (propulseur sous-marins de troisième génération – PSM-3G). Dzięki niemu możliwe będzie dostarczenie komandosów morskich w pobliże celów na wrogich wybrzeżach. Mieszczący prawdopodobnie sześciu ludzi PSM-3G ma być transportowany przez nowe francuskie atomowe okręty podwodne typu Barracuda (pierwsza jednostka „Suffren” zostanie przekazana marynarce wojennej w 2019 roku), a także przez desantowce



Planuje się zakup śmigłowców wielozadaniowych NH90 w odpowiedniej wersji, które mają zastąpić caracale.

PERSONEL PODLEGŁY DOWÓDZTWU OPERACJI SPECJALNYCH LICZY OKOŁO 3900 ŻOŁNIERZY SŁUŻBY CZYNNEJ I 400 REZERWISTÓW.

MARINE NATIONALE (3)



Okręt podwodny PSM-3G

dostarczy komandosów morskich w pobliże celów na wrogich wybrzeżach.



Komando Hubert, pododdział nurków bojowych do misji podwodnych i antyterrorystycznych



Sherpa Light 4x4

Po wprowadzeniu poprawek ciężkie wozy na podwoziu Sherpa będą znów dostarczone wojsku w czerwcu 2018 roku, a całość zamówienia zostanie zrealizowana nie wcześniej niż do końca 2019 roku.

RENAULT TRUCK DEFENSE

typu Mistral. Z PSM-3G wiąże się też program dotyczący suchego doku (Dry Deck Shelter – DDS), który ma pełnić dla niego taką samą funkcję jak hangar dla śmigłowca pokładowego. Dok z miniokrętem wewnątrz będzie przymocowany do kadłuba barracudy i połączony z nią śluzą, przez którą komandosi będą mogli się przedostawać do jego wnętrza.

WZMOCNIONE SIŁY

Inwestycje w wyposażenie to kolejny etap rozwoju francuskich wojsk specjalnych. W ramach planu rozwoju sił zbrojnych w latach 2014–2019 nastąpiło już bowiem wzmocnienie kadrowe. Co ciekawe, te jednostki nie stanowią odrębnego rodzaju sił zbrojnych, lecz wchodzą w skład trzech ich rodzajów i operacyjnie podlegają, utworzonemu w 1992 roku po doświadczeniach z pierwszej wojny nad Zatoką Perską, Dowództwu Operacji Specjalnych. Większość personelu COS wywodzi się z wojsk lądowych, w których w latach 2014–2016 liczba specjalsów wzrosła o 430 żołnierzy. Od 1 czerwca 2016 roku funkcjonuje Dowództwo Lądowych Wojsk Specjalnych w Pau, któremu podlegają cztery jednostki: 1 Pułk Spadochroniarzy Piechoty Morskiej w Bajonnie, 4 Pułk Śmigłowców Wojsk Specjalnych w Pau, 13 Pułk Dragonów Spadochroniarzy w Martignas-sur-Jalle oraz kompania dowodzenia i łączności wojsk specjalnych w Pau.

Do COS przydzielono 750 osób spośród personelu sił powietrznych, w tym 640 służących w jednostkach specjalnych. Dwie z nich stacjonują w bazie lotniczej w Orleanie: 250-osobowe 10 Komando Spadochronowe Lotnictwa (liczebność zwiększy się do 280 osób) oraz 3/16 Eskadra Transportowa „Poitou”, do której trafiła większość z około 240 nowych stanowisk dla specjalsów

przyznaczanych siłom powietrznym. Eskadra ma do dyspozycji samoloty C-130H Hercules, C-160 Transall i DHC-6. Według zapowiedzi wiceadmirała Isnarda, w latach 2019–2022 otrzyma ona pięć zmodernizowanych herculesów, a C-160 zostaną wycofane ze służby do 2023 roku. W bazie w Cazaux stacjonuje 1/67 Eskadra Śmigłowców z caracalami, która w grudniu 2017 roku osiągnęła formalnie pełną zdolność do działań z wojskami specjalnymi. Poza tym około setki osób przydzielonych do COS pochodzi z innych jednostek sił powietrznych.

Okolo 200 etatów przydzielono marynarce wojennej ze względu na wzmocnienie jednostek specjalnych. Dzięki temu 1 września 2015 roku utworzono 7 Komando „Ponchardier”, jednostkę zabezpieczenia i wsparcia logistycznego dla pozostałych sześciu jednostek specjalnych francuskiej marynarki. Najbardziej jest znane komando Hubert, pododdział nurków bojowych do misji podwodnych i antyterrorystycznych. Specjalnością komand Jaubert i Trepel są działania szturmowe i zwalczanie terroryzmu, a Penfentyo zajmuje się rozpoznaniem. Misją komanda Montfort jest udzielanie wsparcia i niszczenie celów na odległość. Kieffer natomiast jest jednostką dowodzenia, wsparcia operacyjnego i zaawansowanych technologii.

W 2014 roku etat jednostek podporządkowanych Dowództwu Operacji Specjalnych oraz jego samego przewidywał 3196 stanowisk dla żołnierzy służby czynnej, w tym 256 w sztabach. Faktycznie było obsadzonych 3019 z nich. Wieloletni program (2014–2019) zakładał zwiększenie etatu o co najmniej 700 stanowisk dla służby czynnej. Podczas grudniowego posiedzenia komisji parlamentarnej wiceadmirał Laurent Isnard podał jednak, że personel podległy Dowództwu Operacji Specjalnych liczy teraz około 3900 żołnierzy służby czynnej i 400 rezerwistów. ■

TOMASZ OTŁOWSKI

Prywatne armie

**Kto dziś prowadzi wojny? Regularne siły zbrojne
czy organizacje paramilitarne i najemnicy, którzy formalnie
nie mają nic wspólnego z państwem agresorem?**

Termin „hybrydyzacja konfliktów” już nierozrwalnie kojarzy się przede wszystkim z osławionymi „zielonymi ludzikami” z Krymu, czyli rosyjskimi żołnierzami operującymi w lutym 2014 roku pod fałszywą flagą i realizującymi interesy swego państwa niejako incognito. To, co działo się przed czterema laty na Krymie, rzeczywiście jest dobrym przykładem żywiołowego procesu, który można nazwać paramilitaryzacją współczesnych konfliktów militarnych. Jak już wiemy, samo zjawisko hybrydyzacji ma służyć właśnie temu, aby skutecznie rozmyć dotychczasową wyłączną odpowiedzialność państw, również prawnomiędzynarodową, za prowadzenie wojen. Mechanizm ten pozwala potencjalnemu agresorowi na osiągnięcie zamierzonych celów strategicznych (wojskowych) i politycznych bez angażowania się w otwarty konflikt o charakterze jawnie międzypaństwowym. Tak jak politolodzy badają już postpolitykę, tak i stratedzy wojskowi powinni zacząć pochylać się nad zjawiskiem postwojny.

Współczesne konflikty zbrojne przestają być zatem domeną podmiotów państwowych, a w grę coraz częściej zaczynają wchodzić byty pozapaństwowe i „prywatne”. Zamiast regularnych sił zbrojnych, działających pod własną flagą na rzecz realizacji określonych celów politycznych danego państwa, wykorzystuje się coraz częściej całą gamę formacji zastępczych i nie-regularnych – różnego typu organizacje paramilitarnych, milicji i grup zbrojnych, które formalnie nie mają nic wspólnego z państwem agresorem, choć działają w jego interesie strategicznym. Małorosyjscy separatyści w Donbasie działający na rzecz Rosji, Siły Mobilizacji Ludowej w Iraku oraz

Hezbollah w Libanie realizujące interesy Iranu – to tylko niektóre (i najbardziej ostatnio znane) przykłady zastosowania tego mechanizmu w praktyce.

Ale opisywane zjawisko nie ogranicza się tylko do wykorzystywania przez państwa dokonujące faktycznej agresji różnych lokalnych „proxies”. To również np. gwałtowny w ostatnich latach renesans starej jak świat profesji najemników. „Psy wojny” znowu mają dziś swój dobry czas, a popyt na ich usługi rośnie z roku na rok. Coraz częściej tworzą oni całe armie, doskonale uzbrojo-

ne i wyposażone nawet w broń ciężką, które są wcielane do regularnych państwowych sił zbrojnych jako ich uzupełnienie i wzmocnienie – tak jak kontyngent najemnych żołnierzy z Ameryki Łacińskiej (głównie Kolumbii i Hondurasu), którzy zostali zwerbowani przez Zjednoczone Emiraty Arabskie. Kilka tysięcy tych doskonale wyszkolonych i doświadczonych w boju najemników bierze dziś udział – pod flagą ZEA – w wojnie w Jemenie, walcząc przeciwko szyickiej rebelii Hutich. Co ciekawe, w tej samej wojnie (także po stronie koalicji antyszaryckiej) uczestniczy wzmocniona dywizja zmecchanizowana z Sudanu Północnego, w całości zwerbowana (czy może raczej wydzierżawiona) i wyposażona przez Arabię Saudyjską.

Wraz ze wzrostem znaczenia profesji klasycznych najemników można też było zaobserwować w ostatnich latach zwiększenie roli tzw. prywatnych firm paramilitarnych (Private Military Companies – PMCs). Symbolem tej branży stała się amerykańska korporacja Blackwater (obecnie Academi), która „zasłynęła” swą aktywnością w trakcie operacji militarnych w Iraku i Afganistanie. Kiedy w 2007 roku Waszyngton wdrażał w Iraku nową strategię ofensywną (tzw. surge), w tym kraju



PSY WOJNY ZNOWU MAJĄ DZIŚ SWÓJ DOBRY CZAS, A POPYT NA ICH USŁUGI ROŚNIE Z ROKU NA ROK

pracowało więcej kontraktorów z PMCs, niż pełniło tam służbę żołnierzy USA (wówczas około 140 tys.). Żołnierze amerykańskich sił regularnych byli jednak związani sztywnymi politycznymi regułami oraz prawnomiędzynarodowymi zasadami działania, które niemal zupełnie nie miały zastosowania w przypadku formacji prywatnych. Sprawilo to, że PMCs wykorzystywano często do brudnej roboty, którą nie mogli się parać regularni żołnierze. Doskonale ilustruje to pozycję, jaką zajmowały już wówczas prywatne firmy paramilitarne – i to nie tylko w Iraku, i nie tylko w wydaniu amerykańskim. Od tamtego czasu proces ten znacznie przyspieszył i uległ swoistej proliferacji. Dzisiaj ówczesne wzorce amerykańskie kopiuja już Irańczycy, Saudowie, Turcy, Chińczycy oraz – co najważniejsze z perspektywy bezpieczeństwa Polski – także Rosjanie. Symbolem tego typu aktywności rosyjskiej stała się „prywatna” firma Wagner, jedna z co najmniej dziesięciu podobnych rosyjskich „korporacji”, będąca niemal kalką Blackwatera. Werbowani przez Wagnera i inne firmy kontraktorzy realizują rosyjskie interesy (i wykonują dla Rosji brudną robotę) w wielu konfliktach: od Donbasu, Gruzji i Czeczenii, przez Syrię, aż po Libię i Bośnię. Kreml nie ponosi za ich działania żadnej odpowiedzialności, ale chętnie korzysta z ich usług, nieformalnie wspierając te firmy funduszami oraz najnowszym sprzętem i uzbrojeniem. A także zapewnia ich operatorom poległym „na misjach” państwowe pochówki, pośmiertne odznaczenia oraz sówite renty dla rodzin.

Opisywane tu zjawisko to także – już klasycznie hybrydowe w swym charakterze – wykorzystywanie przez państwo będące agresorem nieformalnych grup z pogranicza półświata, już działających lub celowo tworzonych w poddanym hybrydowemu atakowi kraju. Doskonałym przykładem były osławione „tituszkii” na Ukrainie, zwalczające

prozachodnich opozycjonistów na początku istnienia Majdanu i de facto realizujące interesy Moskwy. Z perspektywy bezpieczeństwa państw takich jak Polska tego typu narzędzia są zresztą szczególnie niebezpieczne.

Co oczywiste, zjawisko tzw. paramilitaryzacji wojen nie jest niczym nowym – w historii wielokrotnie się zdarzało, że społeczności lub państwa zaangażowane w konflikty zbrojne wykorzystywały do realizacji własnych celów najemników i „proxy warriors”. Dzieje wojen pełne są opisów działań takich ludzi i formacji, jednak aż do dzisiaj fenomen ten nie stanowił głównego (lub wręcz wyłącznego) pola aktywności zaangażowanych w konflikty państw, był jedynie uzupełnieniem tradycyjnych operacji podejmowanych przez regularne siły zbrojne. Ale też do niedawna nikomu nie przychodziło do głowy, aby do prowadzenia regularnych wojen wykorzystywać – zamiast własnych wojsk – najemników, prywatne armie lub lokalne milicje.

Współczesne konflikty militarne stają się tym samym w większości coraz mniej przewidywalne i coraz bardziej niesterowalne. Skoro bowiem oficjalnie ich stronami nie są już państwa, to społeczności międzynarodowej najczęściej brakuje narzędzi pozwalających na zakończenie takich wojen. Dotychczasowe instrumenty – międzynarodowe prawo i instytucje, dyplomacja wielostronna – okazują się więc całkowicie nieskuteczne wobec tych nowych, hybrydowych konfliktów. Ukraina, Syria i Libia są tu najlepszymi przykładami. A fakt, że główną rolę w takich wojnach odgrywają siły nieregularne, rodzi cały szereg niekorzystnych skutków, poczynając od systemowego tworzenia „zamrożonych”, przewlekłych konfliktów (kierujących się własną logiką), aż po dramatyczną brutalizację wojen, często na skalę niespotykaną w dziejach zmagania militarnych. ■

TADEUSZ
WRÓBEL

Współpraca szansą



Podczas lutowego spotkania ministrów obrony państw NATO w Brukseli Polska i Kanada przystąpiły do uruchomionej w 2017 roku inicjatywy, której celem jest opracowanie nowej generacji samolotu rozpoznania morskiego i zwalczania okrętów podwodnych. W imieniu polskiego Ministerstwa Obrony Narodowej list intencyjny podpisał wiceminister Tomasz Szatkowski. Współpracę w programie nowego morskiego samolotu patrolowego podjęły w 2017 roku Francja, Grecja, Hiszpania, Niemcy, Turcja i Włochy. „Ten wspólny wysiłek wynika z uznania, że większości samolotów patrolowym sojusznicznych flot morskich termin eksploatacji minie w latach 2025–2035”, stwierdziła Rose Gottemoeller, zastępca sekretarza generalnego NATO. Dodała, że jeśli sojusznicy mają zachować zdolność reagowania na określone zagrożenia, muszą znaleźć się następcy tych maszyn.

Rok 2018 będzie miał kluczowe znaczenie dla projektu, gdyż mają zostać zdefiniowane wspólne wymagania dla tego sprzętu. Jeśli uda się osiągnąć zgodę, o co – jak pokazuje historia wcześniejszych wielonarodowych programów – nie jest łatwo, będzie można przejść do następnego etapu. To niejedyny problem, bo w przeszłości zdarzało się, iż negatywny wpływ na projekty wielonarodowe miały partykularne interesy niektórych państw. Dążyły one do osiągnięcia większych niż w przypadku innych uczestników korzyści dla własnego przemysłu obronnego. Przedmiotem sporu może być wybór platformy, bo kilku uczestników programu dysponuje konstrukcjami, które mogą stanowić bazę przyszłego samolotu rozpoznania morskiego i zwalczania okrętów podwodnych. Niemniej jednak współpraca wielonarodowa ma znacznie więcej plusów niż minusów. Dzięki niej można skorzystać z doświadczeń innych państw oraz podzielić koszty opracowania nowej maszyny.

Koszty stworzenia nowej generacji uzbrojenia, zwłaszcza lotniczego, są coraz wyższe. Dlatego coraz częściej powstaje ono w Europie Zachodniej w ramach programów wielonarodowych. Ich efektami są m.in. samolot bojowy Eurofighter, transportowy A400M czy śmigłowiec NH90. Umiedzynarodowienie projektu zapewnia też poszerzenie rynku zbytu gotowego produktu. W wypadku samolotu rozpoznania morskiego i zwalczania okrętów podwodnych potrzeby poszczególnych państw NATO wynoszą od kilku do kilkunastu maszyn. Zatem gdy osiem krajów zamówi ich kilkadziesiąt, to spadnie cena jednostkowa.

Podczas lutowego spotkania w Brukseli Belgia dołączyła do innego, bardziej zaawansowanego programu NATO, wspólnej floty latających tankowców/transportowców. Jego uczestnikami są już Holandia, Luksemburg, Niemcy i Norwegia. W tym projekcie praktycznie nie ma ryzyka, bo już wybrano konkretną konstrukcję – A330 MRTT. Dołączenie zaś oznacza gotowość sfinansowania zakupu co najmniej jednego samolotu. Co ważne, ten program ma wsparcie zarówno NATO, jak i Unii Europejskiej. ■



HISTORIA

/ 100 LAT NIEPODLEGŁOŚCI



Dowódca 2 Pułku
Pancernego
plk Stanisław
Koszutski przyjmuje
meldunek podczas
apelu zwołanego
przez komendantkę
obozu por. Marię
Irenę Mileską
„Jagę” (pierwsza
z prawej), Oberlan-
gen, 12 kwietnia
1945 roku.



PIOTR KORCZYŃSKI

TO, CO PO TOBIE MAM NAJDROŻSZEGO...

Kiedy w 1939 roku nasza armia uległa przewadze
najeźdźców, **etos polskiego żołnierza,**
zaszczepiony tysiącom młodych Polaków,
pozwoił przetrwać tę klęskę i długie lata
pozbawienia suwerenności.



A

lfred de Vigny, słynny francuski oficer poeta, w jednym ze swych utworów napisał: „Honor żołnierski... jest jak magnes, co przyciąga i przywiązuje serca ze stali, serca mocnych”. Zdanie to przypominał sobie w ciężkich chwilach płk dypl. Stanisław Koszutski, dowódca 2 Pułku Pancernego ze słynnej 1 Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka. Przywoływał je na polach bitew września 1939 roku, we Francji w 1940 roku i na zwycięskim szlaku Czarnej Dywizji w latach 1944–1945. A po wojnie cytował je sobie prawie codziennie, kiedy jako jeden z wielu zdemobilizowanych polskich żołnierzy zmuszonych zostać na emigracji zderzył się z ciężką powojenną rzeczywistością.

SPEŁNILIŚCIE WASZ LOS

Ten doświadczony oficer broni pancernej, kawaler orderu Virtuti Militari, Krzyża Walecznych i Distinguished Service Order, po wielu perypetiach znalazł wreszcie pracę na stanowisku... palacza w pralni domu starców w Launceston w Kornwalii. Pisał wtedy: „I są tacy, co namawiają mnie dziś do zmiany narodowości. Czy oni nie rozumieją, że ja jako Polak mogę znieść wrzucanie węgla do pieca przez dziewięć godzin dziennie, bo moje myśli i uczucia są gdzie indziej, bo mogę tęsknić i opłakiwać, przeklinać... i mieć nadzieję, myśleć, że jest jakiś sens w bezsensie. Gdybym stał się »Anglikiem«, to przecież wszystko to, co było, skończyłoby się dla mnie [...] i nie zostałyby mi już absolutnie nic”.

Pułkownik po tej konstatacji wymienia, jak Maciek Chełmicki w „Popiele i diamencie”:



Odznaka pamiątkowa 2 Pułku Pancernego ze słynnej 1 Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka. W latach 1942–1945 dowódcą Pułku był Stanisław Koszutski.



„Maks Tuski, czupurny rotmistrz 17 Pułku Ułanów, zamordowany w Katyniu, Emil Sikorski z fasonem konny artylerzysta zginął pod Gazalą na pustyni, Gużkowski i Sobański pod Mińskiem Mazowieckim, rotmistrz Tadeusz Sokołowski w lochach Gestapo, pułkownik Levitoux w Normandii, Kownas, kapitan, pod Baarle-Nassau w Holandii, Zbyszek Kiedacz nad Sandro w Italii, majorowie: Maciejowski pod Falaise, a Kański pod Jort. Przyjaciele i koledzy! Jakże szczęśliwy był wasz los. Odeszliście – jedni w mundurach, w barwach swych broni, w grzmocie wystrzałów i na czele swych oddziałów. Inni, choć rozbrojeni, spełniliście



Czołgi Cromwell VII szwadronu
sztabowego, Scarborough,
Anglia, 7 lipca 1944 roku.

wasz los może bardziej zaszczytnie i zgodnie z wielkimi tradycjami narodu”.

DUCH NIESPOKOJNY

Płk Koszutski do śmierci w 1982 roku pozostał na emigracji, ale nigdy nie wyrzekł się swych korzeni i nie porzucił tradycji. Przyszły dowódca 2 Pułku Pancernego urodził się w tak ważny dla odrodzonego Wojska Polskiego dzień – 15 sierpnia 1903 roku. Jak sam wspomina, lubił czytać, zwłaszcza Przyborowskiego, Sienkiewicza i Żeromskiego, ale nie cierpiał szkoły. Po wybuchu wielkiej wojny, mimo że był za młody do wojska, szukał okazji, by wstąpić do Legionów. W listopadzie 1918 roku uciekł z szóstej klasy gimnazjalnej do szwadronu ułanów płk. Janusza Głuchowskiego, ale został odesłany do domu jako małoletni. Widzący jego determinację ojciec oddał syna do Korpusu Kadetów w Modlinie. W lipcu 1920 roku Koszutski został wcielony do 5 baterii 1 Pułku Artylerii Ciężkiej i z nią wyruszył na front. Po zawieszeniu broni wrócił do Korpusu Kadetów, ale nie na długo, bo już w maju 1921 roku zdezerterował z kilkoma kolegami, aby przyłączyć się do III powstania śląskiego. Tam awansował na kaprała i otrzymał Krzyż na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi.

Po maturze w Korpusie Kadetów wstąpił do nowo otwartej Oficerskiej Szkoły Artylerii w Toruniu. Po promocji na podporucznika dostał przydział do 14 Dywizjonu Artylerii Konnej w Białymstoku, a w 1928 roku został przeniesiony do 2 Dywizjonu Artylerii Konnej im. gen. Józefa Sowińskiego w Dubnie, należącego do 2 Brygady Kawalerii płk. Władysława Andersa. Dubno było małym garnizonem, którym nagle zatrzęsli w posadach młodzi oficerowie ze „Szcutkiem” na czele, jak Koszutskiego nazywali koledzy.

Porucznik wraz z kilkoma rówieśnikami stał się zmo-
rą dowódcy dywizjonu, ppłk. Edwarda Robakiewicza,
niezwykle przywiązującego wagę do formy i wyczulo-
nego na zachowanie oficerów. Do najgłośniejszych wy-
czynów „gangu Koszutskiego” należało „porwanie
Sabinek”, czyli uczennic pensjonatu żeńskiego przy



WOJSKO POLSKIE CIESZYŁO SIĘ DUŻYM SZA- CUNKIEM I ZAUFANIEM OBYWATELI II RZECZYPO- SPOLITEJ

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

prawosławnym klasztorze, wypuszczenie na wolność dwóch tygrysów wędrownego cyrku oraz wyścigi „rydwanów” po ulicach miasteczka. Za tę Kmicicową fantazję Koszutski i jego „kompanioni” odpokutowali brakiem awansów na kapitanów przez dziesięć lat. Za to Koszutski awansował na majora i podpułkownika po trzech latach w każdym stopniu i stał się najmłodszym dowódcą pułku w Wojsku Polskim w 1943 roku.

W 1934 roku został przeniesiony do 7 Pułku Artylerii Ciężkiej w Poznaniu, ale nie zagrzeł tam długo miejsca. Już w następnym roku odkomenderowano go do Wyższej Szkoły Wojennej (rocznik 1935–1937), którą skończył z bardzo dobrym wynikiem. W 1935 roku ożenił się z poznaną w czasie służby w Poznaniu Hanną Przyborowską, wnuczką tak podziwianego w młodości pisarza historycznego Walerego Przyborowskiego. Słowem – Stanisław Koszutski usatkwował się, choć fantazji zagończyka nie zatracił, co czyniło zeń świetnego oficera kawalerii, a następnie broni pancernej. Po ukończeniu WSW miał prawo wyboru przydziału i zdecydował się na „swoją” 2 Brygadę Kawalerii, zwaną Wołyńską. W niej rozpoczął w 1939 roku wojenną epopeję...

Stanisław Koszutski tak kończy opis swego „dnia palacza”: „Nie słyszę już szumu bojlera, gdzieś zapadły się ściany pralni. Mój grzbiet prostuje się i w nozdrzach czuję powiew Flandrii. Wydaje mi się, że wiatr od Dartmoor szepcze słowa dawno zasłyszane ze sceny: »Tak! Byliśmy chłopcy, pierwsi żołnierze, sławni Europy, postrach przed nami szedł na mil tysięcy... [...]«. Zdarzenia mącą się we krwi. Widzę je z siodła lub wieży czołgu. Czuję je w dreszczu emocji, strachu, napięcia, ulgi, smutku lub radości. Jedne są rubaszne, inne patetyczne aż do bólu. Wszystkie jednak te wspomnienia są powiązane miłością służby wojskowej, która była moim zawodem i życiem”.

DUSZA KMICICA

Pułkownik, wspominając swych poległych na różnych polach bitew kolegów, wymienił m.in. ppłk. Zbigniewa Kiedacza, dowódcę 15 Pułku Ułanów Poznańskich, który zginął

RÓŻNIE ICH NAZYWANO – POKOLENIEM KAWALERYJSKIM, KOLUMBAMI... PUŁKOWNICY KOSZUTSKI I KIEDACZ BYLI JEDNYMI Z WIELU, KTÓRYCH PRZEDWOJENNE WOJSKO UFORMOWAŁO I KTÓRYCH NIE ZŁAMAŁY ŻADNE KLĘSKI

23 października 1944 roku od wybuchu miny na drodze pod Civitella di Romagna. Byli przyjaciółmi, których połączyły dramatyczne losy w 1939 roku. Obaj przedzierał się z gen. Władysławem Andersem przez Karpaty, a po schwytaniu przez Sowieców uciekli z obozu w Szepietówce i przedostali się na Zachód. W odróżnieniu od Koszutskiego, Kiedacz od początku kariery wojskowej był wychwalanym przez przełożonych prymusem. Gen. bryg. Sergiusz Zahorski, dowódca Brygady Kawalerii „Poznań”, taką wystawił mu opinię: „Ppor. Kiedacz jest niewątpliwie wybitnym oficerem. Świetny instruktor podczas pracy w koszarach, jest bez zarzutu w polu, orientuje się doskonale w sytuacji, ruchliwy i odważny, przepłynął konno Wisłę. Wybitny”.

Zbigniew Kiedacz, kilka lat młodszy od Koszutskiego (urodził się 11 września 1911 roku), w czasie nauki w poznańskim gimnazjum związał się z harcerstwem. Został członkiem 16 Poznańskiej Drużyny Harcerskiej im. gen. Józefa Bema. Po skończeniu gimna-



ZBIGNIEW KIEDACZ był wybitnym przedstawicielem pokolenia kawalerzystów – wychowanków II Rzeczypospolitej. Łączył w sobie bujną i nieokiełznaną naturę, przebojowość i impulsywność z talentami dowódczymi.

zjum, 17 lipca 1928 roku wstąpił do Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. Kolejne kawalerskie szlify zdobył w słynnym Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu, gdzie 28 października 1930 roku został przyjęty na pierwszy rok Szkoły Podchorążych Kawalerii. Spośród 57 osób kończących kurs Kiedacz uplasował się na trzecim miejscu. Nagrodą było skierowanie do służby w elitarnym 15 Pułku Ułanów Poznańskich. Nikt nie mógł wtedy przypuszczać, że ten młody podporucznik stanie się w przyszłości jednym z jego najsynniejszych dowódców.

Kiedacz był wybitnym przedstawicielem pokolenia kawalerzystów – wychowanków II Rzeczypospolitej. Łączył w sobie bujną i nieokiełznaną naturę, przebojowość i impulsywność z talentami dowódczymi. Niebagatelne znaczenie miało patriotyczne wychowanie wyniesione z domu i szkoły. Służba wojskowa była dla niego wszystkim. Świadczy o tym chociażby fotografia jednego ze szwadronów 15 Pułku Ułanów Poznańskich, którą Kiedacz podarował swej narzeczonej. Na odwrocie napisał: „To, co po Tobie mam najdroższego, a co jest nasze”.

Jego dowódca, a zarazem przyjaciel, gen. Anders pisał o nim: „Zdobyl sobie od razu zaufanie podwładnych, umiał pociągnąć ich do gorliwej służby i do wielkich poświęceń. Służbista, był jednocześnie wspianym kolegą i opiekunem. [...] Porównywano go trochę do Kmicica i trochę do Skrzetuskiego – łączył bowiem w sobie porywczność, umiłowanie żołnierza i walki z ogromnym patriotyzmem, rozsądkiem i wyrozumiałością, olbrzymie poczucie obowiązku z głęboką, poważną religijnością”.

Niedługo przed śmiercią ppłk Kiedacz któregoś dnia polecił jednemu ze swoich oficerów, rtm. Edmundowi Majewskiemu, by wybrał się z nim jeepem w rejon Senigalli, na północ od Ankony. Był piękny dzień, a ostrzał niemiecki rzadki, więc obaj oficerowie w czasie jazdy podziwiali rozciągający się po ich prawej stronie Adriatyk. W pewnym momencie, jak wspomina Majewski: „Pułkownik Kiedacz uśmiechnął się, spojrział na mnie, stuknął ręką po kolbie mojego Tomy Gunna i powiedział, że to jest życie mężczyzny. Było to życie mężczyzny młodego, z pewnym celem życia”. Ten cel wyraźnie sobie wytyczył w szkole, harcerstwie i wreszcie w wojsku II Rzeczypospolitej.

POKOLENIE KAWALERYJSKIE

Nie była przedwojenna Polska krajem doskonałym – nie mogło nim być państwo dopiero co powstałe po latach niewoli. Położenie geograficzne, kryzysy ekono-

miczne i polityczne, konflikty narodowościowe, bieda... to wszystko jest znane i bezdyskusyjne. Jednocześnie w tamtej rzeczywistości wyrosły pokolenia, które deklarowały najwyższe oddanie dla ojczyzny, a w godzinie potrzeby udowodniły, że nie były to czcze słowa.

Różnie ich nazywano – pokoleniem kawalerskim, Kolumbami... Pułkownicy Koszutski i Kiedacz byli jednymi z wielu, których przedwojenne wojsko uformowało i których nie złamały żadne klęski. Zrobiły to dopiero Teheran i Jałta. „Ciosy Teheranu i Jałty były cięższe niż wszystko, co nas spotkało uprzednio w ciągu całej wojny. Odbierały nam nadzieję”, pisał przyjaciel płk. Koszutskiego, ppłk Kornel Krzczunowicz. Lecz nawet po tym niespodziewanym uderzeniu, bo wymierzonym ze strony sojuszników, kiedy minął pierwszy szok, górę wziął etos polskiego żołnierza.

Więści o konferencji jałtańskiej dotarły do 1 Dywizji Pancernej, kiedy stacjonowała nad Mozą. Surowy krajobraz zasnuty mgłami potęgował przygnębienie polskich żołnierzy. Na pozycjach, między czołgami, zaczęły się dyskusje, padały pytania: „Co robić? Co będzie?”. Jedni sądzili, że Anglicy rozbiorą i internują polskich żołnierzy; inni uważali, że polski rząd na pewno odmówi dalszego udziału Polskich Sił Zbrojnych w wojnie, gdyż nie można walczyć u boku zdrajców. Wszyscy boleli, że brakuje w takim momencie marszałka Piłsudskiego... Spotykani Anglicy pytali: „Co zrobicie? Przejdziecie do Niemców czy też tylko przestaniecie nam pomagać?”.

Wszelkie spekulacje po kilku dniach zostały rozwiązane decyzją rządu: polski żołnierz będzie nadal walczył u boku aliantów. „Kazałem zebrać pułk”, wspominał płk Koszutski. „Przez całą noc i jeszcze rano nie wiedziałem JAK im TO wytłumaczyć. Co ja, jako dowódca pułku, mam powiedzieć tym ludziom, którzy mi wierzyli – jak mam tłumaczyć coś, co sam uważam za niegodne wykonania – i za co ci ludzie mają umierać? Co im powiedzieć?”.

Pułkownik nie dawał żołnierzom fałszywych złudzeń, zdradę nazwał po imieniu, ale na końcu zaznaczył: „Polak, nawet oszukany, nie odstępuje towarzyszy broni. Tyle nam zostało i to wykonamy... Będziemy ciągnąć dalej razem! Ulżyło! Szwadrony rozeszły się na kwatery. Codzienne zajęcia żołnierza są jego drugą naturą”. I tylko angielscy oficerowie byli w szoku, gdyż nie mieściło im się w głowach, że Polacy nie zdecydowali się jednak na protest i zaprzestanie walki, co było, według nich, „naszą najwyższą i najbardziej lojalną możliwością”. Nie rozumieli etosu polskiego żołnierza... ■

CHCIAŁO NAM SIĘ POLSKI

Z Henrykiem Kowalczykiem

**o harcerzach, którzy służyli Bogu i ojczyźnie, oraz nierównej
walce niepodległościowego podziemia w powojennej Polsce
rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.**

Dlaczego w 1945 roku jako żołnierz AK nie złożył Pan broni, lecz postanowił walczyć dalej?

Tak zostałem wychowany. Przez lata walki podczas okupacji wierzyliśmy, że Polska będzie wolna. Jednak gdy na teren naszego kraju wkroczyła Armia Czerwona, rozpoczęła się kolejna okupacja. Nowy sowiecki porządek został nam narzucony siłą. Nie mogliśmy się na to zgodzić i dlatego postanowiliśmy walczyć. Wiedzieliśmy, że nie uda się nam pokonać Sowietów, ale uważaliśmy, że należy się przeciwstawić terrorowi bezpieki i NKWD.

Co miało większy wpływ na Pana postawę: wychowanie w domu rodzinnym czy szkoła i organizacje społeczne działające w dwudziestoleciu międzywojennym?

I dom, i szkoła. Mój ojciec urodził się w 1899 roku. Chociaż uczył się w carskiej szkole, z pamięci recytował polskie wiersze. Gdy Polska odzyskała niepodległość, poszedł do wojska. Brał udział w wojnie z bolszewikami w 1920 roku. Został także powołany w 1939 roku i walczył w obronie Warszawy. Ja natomiast byłem harcerzem. Do dziś mam książeczkę, w której można przeczytać: „harcerz służy Bogu i ojczyźnie”. Tak też zostałem wychowany. W szkole historia była jednym z najważniejszych przedmiotów. Miałem z niej czwórkę. Moje córki, które chodziły do szkoły za komuny, chociaż zdały maturę, nie poznały wówczas prawdziwej historii. Do 1989 roku niewiele im opowiadałem, a one wiedziały, że nie należy pytać. Podsuwałem im jednak różne lektury, np. opublikowaną w podziemnym wydawnictwie broszurę o Katyniu.

Gdy wybuchła II wojna światowa, Pan miał 17 lat. Do wojska powoływano mężczyzn, którzy ukończyli 21 lat. Jak zatem podczas okupacji zdobył Pan doświadczenie bojowe?

Ukończyłem konspiracyjną podchorążówkę. Wykłady odbywały się w prywatnych mieszkaniach, a ćwiczenia w lesie – uczyliśmy się taktyki i strzelania, ale nie mogliśmy za bardzo hałasować, żeby nie przyciągnąć Niemców. W kwietniu 1940 roku rozpocząłem działalność w Związku Walki Zbrojnej. Gdy w 1942 roku gen. broni Władysław Sikorski przekształcił ZWZ w Armię Krajową, wstąpiłem do tej organizacji. Pod pseudonimem „Sęp” służyłem w oddziale dowodzonym przez kpt. Stefana Głogowskiego „Józefa” w Ośrodku VIII Lipie, wchodzącym w skład Obwodu AK Grójec „Głuszec”, obejmującego teren powiatu. Było nas wówczas 235 osób, razem z Wojskową Służbą Kobiet.

Brał Pan udział w akcjach zbrojnych?

W marcu 1944 roku uczestniczyłem w największej akcji zorganizowanej podczas niemieckiej okupacji przez AK na terenie Grójca – ataku na siedzibę Gestapo. Uwolniliśmy wówczas 26 więźniów. Moim zadaniem – wraz z żołnierzami AK z obwodu Lipie – było zablokowanie pniami drzew drogi dojazdowej do Grójca w okolicy Belska Dużego i wystawienie posterunków. Brałem także udział w ochronie i odbiorze zrzutów na terenie Obwodu AK Grójec – „Lichtarz 423” znajdującym się w pobliżu majątku Machnatka. W ten sposób przekazywano nam broń, amunicję oraz pieniądze. Fundusze na działalność AK zdobyliśmy także podczas zorganizowanej w grudniu 1943 roku akcji w Urzędzie Skarbowym w Grójcu. Zamknęliśmy wówczas pracowników w jed-



no ich do obozów przeznaczonych dla jeńców niemieckich, a potem do obozów pracy w ZSRR.



Autentyczna legitymacja harcerska Henryka Kowalczyka z 1922 roku oraz jego fałszywy dowód osobisty z 1946 roku wystawiony na nazwisko Marek Rossowski.

nym pokoju i zerwaliśmy łączność. Kasjer musiał włożyć nam pieniądze do teczki – około 70 tys. zł.

W styczniu 1945 roku Niemcy uciekli z Grójca. Co wtedy działo się w mieście?

Żołnierze AK zajęli siedzibę Gestapo, ale gdy do miasta weszła Armia Czerwona, bezpieka ich rozbroiła. Z naszego gospodarstwa Rosjanie zabrali dwa konie i wóz. Gdy opowiadałem potem dzieciom o tych czasach, mówiłem: „przyszła Armia Czerwona i wyzwoliła nas z koni”. Początkowo na terenie mojej gminy Belsk Duży panował względny spokój. Potem rozpoczęły się aresztowania akowców. NKWD zatrzymywało nie tylko osoby związane z okupantem, lecz także członków podziemia oraz działaczy cywilnych i wojskowych przedwojennej Polski. Kierowa-

Pan jednak nie złożył broni.

Razem z około dwudziestoma kolegami z oddziału postąpiliśmy zgodnie z własnym sumieniem – tak polecił nam w ostatnim rozkazie komendant naszego Obwodu AK Grójec kpt. Dionizy Rusek „Halny”. W marcu 1945 roku wstąpiłem w szeregi podziemia antykomunistycznego i zostałem żołnierzem Ruchu Oporu Armii Krajowej Grójec, dowodzonego przez kpt. Stefana Głogowskiego „Józefa”. W ROAK byłem zastępcą dowódcy plutonu w gminie Belsk Duży. Używałem pseudonimów „Sęp” i „Ziemowit”.

Jakie akcje podejmowaliście?

W listopadzie 1945 roku postanowiliśmy zaatakować siedzibę Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Grójcu, aby odbić naszych kolegów. Niestety, nie zdobyli-



śmy budynku. Po tej nieudanej akcji aresztowania się nasiliły. Na przełomie lat 1945 i 1946 bezpieka aresztowała kpt. Stefana Głogowskiego. Skazano go na karę śmierci i wyrok wykonano. Inni aresztowani koledzy dostali po kilka lat.

Jak potoczyły się Pana dalsze losy?

Na początku stycznia 1946 roku bezpieka zjawiła się w nocy w naszym domu. Zdążyłem złapać marynarkę, spodnie, buty i uciec na strych. Byłem młodym, wysportowanym chłopakiem, zamierzałem zsunąć się z dachu na ganek i uciec. Nie wiedziałem, że na dole stoi jeden z ubeków. Wszedłbym mu prosto pod łufę. Zobaczyłem go tylko dlatego, że palił papierosa. Było zimno, ale nie miałem wyjścia, musiałem przeczekać na dachu. Zabrali ojca, trzymali go 12 dni, bo liczyli, że ja sam się zgłoszę. Ale „wyrodney” syn się nie zgłosił i go puścili. W obawie przed aresztowaniem ukrywałem się na Ziemiach Zachodnich. Cztery miesiące spędziłem we Wrocławiu, potem pojechałem pod Poznań, gdzie zatrudniłem się w PGR-ze. Miałem fałszywe dokumenty na nazwisko Andrzej Zawadzki. Ujawniłem się 4 marca 1947 roku po ogłoszeniu amnestii. Funkcjonariusze bezpieki chcieli mnie zastraszyć. Wzywali na przesłuchania, proponowali mi współpracę, pytali o sąsiadów – jak zachowywali się podczas wojny. Uznałem jednak, że nie mam kwalifikacji na ubeka.

W końcu jednak został Pan aresztowany.

23 października 1950 roku aresztowano mnie pod zarzutem ukrywania zbiega poszukiwanego przez UB. Chodziło o młodego chłopaka z sąsiedniej, odległej o kilkanaście kilometrów, wsi, który pracował w naszym gospodarstwie. Podobno włamał się do kiosku spożywczego, ale się u nas nie ukrywał. Zostałem zwolniony po sześciu dniach, bo śledztwo nie potwierdziło oskarżenia.

Pośród wielu odznaczeń otrzymał Pan też odznakę za utrwalanie etosu AK.

Przez trzynaście lat byłem chorążym sztandaru Oddziału Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Grójcu. Dopiero po 1989 roku zostałem członkiem Światowego Związku Żołnierzy AK. W PRL-u nie należałem do żadnych organizacji politycznych, kombatanckich i zawodowych, bo wówczas wszystkie kontrolowała komuna. Trzymałem się z dala od polityki. Jedynie przez krótki czas po

Nowy sowiecki porządek został nam narzucony siłą. Nie mogliśmy się na to zgodzić i dlatego postanowiliśmy walczyć

wojnie byłem członkiem koła Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”. Chciało nam się Polski, próbowaliśmy coś robić. Wiemy z historii, jak to się skończyło – w 1948 roku ZMW RP „Wici” został wcielony do Związku Młodzieży Polskiej.

Jak ocenia Pan współczesny patriotyzm młodzieży? Czy dzisiaj młodzi byłiby zdolni do takich poświęceń jak Pana pokolenie?

Obserwuję, że młodzi ludzie coraz bardziej zaczynają się interesować historią naszego kraju. Przed kilkunastu laty moja wnuczka, wówczas uczennica liceum, przeprowadziła ze mną wywiad. Była to praca domowa, którą zadali uczniom nauczyciele. Potem przyjeżdżali inni uczniowie z prośbą o wspomnienia z czasów wojennych oraz powojennych.

W ten sposób promuje Pan patriotyzm wśród młodzieży.

Kształtowanie postaw zaczyna się w rodzinie, ale to także zadanie dla szkoły. Przez lata wraz z kolegami kombatanami spotykaliśmy się z uczniami Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych im. Armii Krajowej Obwodu Głuszc-Grójec w Grójcu. Młodzi ludzie byli zainteresowani historią, pytali nas o przeżycia wojenne. Chcieliśmy, aby został po nas ślad. Jeśli tylko zdrowie pozwalało, chętnie uczestniczyliśmy w tych spotkaniach. Wspominam je bardzo miło. Po 1989 roku było nas około 180 osób, członków AK. Dziś jest to już dosłownie armia podziemna. Żyje jeszcze pięciu żołnierzy.

W 2017 roku dostał Pan awans na majora Wojska Polskiego. W uzasadnieniu tej decyzji czytamy: „Nominacja ta jest wyrazem uznania dla Pańskiego poświęcenia i oddania w służbie ojczyźnie. Odwaga i umiejętności, które wykazał Pan, budzą podziw i uznanie. Ryzykował Pan życiem, biorąc udział w niebezpiecznych działaniach bojowych. Pańska postawa jest dla Polaków przykładem bohaterstwa i prawdziwego patriotyzmu, symbolem wierności wyznawanym wartościom, takim jak honor, odwaga, miłość ojczyzny i poszanowanie tradycji”.

Jestem chyba najstarszym żołnierzem, który dostał taki awans. Mam 95 lat. ■

Mjr HENRYK KOWALCZYK był żołnierzem Armii Krajowej, a po 1945 roku – grójeckiego podziemia niepodległościowego.

Po krwawych bojach w grudniu 1914 roku pod Łowczówkiem, na przełomie lutego i marca 1915 roku I Brygada Legionów Polskich zajęła pozycje wzdłuż zachodniego brzegu Nidy, naprzeciw Pińczowa. Tutaj legioniści komendanta Józefa Piłsudskiego mieli aż do 10 maja doświadczyć tego, co tak obrazowo opisał Erich Maria Remarque w książce „Na Zachodzie bez zmian” – wojny pozycyjnej. Trwanie w błotnistych okopach przerywały jedynie równie uciążliwe patrole bagnistego terenu nad rzeką. Strzałów karabinowych prawie nie było słychać, tylko rzadkie grzmoty artylerii przypominały, że to jest front. Z czasem żołnierze pobudowali sobie całkiem wygodne ziemianki, które chroniły ich przed deszczem i zimnem. Nie mogli jedynie się uporać z wszami i brudem. Rzeka była w zasięgu rosyjskiego ognia, a wieś ze studniami leżała zbyt daleko, żeby regularnie można było dostarczać wodę.

Monotonie życia okopowego, nie licząc drobnych wypadów patrolowych, przerywały tylko różnego rodzaju szkolenia i inspekcje. Pewnego dnia nad Nidę przyjechał sam Józef Piłsudski. Najbardziej zmartwił go opłakany stan broni legionistów – pod wpływem wilgoci ich karabiny i bagnety pokryły się rdzą. Kiedy rozmawiał o tym z dowódcą II Batalionu kpt. Józefem Wilczyńskim „Olszyną”, nagle zza załomu okopu padł strzał. To strzelec Józef Łas – góról spod samiuskich Tater – stał tyłem do podchodzącego Komendanta i repetował swój karabin. Ich rozmowę zanotował w pamiętniku gen. Tadeusz Alf-Tarczyński, wówczas dowódca I kompanii II Batalionu:

PIOTR KORCZYŃSKI

CZYSTA LUFA ŁASIA

Komendant zbyt cenił i lubił swych żołnierzy, by wyciągnąć jakieś konsekwencje za tę niesubordynację.

- Do czego strzelasz chłopcze?
- Ady nimem do czego, to do kominka strzylom.
- Do jakiego kominka?
- Ady tam styrcy z ziemianki u Mochów.
- Komendant wziął lornetkę. Widocznie znalazł cel.
- I co, trafiliście?
- Jesce nie, ale jak mi nie bedziecie przeszkodzac to moze.

Tarczyński zdrętwiał po tej odpowiedzi, ale Komendant najwyraźniej udał, że jej nie słyszy i wskazując na karabin Łasia, zwrócił się do „Olszyny”: „Patrzcie jaki zardzewiały zamek!”. „Strzelec Łas najwidoczniej wziął tę uwagę personalnie do siebie”, wspomina dalej Tarczyński. „I wtedy stało się coś, czego nigdy nie potrafiłbym sobie wyobrazić, gdybym tego na własne oczy nie widział...”. Strzelec Łas – dużo później kapral I Brygady, a jeszcze później kawaler Orderu Virtuti Militari – uśmiechnął się sze-

roko i... poklepał Komendanta łagodnym głaskającym ruchem po ramieniu, po czym z głębokim przekonaniem powiedział: „Iii, obywatelu Komendancie, z wirchu to niekze ta, a w środku to lufę kulkom cysce...”.

„Oniemiałem ze zgrozy”, opowiada Tarczyński. „Komendant świsnął szpicrutą i bez słowa ruszył dalej od cinkiem”. Zbyt cenił i lubił swych żołnierzy, by wyciągnąć jakieś konsekwencje za tę niesubordynację. Ponadto znał górali i wiedział, że strzelec Łas nie zrozumiałby, za co został ukarany i miałby poczucie krzywdy. Jego koledzy byli jednak mniej wyrozumiali. Przez kilka kolejnych dni ciągle ktoś do niego podchodził i „łupił z całej siły – jak zapisał Tarczyński – po ramieniu i pytał, czy ma »czystą lufę«”. ■



Monotonie życia okopowego przerywały tylko różnego rodzaju szkolenia i inspekcje. Pewnego dnia nad Nidę przyjechał sam Józef Piłsudski.

PIOTR KORCZYŃSKI

DRUGA SOMOSIERRA

Po brawurowej szarży ułanów z II Brygady Legionów Polskich nazwano 17 czerwca 1915 roku dniem polskim. Żołnierze za tę sławę zapłacili jednak wysoką cenę – z 64 atakujących wróciło zaledwie sześciu.

Rokitna: pierwsza wieś besarabska leżąca już na terytorium Rosji”. W taki sposób określono w dokumentach II Brygady Legionów Polskich miejscowość na granicy Bukowiny i Besarabii. Rokitna zapisała się w historii oręża polskiego krwawymi zgłoskami. 13 czerwca 1915 roku doszło tam do straceńczej szarży ułanów 2 szwadronu na umocnione pozycje rosyjskie. Z atakujących 64 ułanów wróciło sześciu, zginął m.in. ich dzielny dowódca rtm. Zbigniew Dunin-Wąsowicz.

STRACEŃCZA SZARŻA

Odpowiedzialny za tę masakrę był austriacki oficer, szef sztabu II Brygady kpt. Arpad Vagas. Za wszelką cenę chciał on odciążyć cofającą się pod naporem Rosjan austro-węgierską 42 Dywizję Piechoty i rzucił ułanów na rosyjskie transzeje opasane drutem kolczastym oraz najeżone karabinami maszynowymi. Po bitwie targany wyrzutami sumienia Vagas chciał wytłumaczyć się przed Polakami z bezsensownej masakry szwadronu, mówiąc: „Jest to druga Somosierra, takiej szarży austriacka kawaleria nie zna”.

Niestety, w odróżnieniu od tej z 1808 roku, bardzo szybko się okazało, że atak polskiej kawalerii pod Rokitną był zupełnie niepotrzebny. W nocy z 13 na 14 czerwca Rosjanie bez strażu opuścili wzgórze wokół tej miejscowości. Austro-węgierski XI Korpus i II Brygada Legionów Polskich ruszyły do pościgu, ale już 15 czerwca dowództwo korpusu rozkazało swym oddziałom wrócić na stanowiska zajmowane przed dwoma dniami.

Brygada zajęła pozycje na wzgórzach, na wschód od Rańczy, pod wsią Toporowce. Podzielono jej wojska na dwa odcinki: południowy, dowodzony przez ppłk. Mariana Januszajtisa, z 2 Pułkiem Piechoty i baterią dział; oraz



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

północny, płk. Zygmunta Zielińskiego, z 3 Pułkiem Piechoty i baterią dział. Spodziewano się silnego ataku Rosjan, więc żołnierze mimo zmęczenia w ciągu popołudnia i wieczora 16 czerwca wykopali prowizoryczne rowy i wnęki strzeleckie. Wieczorem Rosjanie podsunęli się na pozycje 3 Pułku Piechoty na odległość tysiąca kroków. Lada chwila miało dojść do ataku. Naprzeciw dwóch zdziśiatkowanych polskich pułków stanęły dwie rosyjskie brygady. Wprawdzie Polaków miały wspierać jednostki austro-węgierskie, jednak słaba to była pociecha wobec faktu, że „rosyjski walec” przetoczy się w tym właśnie miejscu.

Pierwszy szturm nastąpił nad ranem 17 czerwca o godzinie 1.45. Sześć rosyjskich batalionów wspieranych ogniem artylerii uderzyło na odcinek płk. Zielińskiego. Atak załamał się w ogniu legionowych karabinów maszynowych, ale



P IEŚŃ SZWADRONU WĄSOWICZA

*Opisuje bitwę pod Rokitną.
Upatruje się w niej
pierwowzoru słynnych
kawalerskich żurawiejek.*

*Nasz Wąsowicz, chłop morowy,
Zbił Moskali w Cucyłowej.
Odznać się szwadron drugi,
Wrażej krwi on przełał strugi.
Myśmy w opłotkach stanęli,
Na Moskwę ogniem płuęli.
Kozacy ku nam pognali,
Lecz ognia nie wytrzymali.
Rtmistrz stał na środku drogi,
Z pistoletu prażył wrogi.
Armaty basem śpiewały,
Lecz śmiał się z nich szwadron cały.
Dwie godziny bitwa trwała,
Jest z niej dla szwadronu chwala.
Więc kto chce rozkoszy użyć,
Niech w ulany idzie służyć.*



II Brygada na froncie wschodnim w Bukowinie. W przerwach między działaniami wojennymi kwitło życie obozowe, np. w okopach legionieści grali na prostych instrumentach.

Rosjanom udało się przybliżyć pod okopy linię tyralierską. Drugi szturm ruszył dwie godziny później. Nieprzyjaciół uderzył na styk między grupami płk. Zielińskiego i ppłk. Januszajtisa. I ten atak został odparty przy pomocy batalionu austro-węgierskiego oraz legionowych oddziałów tyłowych. Kiedy dowództwo brygady wyczerpało wszystkie rezerwy, zażądało od Austriaków dodatkowych posiłków. Ci przysłali dwa bataliony piechoty, którym polecono pełnić funkcję odwodów.

Rankiem Rosjanie zaatakowali po raz trzeci – wystąpili piechotę na polskie okopy w kilku falach. Natarcie wspierała ogniem bezpośrednim artyleria, której działa przepchnięto na przedpo-

le, na odległość 1500 m przed stanowiskami II Brygady. Legionieści nie zamierzali czekać, aż rosyjska artyleria w pełni przygotuje się do ostrzału ich okopów z tak bliskiej pozycji. Rzucili się z bagnetami na najbliższą im baterię i w gwałtownej walce wzięli do niewoli jej dowódcę oraz czterech kanonierów. Kapitan tak mocno się bronił, że kilku legionistów musiało go obezwładnić. Jak się okazało, był to Polak, pochodzący z Królestwa, który już we wcześniejszych walkach dał się swym rodakom dobrze we znaki, ostrzeliwując ich celnie i wytrwale ze swych dział.

Kapitana przyprowadzono do ziemianki płk. Zielińskiego. Rozmowę, którą tam prowa-





SZARŻA II BRYGADY LEGIONÓW POD ROKITNĄ – PŁK ZYGMUNT ZIELIŃSKI DEKORU- JE UŁANÓW PO ATAKU

dzili, zanotował w swych pamiętnikach mjr Stanisław Tutaj, który był jej świadkiem: „Pułkownik pytał go, czy wiedział, kogo tak zjadle chciał zwalczać. Kapitan odpowiedział, że owszem, wiedział, iż stoi tu brygada legionistów polskich, ale jako żołnierz... tu zrobił gest, że musiał to zrobić. Pułkownik zaznaczył jednak, że jego czyn podjęcia z baterią pod nasze okopy nie należy do zwykłych czynów obowiązujących żołnierza, a był wyczynem bohaterskim, wyczynem fanatyka, który zwalcza coś z własnego, głębokiego przekonania, który dla dokonania swojego zamierzenia poświęcał wszystko. »I tu – dodał pułkownik – przekroczył pan miarę obowiązku żołnierskiego. Chciał nas pan zniszczyć kartaczami, aleś trafił na lepszych i zamiar twój się nie udał. Teraz pójdzie pan na tyły. Z żołnierskiego punktu widzenia popełnił pan bohaterstwo, ale z polskiego nie«”.

Tymczasem na polskich pozycjach walka nie słabła. Przed południem 17 czerwca legionistom zaczęło brakować amunicji. Wobec groźby kolejnego rosyjskiego szturmu postanowiono wykonać przeciwuderzenie. Skombinowano frontowy atak grupy płk. Zielińskiego z manewrem oskrzydlającym oddziałów ppłk. Januszajtisa. Uderzenie tego pierwszego wyhamowało rozpęd przeciwnika i związało go od frontu. Doszło do zaciętej walki na bagnety. Jednocześnie Januszajtis okrążył Rosjan z prawego skrzydła i to przesądziło o wyniku starcia. Soldaci rzucili się do ucieczki i zostawili w rękach legionistów 700 jeńców.

Nie był to koniec bitwy, wręcz przeciwnie – rozpoczął się jej najbardziej heroiczny moment. Jak wspomina kapelan II Brygady, ksiądz Józef Panaś: „Ostatni atak prowadził ppłk Iwan Gerasymowicz Kosykow, dowódca 172 drużyny. Chciał on podstępem dostać się do naszych okopów, gdyż na okrzyk naszych chłopców: »Kidaj rużie!« i »Ruki w wierch!«, część jego drużyny rzuciła karabiny. Większość jednak ciągnęła je za sobą skrycie. Chłopcy tego jednak nie zauważyli i przestali strzelać. Skoro mniemani jeńcy znaleźli się w naszych okopach, wówczas Kosykow wyciągnął szablę i krzyknął: »W pierod!«. Jednak w tej samej chwili najbliższy legionista rozpruł mu brzuch bagnetem.

W masę ludzką, jaka się tam wytworzyła, z Rosjan i z naszych zaczęły bić z flanki karabiny maszynowe, a na odsiecz pospieszył por. Karol Dziekanowski z kompanią 2 Pułku Piechoty i niebezpieczeństwo zostało zażegnane”.

POJEDYNEK NA SZABLE

W czasie szturmu doszło do niecodziennego zdarzenia. Przed czołem wojsk stoczyli pojedynek na szablę, jak za dawnych czasów, wspomniany tu por. Karol Dziekanowski, zastępca dowódcy 2 Pułku Piechoty, były oficer armii rosyjskiej, z podpułkownikiem armii carskiej Iwanem Rosikowem. Zwyciężył polski oficer, a ranny Rosikow zmarł następnej nocy w legionowym lazarecie. Pochowano go z honorami wojskowymi na cmentarzu w Rarańczy, obok mogiły rtm. Zbigniewa Dunina-Wąsowicza.

W rezultacie bitwy pod Rarańczą wojska rosyjskie cofnęły się na całym odcinku frontu. W ręce Polaków dostało się ponad tysiąc jeńców oraz sporo sprzętu wojskowego. 17 czerwca 1915 roku nazwano w sztabie 7 Armii austro-węgierskiej „Polentag”, czyli dniem polskim. Do II Brygady spłynęły gratulacje i rozkazy pochwalne. Pod Rarańczą polska brygada miała spędzić kolejne cztery miesiące.

Po bitwie rozrósł się znacznie cmentarz w Rarańczy. Ksiądz Panaś zapamiętał zwłaszcza pogrzeb bohaterskiego przeciwnika – ppłk. Kosykowa, który poprowadził ostatni szturm na polskie okopy. „Podpułkownika Kosykowa jeszcze dającego znaki życia, przenieśli jeńcy do lazaretu polowego. Na krótko przed śmiercią prosił mnie o odesłanie pieniędzy i papierów do jego żony, mieszkającej w Chocieniu. Z metryki ślubu wynikało, że ożenił się przed dwoma tygodniami właśnie w tym mieście. Prośbie stało się natchnieniem zadość, a ciało jego pogrzebał miejscowy prawosławny proboszcz. Legioniści oddali w czasie pogrzebu honory wojskowe”. Jak wspomina dalej kapelan Legionów, 19 czerwca Rosjanie wysłali parlamentariusza z zawiadomieniem, że chować będą poległych. Pogrzeby trwały dwa dni. „Mimo że nie było formalnego rozejmu, nie padł ani jeden strzał z żadnej strony”, zakończył ksiądz Panaś swoją relację o bitwie pod Rarańczą w 1915 roku. ■

Przesyłka z nieba

HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Gustaw Pokrzywka ze swoją mamą w gronie najbliższych



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Rzeszowianin zdobył zwycięstwo w Międzynarodowych Zawodach Samolotów Turystycznych, więc w swoim mieście witany był z entuzjazmem.

Starszy sierżant, a następnie chorąży Gustaw Pokrzywka należał do ekskluzywnego klubu polskich lotników, którzy dzięki sukcesom sportowym stali się w II RP prawdziwymi gwiazdami. Pokrzywka był mechanikiem samolotowym i partnerem legendarnego pilota Jerzego Bajana. Duet ten święcił przed wojną wielkie triumfy, porównywalne z dokonaniem słyn-

nych Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury. W 1934 roku triumfowali w Międzynarodowych Zawodach Samolotów Turystycznych „Challenge”. Gustaw Pokrzywka za swe sukcesy dostał m.in. zaszczytu audiencji u marszałka Józefa Piłsudskiego, a w swym rodzinnym Rzeszowie witany był przez rozentuzjazmowane tłumy jak wielki bohater. Lotnik był tutaj dobrze znany już wcześniej,

z powodu swych oryginalnych, jak na owe czasy, odwiedzin domu rodziców. Często nad domostwem państwa Pokrzywków pojawiał się mały samolot ich syna. Przez chwilę krążył nad dachem, po czym nagle na podwórko spadał, zrzucony z samolotu, jakiś pakunek. Sąsiedzi mówili, że chor. Pokrzywka znowu przywiózł mamie bieliznę do prania... PK ■



Pluton trębaczy 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego defiluje przed marszałkiem Edwardem Rydzem-Śmigłym. Z tyłu, za pochylonym marszałkiem adiutant mjr **JERZY KRZECZKOWSKI**.
Warszawa, 1938 rok.

ROBERT SENDEK

Wierny do końca

Przetrwiał wielogodzinne przesłuchania prowadzone przez rumuńską żandarmerię, a potem tortury bezpieki. Nie zdradził marszałka. Co więcej, wprowadził prześladowców w błąd.

Był sobotni wieczór 14 grudnia 1940 roku. Do willi marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego na poczęstunek zaproszono ppor. Horię Georgescu, dowódcę plutonu żandarmerii rumuńskiej pilnującej Rydza-Śmigłego internowanego w górskiej miejscowości Dragoslavele w środkowej Rumunii. Jak wspominał później mjr Jerzy Krzeczkowski, jeden ze spiskowców przygotowujących ucieczkę marszałka, rumuńskiemu oficerowi „zaaplikowano odpowiednią dawkę polskiej wyborowej”. Plan się powiódł, Georgescu został spojony alkoholem tak skutecznie, że nie zdołał wrócić do swych codziennych obowiązków przez trzy kolejne dni. Rydz-Śmigły bez przeszkód opuścił miejsce internowania w niedzielę wieczorem.

Wymknął się z willi tylnymi drzwiami, przeszedł półtora kilometra, wsiadł do samochodu, po czym odjechał w kierunku granicy z Węgrami. Tam został przerzucony na drugą stronę dzięki pomocy zaufanego człowieka.

Tymczasem w willi zostali bliscy współpracownicy marszałka: płk Zygmunt Wenda, mjr Jerzy Krzeczkowski oraz kierowca Henryk Kutnik. Mieli oni symulować obecność Śmigłego. Robili to nadspodziewanie długo – Georgescu, któremu dodatkowo doskwierały hemoroidy, całkowicie zaniechał kontroli nad pilnującymi willi żandarmami. Dzięki temu była możliwa kolejna ucieczka: następnego dnia willę opuścili Kutnik i płk Wenda, pozostał tylko Krzeczkowski. Żeby zmylić Rumunów, narzucał sobie na ramiona pelerynę

Gdy 17 września 1939 roku Sowieci wkroczyli do Polski, władze RP, przebywające wówczas na terenie pogranicznym, zdecydowały się na ewakuację do sojuszniczej Rumunii.



RYDZ-ŚMIGŁY jako marszałek RP był najwyższym rangą dygnitarzem polskim wówczas internowanym, więc przysługiwały mu specjalne warunki, w tym prawo do odrębnego zakwaterowania.



Willa w Dragoslavele, w której podczas internowania przebywał marszałek Edward Rydz-Śmigły

Rydz-Śmigłego, na głowę wciskał jego kapelusz i paradował w tym stroju na tarasie, skąd podczas obchodów mogli go widzieć rumuńscy strażnicy. W międzyczasie pozbywał się dokumentów, palił papiery po marszałku, zdecydował się także unieruchomić służbowego rolls-royce'a Śmigłego. Georgescu odkrył ucieczkę dopiero w środę 18 grudnia 1940 roku, kiedy marszałek był już bezpieczny na Węgrzech.

ADIUTANT MARSZAŁKA

Człowiek, który zdecydował się pozostać w Dragoslavele, był jednym z najbliższych współpracowników Edwarda Rydz-Śmigłego. Jerzy Krzeczkowski, rocznik 1897, z wojskiem był związany od wczesnej młodości. Uczestnik wojny polsko-sowieckiej, żołnierz 12 Pułku Ułanów Podolskich, gdzie do 1935 roku był dowódcą szwadronu karabinów maszynowych i przeciwpancernych. Następnie został adiutantem pułku, a rok później oficerem ordynansowym marszałka. We wrześniu 1939 roku znalazł się w sztabie Naczelnego Wodza, jako jeden z kilku adiutantów, obok płk. Tadeusza Münnicha, mjr. Edwarda Mańkowskiego oraz mjr. Kazimierza Kaciukiewicza.

Gdy 17 września 1939 roku Sowieci wkroczyli do Polski, władze RP, przebywające wówczas na terenie pogranicznym, zdecydowały się na ewakuację do sojuszniczej Rumunii. Oprócz prezydenta Ignacego Mościckiego, członków rządu RP oraz urzędników granic przeszły wówczas także liczne oddziały Wojska Polskiego, a wraz z nimi – naczelnny wódz, marszałek Edward Rydz-Śmigły. Niemal 50 tys. obywateli

RP znalazło się na terenie obcego państwa, mniej więcej połowę z nich stanowili żołnierze. Po początkowym okresie wahania Rumuni zdecydowali o ich internowaniu.

Marszałka oraz jego świtę ulokowano w obozie internowania we wsi Dragoslavele. W zasadzie „obóz” to niewłaściwe słowo, gdyż chodziło o jedną willę, należącą niegdyś do Mirona Cristei, patriarchy rumuńskiego kościoła prawosławnego, a na przełomie 1938 i 1939 roku także premiera rządu Rumunii. Rydz-Śmigły jako marszałek RP był najwyższym rangą dygnitarzem polskim wówczas internowanym, więc przysługiwały mu specjalne warunki, w tym prawo do odrębnego zakwaterowania. Willi pilnował oddział rumuńskich żandarmów, marszałek mógł opuszczać willę jedynie w towarzystwie strażników.

Początkowo świtę Rydz-Śmigłego stanowiło dziesięciu oficerów. Na wyraźne żądanie władz rumuńskich większość z nich musiała wyjechać, przy marszałku zostało ich tylko dwóch: płk Zygmunt Wenda i adiutant mjr Krzeczkowski. Willę musieli opuścić także lekarz Śmigłego dr Henryk Cianciara, sekretarz inż. Karol Wędziagolski, służący i dwóch kierowców. Marszałka regularnie odwiedzał w Dragoslavele płk Romuald Najsarek (polski komendant obozu w Câmpulungu, a jednocześnie jeden z głównych organizatorów ucieczki). Zajeżdżali do niego także dr Cianciara oraz kapelan ks. Antoni Zapala, odprawiający dla marszałka niedzielne msze. Stale obecny przy nim Krzeczkowski pełnił funkcję osoby kontaktowej. Jeździł m.in. do ambasady polskiej w Bukareszcie,



dbał o aprowizację, załatwiał dokumenty czy wysyłał listy.

W KAZAMATACH SIGURANCY

Ucieczka Rydza-Śmigłego miejscowe służby postawiła na nogi. Śledztwem zajęła się rumuńska żandarmeria. Przesłuchano pilnujących willi strażników, kucharkę i posługaczkę. Głównym świadkiem był jednak przede wszystkim Krzeczkowski jako członek świty marszałka. W swych wspomnieniach, opublikowanych po wojnie na łamach paryskiej „Kultury”, pisał: „Śledztwo prowadzili coraz to wyżsi dygnitarze żandarmerii, zresztą w przyzwoitej formie. Zjawiał się nawet główny dowódca żandarmerii – gen. Topor, który przesłuchiwał mnie przez siedem godzin”.

Informacje, które w trakcie przesłuchań przekazał Krzeczkowski, były elementem obmyślonej wcześniej dezinformacji. Major zasugerował mianowicie, że Rydz-Śmigły brał pod uwagę ucieczkę na Zachód przez Jugosławię lub drogą morską przez rumuński port w Konstancy. Na podstawie tych informacji Rumuni podjęli intensywne poszukiwania, oczywiście bezskutecznie. Brali również pod uwagę i to, że Rydz-Śmigły może się ukrywać w Bukareszcie, wśród Polaków, których w tym czasie w rumuńskiej stolicy było jeszcze niemało.

Śledczy nie trafili na żaden ślad zbiegłego marszałka, więc Krzeczkowski został przewieziony do Bukaresztu, gdzie w siedzibie Sigurancy (rumuńskiej bezpieki) poddano go, jak sam pisze, „mniej poprawnym badaniom”. Ponieważ i te przesłuchania nie przyniosły żadnego rezultatu, Polak został przekazany tajnym służbom (Serviciul Secret), które współpracowały z niemieckim gestapo. Był to bowiem czas, gdy Rumunia przeszła oficjalnie na stronę Niemiec.

Krzeczkowski wspominał później, że „tam przystąpiono do prób wymuszenia mych zeznań gwałtem”. Według Romualda Najsarka, który uzyskał te informacje od ks. Antoniego Zapały, również przesłuchiwanego, Krzeczковского przypięto łańcuchami do ściany więziennej i bito. Major dostawał także zastrzyki, które miały go skłonić do mówienia. Z Krzeczkovskim rozmawiał też sam szef Sigurancy, książę Alexandru Ghica. Obiecał mu, że zostanie wypuszczony, jeśli powie, dokąd i pod jakim nazwiskiem uciekł Rydz-Śmigły. Polski oficer odmówił.

Pod koniec stycznia 1941 roku, czyli ponad miesiąc po rozpoczęciu śledztwa, doszło w Rumunii do krwawych rozruchów. Był to czas zaciętej walki o władzę

ŻEBY ZMYLIĆ RUMU- NÓW, NARZUCAŁ SO- BIE NA RAMIONA PELE- RYNĘ RYDZA-ŚMIGŁE- GO, NA GŁOWĘ WCI- SKAŁ JEGO KAPELUSZ I PARADOWAŁ W TYM STROJU NA TARASIE

między rządem, którego premierem był gen. Ion Antonescu a jego przeciwnikami, członkami Żelaznej Gwardii. Z tą faszystowską organizacją sympatyzował m.in. szef Sigurancy, książę Ghica. Zresztą nie tylko on. Sama Siguranca prowadziła działania operacyjne zmierzające do skompromitowania

Antonescu i odsunięcia go od władzy. Na szczęście dla Krzeczkovskiego rewoltę stłumiono.

Majora zwolniono z więzienia, a następnie przewieziono do obozu w Târgoviște. Zdecydował się wówczas napisać skargę do samego gen. Antonescu. Pisał, że jest obywatelem Polski, a więc kraju z Rumunią za przyjaźnionego, w Rumunii przebywa legalnie, ale został przez rumuńską bezpiekę potraktowany wyjątkowo brutalnie. Co ciekawe, doczekał się odpowiedzi od samego dyktatora. Antonescu – według relacji samego Krzeczkovskiego – pisał: „Nigdy nie pozwalałem sobie na podobne metody wobec cudzoziemców, lecz zarządzenia moje nie były przez Sigurancę przestrzegane. Winni zostali już aresztowani. Teraz jest Pan w dyspozycji władz niemieckich i winien udać się tam, dokąd te władze Pana skierują”.

PRZEZ WSCHÓD NA ZACHÓD

Rzeczywiście, na początku lutego Krzeczkowski został przekazany Niemcom. Władze rumuńskie dążyły do zamknięcia ostatnich obozów internowania, więc przebywający w nich Polacy, którzy nie chcieli bądź nie mogli uciec i przedrzeć się na Zachód, mieli zostać wywiezieni do Niemiec. Rumuni uzasadniali to potrzebą przyjęcia własnych uchodźców z Besarabii, zajętej w połowie roku przez Sowieców. Na początku lutego wydano Niemcom około 2 tys. osób polskiego pochodzenia, które zostały przewiezione częściowo do kraju, częściowo zaś do oflagów w zachodnich Niemczech. Wśród wywiezionych miał się znaleźć także Krzeczkowski.

W tej trudnej sytuacji dużą pomoc okazał mu ppłk Antoni Dudziński. Za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża przekazał Krzeczkovskiemu fałszywe dokumenty, przepustkę, pozwalającą na poruszanie się po kraju oraz bilet do Bukaresztu. Polak uciekł z pociągu wiozącego go do Niemiec, a następnie przyjechał do Bukaresztu. Gdy sytuacja się uspokoiła, przez Konstancę wyjechał na Bliski Wschód, gdzie dołączył do polskiego wojska. Po zakończeniu wojny Jerzy Krzeczkowski zdecydował się zostać na Zachodzie. Zmarł w Szkocji 3 stycznia 1970 roku. ■

KWARTALNIK
BELLONA

PISMO NAUKOWE
100 LAT POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ

1918-2018



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

*Nasza interpretacja –
Wasze źródła*

PIERWSZE ZAMÓWIENIE NA CZOŁGI MATILDA II ZŁOŻONO 11 CZERWCA 1938 ROKU W VULCAN FOUNDRY. PÓŹNIEJ ZLECENIA SKŁADANO W INNYCH FIRMACH. DO ZAKOŃCZENIA PRODUKCJI W SIERPNIU 1943 ROKU POWSTAŁO **2987 WOZÓW.**

TADEUSZ WRÓBEL

KRÓLOWA PUSTYNI

Matilda była jedynym brytyjskim czołgiem używanym w działaniach bojowych przez całą II wojnę światową.

**CZOŁG MATILDA NA PUSTYNI
ZACHODNIEJ W EGIPCIE
PODCZAS PATROLU, 1942 ROK**

W połowie lat trzydziestych XX wieku w Wielkiej Brytanii inspektor Królewskiego Korpusu Pancernego gen. mjr Percy Hobart przedstawił koncepcję dwóch wersji czołgu piechoty. W pierwszej z nich czołg miał być mały, ale stosunkowo silnie opancerzony i uzbrojony w karabin maszynowy. W drugiej zaś cięższy i mocniej opancerzony, a dodatkowo wyposażony jeszcze w armatę, która pozwalałaby mu niszczyć wroga artylerię. Początkowo wybrano pierwszą z wersji, gdyż była tańsza. Tak powstał Infanterny Tank Mark I Matilda, określany też jako Matilda I. Niemniej jednak brytyjscy wojskowi szybko dostrzegli, że pojazd ma zbyt małą siłę ognia i zlecieli rozpoczęcie prac nad cięższą wersją.

DRUGA MATILDA

Projekt czołgu, który otrzymał oznaczenie A12, powstał w Royal Arsenal w Woolwich. Na producenta wybrano firmę Vulcan Foundry, której w listopadzie 1936 roku zlecono wykonanie dwóch drewnianych makiet i dwóch prototypów. Pierwszą makietę dostarczono w kwietniu 1937 roku, a prototyp A12E1 rok później. Czołg nazwano początkowo Infanterny Tank Mark II Matilda Senior, a później Mark II Matilda lub Matilda II, bo w założeniach miał być tylko poprawioną wersją matildy I.

Brytyjscy wojskowi postanowili, że przedni pancerz kadłuba ma mieć do 78 mm grubości, a wieży około 75 mm. Najslabiej chronione stropy wieży i kadłuba miały 20-milimetrowe opancerzenie. Wymagania co do opancerzenia spowodowały, że czołg miał mieć masę 27 t, ponad dwa razy większą niż matilda I.

Początkowo napęd składał się z pary chłodzonych wodą silników wysokoprężnych AEC o mocy 87 KM, które stosowano w londyńskich autobusach. Potem montowa-

no w nich silniki Leylanda – wozy te określano jako Matilda II Mk III, a po wprowadzeniu następnych modyfikacji Matilda II Mk IV.

Zawieszenie matildy II wzięto z czołgu średniego Medium Mark C, który firma Vickers skonstruowała dla Japonii. Stąd też nazywano je japońskim.

W wieży czołgu, obracanej hydraulicznie lub ręcznie, postanowiono zamontować najlepszą wówczas brytyjską armatę przeciwpancerną Ordnance QF kalibru 40 mm z lufą o długości 50 kalibrów. Początkowo z armatą został sprzężony chłodzony wodą karabin maszynowy Vickers kalibru 7,7 mm. Później zamieniono go na karabin maszynowy Besa kalibru 7,92 mm, będący licencyjną wersją czechosłowackiego ZB v.37. Na wieżycz-

ce nad stanowiskiem dowódcy był uchwyt umożliwiający strzelanie do celów powietrznych z ręcznego karabinu maszynowego Bren kalibru 7,7 mm, który też był produkowany na licencji czechosłowackiej. Wieżyczka miała podwójny wjazd.

Pierwsze zamówienie na czołgi Matilda II złożono 11 czerwca 1938 roku w Vulcan Foundry. Później zlecenia składano w innych firmach. Do zakończenia produkcji w sierpniu 1943 roku powstało 2987 wozów.

POSTRACH WŁOCHÓW

Gdy 3 września 1939 roku Wielka Brytania znalazła się w stanie wojny z hitlerowskimi Niemcami, w jej wojskach lądowych były dwa czołgi Matilda II. Kolejne maszyny dostał 7 Królewski Batalion Pancerny (7 RTR). Wraz z 4 i 8 RTR tworzył on 1 Brygadę Czołgów, która weszła w skład Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych we Francji. Matildy zadebiutowały na polu walki podczas kampanii francuskiej w 1940 roku – 21 maja doszło do bitwy z udziałem 4 i 7 RTR. Do walki ruszyło 16 czołgów Matilda II, 58 Matilda I i 11 lekkich Vickers Mk VI. Początkowo matildy parły do przodu, a pociski niemieckich armat przeciwpancernych kalibru 37 mm tylko się od nich odbijały. Sytuacja zmieniła się, gdy Niemcy użyli przeciwko nim strzelających na wprost 88-milimetrowych armat przeciwlotniczych i 105-milimetrowych haubic. Pierwsze z dział mogło zniszczyć matildę z odległości około 1800 m, czyli dwukrotnie większej niż skuteczny zasięg jej armaty o kalibrze 40 mm. Na polu bitwy została większość brytyjskich czołgów. Ostatnie z matild porzucono na plażach pod Dunkierką.

Pomimo trudnej sytuacji sprzętowej armii brytyjskiej po ewakuacji z Francji i zagrożenia niemiecką inwazją na Zjednoczone Królestwo, rząd w Londynie zdecydował się wysłać odtworzony 7 RTR do Egiptu. Od 10 czerwca 1940 roku Wielka Brytania była bowiem w stanie wojny z faszystowskimi Włochami Benita Mussoliniego. Potężne liczebnie zgrupowanie jego wojsk w graniczącej z Egiptem Libii stanowiło zagrożenie dla Kanalu Sueskiego, mającego strategiczne znaczenie dla Imperium Brytyjskiego.

W końcu września 1939 roku 7 RTR z czołgami Matilda II został przerzucony do Egiptu, tuż po krótkiej i niezbyt dynamicznej ofensywie włoskiej na ten kraj. Brytyjczycy 9 grudnia 1940 roku rozpoczęli kontrofensywę. Jednym z pierwszych ich celów był obóz Nibeiwa. Atakujących indyjskich piechurów wsparły ogniem matildy. Gdy Włosi dostrzegli, że ogień ich 47-milimetrowych przeciwpancernych armat jest nieskuteczny wobec brytyjskich czołgów, próbowali strzelać do nich z armat polowych. Niebawem wśród włoskich żołnierzy w Egipcie i Libii zaczęły się szerzyć pogłoski o niezniszczalnej, strasznej matildzie. Jej pojawienie się powodowało, że



Załoga



MATILDA II

Przeszkody pionowe

0,61 m

Okopy, rowy

2,13 m

Brodzenie

0,91 m

Uzbrojenie

armata kalibru 40 mm z 93 pociskami, karabin maszynowy Besa kalibru 7,92 mm z 2925 nabojami (13 sztuk 225-nabojowych taśm metalowych)

Wysokość 2,51 m



Masa **26,9 t**

Długość 5,61 m



Szerokość 2,59 m

Napęd

2 silniki wysokoprężne AEC o mocy 87 KM lub 2 silniki wysokoprężne Leyland o mocy 95 KM

Prędkość maksymalna 25,7 km/h, prędkość w terenie 12,8 km/h

Zasięg 257 km

PK/DZIAŁ GRAFICZNY, TADEUSZ WRÓBEL

ustawał opór przeciwnika. Z tego względu po walkach w Afryce na przełomie lat 1940 i 1941 zaczęto nazywać ją królową pustyni.

Brytyjczycy, jako że zniszczyli niemal całe włoskie wojska na terenie Cyrenajki, mogli wysłać w styczniu 1941 roku pododdział matild do Afryki Wschodniej. Tam również czołg ten siał postrach wśród Włochów. Jednak na północnoafrykańskim teatrze działań pojawił się groźniejszy przeciwnik niż Włosi. Do Libii zaczęły przybywać jednostki Afrika Korps pod dowództwem gen. Erwina Rommla. Niemcy mieli nie tylko lepsze czołgi, lecz także budzące respekt armaty kalibru 88 mm. Ta ostatnia broń zadawała największe straty jednostkom matild. Podczas operacji „Battleaxe”, przeprowadzonej 15–17 czerwca 1941 roku, 4 Brygada Pancerna straciła ich ponad 60. Brytyjczycy wyciągnęli wnioski z porażki i przestali używać powolnych czołgów do natarć. Od tej pory starano się wykorzystywać je zgodnie z przeznaczeniem, czyli do wspierania piechoty. Od jesieni 1941 roku matildy zastępowano czołgami Valentine, jednak służyły one na froncie jeszcze w lipcu 1942 roku. Potem bojowo używano tylko matild przerobionych na pojazdy specjalistyczne, jak na przykład scorpion z tałami przeciwminowymi.

Poza Egiptem drugim miejscem w regionie śródziemnomorskim, do którego jesienią 1940 roku wysłano matildy, była Malta. Czołgi te broniły strategicznej wyspy do prze-

łomu lipca i sierpnia 1943 roku. Wcześniej, w maju 1941 roku, dziewięć wołów użyto w walkach na Krecie. Niemiecy spadochroniarze mieli problem z ich wyeliminowaniem. Jednak ostatecznie alianci ewakuowali resztki swych wojsk z greckiej wyspy, na której zostały porzucone czołgi.

NA ODLEGŁYCH FRONTACH

Gdy Trzecia Rzesza napadła 22 czerwca 1941 roku na Związek Sowiecki, Wielka Brytania zaczęła szybko dostarczać nowemu sojusznikowi pomoc wojskową. Partię dziesięciu matild wyładowano 11 października 1941 roku w Archangielsku. Pierwszą bitwą tych brytyjskich czołgów na froncie wschodnim była kontrofensywa Armii Czerwonej pod Moskwą. W latach 1941–1943 drogą morską do Związku Sowieckiego wysłano 1084 wozy Matilda, z których 918 dotarło do odbiorcy.

Od lipca 1942 roku matildy były dostarczane do Australii. W sumie jej armia otrzymała 409 tych czołgów, w tym około 30 przekazanych przez Nową Zelandię. Pierwszy raz użyto ich bojowo 15 listopada 1943 roku podczas walk na Nowej Gwinei. Wiosną 1945 roku matildy, w tym wersje saperskie oraz z miotaczami ognia lub haubicami kalibru 76 mm, walczyły z Japończykami na Bouganville na Wyspach Salomona. Ostatnie operacje bojowe z ich udziałem zostały przeprowadzone od 1 maja do 15 sierpnia 1945 roku podczas kampanii na Borneo.

KRZYSZTOF
KUBIAK

Radarowe fantomy



Brytyjskie siły zbrojne dzięki wprowadzeniu technicznych, opartych na wykorzystaniu radiolokacji, środków obserwacji zyskały możliwości będące wcześniej atrybutem niemal olimpijskich bogów. Radar pozwolił bowiem spoglądać dalej i widzieć ostrzej, nawet mimo mroku nocy, mgły, chmury, deszczu czy śnieżnej zadymki.

Jak wielka jest taktyczna przewaga wynikająca z owych nowych zdolności, Brytyjczycy przekonali się już podczas toczonej w powietrzu przeciw Luftwaffe bitwy o Anglię czy starć morskich z Włochami, które miały miejsce u przylądka Stilo albo pod Matapanem. Szybko okazało się jednak, że radar, dostarczający precyzyjną informację o przeciwniku, potrafi również w pewnych sytuacjach pokazywać echa pozorne, powstające w wyniku odbicia od fal morskich, strug deszczu, a niekiedy nawet od stad ptactwa. Tym samym do klasycznej „mgły wojny”, deformującej obraz zmagani orężnych obserwowanych za pomocą środków optycznych, dołączył kolejny jej rodzaj – „mgła radioelektroniczna”.

Klasycznym przykładem zdarzeń przez nią wygenerowanych może być tzw. drugi incydent w Zatoce Tonkińskiej. 2 sierpnia 1964 roku amerykański niszczyciel „Maddox” zaatakowała grupa północnowietnamskich ścigaczy torpedowych. Wietnamczycy zostali odparci, a „Maddox”, do którego dołączył niszczyciel „Turner Joy”, kontynuował rozpoznawczy patrol. Noc 4 sierpnia okazała się dla dowódców i załóg obu okrętów wyjątkowo gorąca. Na niszczycielach radary wykryły echa zbliżających się szybkich jednostek, a stacje hydroakustyczne – dźwięki generowane przez poruszające się w wodzie torpedy. Obraz był zupełnie jasny – okręty są ponownie atakowane! Do kryjącego się w mroku przeciwnika kilkakrotnie otwierano ogień. Jednakże piloci osłaniających niszczyciele samolotów niczego na powierzchni morza nie dostrzegli. Przeprowadzona nazajutrz analiza wykazała, że również nikt z członków załóg nie widział północnowietnamskich ścigaczy. Ostatecznie więc uznano, że wydarzenia z 4 sierpnia były skutkiem fałszywej interpretacji wskazań radarów i sonarów, dokonanej w warunkach silnego stresu, w którym znajdowali się oficerowie i marynarze.

Podobna sytuacja była 25 marca 1986 roku, kiedy to amerykańska marynarka toczyła potyczki z lotnictwem i flotą libijskiego dyktatora Muammara Kaddafiego na wodach zatoki Wielka Syrta. Krążownik „Ticonderoga” wykrył obiekt nawodny w odległości około 40 Mm. Wysłana w celu przechwycenia jednostki para samolotów szturmowych niczego jednak nie odnalazła. Nagle, jak wynikało ze wskazań radaru, śledzony obiekt zwiększył prędkość do około 40 w. Z krążownika „Yorktown”, działającego w parze z „Ticonderogą”, odpalono w jego kierunku, z odległości 11 Mm, dwa pociski przeciwokrętowe Harpoon. Urządzenia samonaprowadzające uchwyciły cel, a wkrótce potem operator stacji hydroakustycznej zameldował o dwóch eksplozjach. Na krążowniku uznano, że trafiono korwetę raketową typu Assad, ale wysłane w rejon zdarzenia samoloty tego nie potwierdziły, a z przeprowadzonych później analiz rozpoznawczych również wynikało, że wszystkie tego typu jednostki libijskie mają się dobrze. Niezwykle staranny przegląd zapisów z systemów kierowania walką okrętów wykazał, że w opisanym przypadku walczone z elektromagnetycznymi widmami, które istniały tylko na ekranach radarów.



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ INICJATYWY

PIOTR RASZEWSKI



Na lubelskiej uczelni powstał mały, zrotny terenowy pojazd Buggy, oparty na konstrukcji rurowej.



PIOTR RASZEWSKI

KONSTRUKTORZY Z LUBLINA

Zbudowali lekki, zintegrowany z dronem, pojazd Buggy, a od kilku miesięcy pracują nad wierną repliką trenażera czołgowego MPG-69. Studenci z Politechniki Lubelskiej liczą, że ich konstrukcjami zainteresują się siły zbrojne.

T

o jedna z najprężniej działających grup naukowych na Politechnice Lubelskiej. Koło Naukowe Inżynierii Materiałowej ma na swoim koncie kilka ciekawych konstrukcji. Studenci pod okiem dr. inż. Leszka Gardyńskiego zbudowali m.in. kosiarkę gąsienicową i samochód Cetan,

który zajął drugie miejsce w prestiżowym konkursie Shell Eco-marathon. Od pewnego czasu młodzi konstruktorzy skierowali swoje zainteresowania na pojazdy wojskowe. W efekcie na lubelskiej uczelni powstał mały, zwrotny terenowy pojazd Buggy, oparty na konstrukcji rurowej, z gładką podłogą i dużym prześwitem od podłoża.

„Na początku miał być przeznaczony dla rolników, leśników i myśliwych. Później stwierdziliśmy, że mógłby służyć również wojsku”, wyjaśnia dr inż. Leszek Gardyński, opiekun Koła Naukowego Inżynierii Materiałowej Politechniki Lubelskiej. Studenci już wcześniej założyli, że pojazd będzie można produkować w różnych wersjach, dla konkretnej liczby osób i z możliwością zainstalowania różnego rodzaju broni. Dostosowali również konstrukcję do integracji z bezzałogowymi statkami powietrznymi. „Chcemy, żeby nie tylko dron z niej startował, lecz także by pojazd można było wykorzystać jako maszt. Wówczas byłaby między nimi utrzymana łączność. Wadą bezzałogowych statków powietrznych jest bowiem ograniczony czas ich użycia”, przyznaje dr Gardyński.

Niecodzienną konstrukcję naukowcy prezentowali m.in. na Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego w Kielcach czy podczas ubiegłorocznych ćwiczeń „Dragon '17”. Wtedy ich propozycją zainteresowały się miejscowe Wojskowe Zakłady Inżynieryjne. „Buggy wpisuje się w asortyment projektów rozwo-

jowych WZI, w których spółka widzi potencjał produkcyjny oraz technologiczny. Projekt może zaspokoić także logistyczne potrzeby Wojska Polskiego, a zwłaszcza wojsk obrony terytorialnej, które muszą mieć możliwość szybkiego i niezawodnego przemieszczania się w różnym terenie”, mówi Andrzej Łysakowski, prezes zarządu Wojskowych Zakładów Inżynieryjnych, i dodaje: „W projekcie »Buggy« możemy wziąć na siebie produkcję pojazdu oraz służyć pomocą w dziedzinie technologii”.

ŻYWA LEKCJA

Młodzi konstruktorzy pracują również nad odbudową тренаżera czołgowego MPG-69. W latach siedemdziesiątych szkolili się na nim polscy czołgiści. Wyprodukowano niespełna 200 sztuk tych urządzeń. Wówczas taki sprzęt był w każdej jednostce pancerniej w Polsce i dzięki tej konstrukcji proces szkolenia czołgistów stał się znacznie łatwiejszy. „To były lata, gdy wiele rzeczy było tajnych. Nie było zatem dostępu do informacji o tym, co dokładnie dzieje się w jednostkach. Wiadomo jednak, że wojsko liczyło ponad 400 tys. żołnierzy, a jednostek pancernych było kilkakrotnie więcej niż teraz. W każdej z nich znajdowały się trzy, cztery takie тренаżery”, mówi płk inż. Zbigniew Węglarz, pomysłodawca i konstruktor ćwiczebnego pojazdu, i dodaje, że wojsko przez pierwszych kilka lat dzięki тренаżerom zaoszczędziło ogromne kwoty: „Kilometr jazdy czołgiem kosztował wtedy około 300 zł, a тренаżerem zaledwie 12 zł. Dzięki temu resort oszczędził 15 mln zł”, wspomina pułkownik.

MPG-69 rozwiązał też problem z kosztownymi błędami niedoświadczonych kierowców. „Podczas szkolenia w czołgach nagminne były przypadki spalonych sprzęgów, a ich wymiana wiązała się z wyciągnięciem całego



Płk inż. Zbigniew Węglarz: „Mam nadzieję, że jeszcze w tym roku będę mógł się przejechać тренаżerem. Mam przecież dopiero 95 lat”.



PIOTR RASZEWSKI

MARZY NAM SIĘ, BY W DOBIE NAPĘDÓW ELEKTRONICZNYCH STWORZYĆ UNIWERSALNĄ KONSTRUKCJĘ. JEDEN TRENAŻER MÓGŁBY SŁUŻYĆ DO NAUKI JAZDY NA KILKU POJAZDACH



Dr inż. Leszek
Gardyński

silnika, co było bardzo kosztowne i czasochłonne”, wyjaśnia konstruktor, który dziś... pomaga studentom w odbudowie niezwyklej konstrukcji. „Mam nadzieję, że jeszcze w tym roku będę mógł się przejechać trenażerem. Mam przecież dopiero 95 lat”, uśmiecha się płk inż. Węglarz. Z kolei dr inż. Leszek Gardyński zdradza: „Budowa repliki trenażera to realizacja naszych inżynierskich, ale też wojskowych pasji. Nie ukrywamy jednak, że rekonstruując ten nietypowy pojazd, chcemy także wyrazić szacunek dla płk. Węglarza, który wspiera nas od lat”.

Studenci odbudowę nietypowej konstrukcji rozpoczęli w czerwcu 2017 roku. Kłopoty pojawiły się już na początku, gdy zaczęli gromadzić dokumentację techniczną. W internecie dostępnych było zaledwie kilka krótkich opisów. Na kolejne wskazówki trafili w archiwalnych numerach „Żołnierza Polskiego”. Z pomocą przyszedł też płk Węglarz, który udostępnił prywatną dokumentację zdjęciową. Na jej podstawie rozpoczęły się żmudne poszukiwania oryginalnych części.

„Cały projekt od początku traktowaliśmy jak żywą lekcję mechaniki i inżynierii. Przy takiej konstrukcji można nie tylko zobaczyć, jak przez lata zmieniała się technika, lecz także nauczyć się obrabiać, konserwować, czyścić i składać konkretne elementy, które już dziś nie są powszechnie używane”, mówi Kornel Jaruga, jeden ze studentów pracujących przy odbudowie urządzenia. „Oczywiście, gdy porównujemy współczesne pojazdy wojskowe do naszego trenażera, to zdajemy sobie sprawę, że dzielą je dwie epoki motoryzacji, ale jest to tym bardziej ciekawe doświadczenie”, dodaje inny student, Radosław Piątek.

Pasjonatom udało się dotrzeć m.in. do byłego pracownika wytwórni filmów fabularnych, który na planach filmowych odpowiadał za przygotowanie samochodów. Okazało się, że filmowcy również korzystali z wojskowych trenażerów, a jeden taki sprzęt od 30 lat leżał w częściach na jego działce. „Rama była pocięta na kilkanaście kawałków. Jeden bok został zabetonowany w ziemi i służył... jako maszt do anteny. Odkopaliśmy wszystko i dzięki temu mogliśmy odtworzyć oryginalny





ARCH. Z. WĘGLARZA



PIOTR RASZEWSKI

Płk inż. Zbigniew Węglarz, pomysłodawca i konstruktor trenera czołgu, wspiera studentów przy rekonstrukcji tego sprzętu.

TRENAŻER CZOŁGOWY MPG-69

Jest to konstrukcja z 1969 roku. W Wyższej Oficerskiej Szkole Samochodowej w Pile zbudowano pięć egzemplarzy. Rok później w 2 Centralnej Bazie Rezerw Wozów Bojowych i Specjalnych w Braniewie rozpoczęła się produkcja seryjna. W latach 1970–1974 powstało niemal 200 egzemplarzy MPG-69, które trafiły do wszystkich jednostek pancernych w całym kraju.

Trenażer służył do nauki jazdy czołgami T-54 i T-55. Miał wbudowany czterdziestokonny silnik z syreny 104, dwadzieścia umieszczonych bliźniaczo kół i osiągał maksymalną prędkość 35 km/h. Przedział kierowcy wyposażony był w oryginalne przyrządy kierowania – dźwignie, pedały i wskaźniki – z czołgu T-54. Z prawej strony było miejsce dla instruktora.

Pojazd miał brezentowe nadwozie, w którym znajdował się wąż o wymiarach identycznych jak w czołgu, a na podwoziu zostały zainstalowane dwa peryskopy czołgowe. Kierowca mógł przemieszczać się bez nadwozia, co zapewniało mu pełną widoczność, lub jechać z nałożonym nadwoziem, podniesionym siodełkiem i głową wysuniętą przez luk. Możliwa była również jazda tylko z wykorzystaniem peryskopów. ■

szkielet”, mówi Radosław Piątek. Studenci dostali od byłego filmowca również część kół i fragmenty gąsienic.

Po kilku miesiącach intensywnej pracy pojazd stoi już na kołach, a konstrukcja co chwilę uzupełniana jest o kolejne elementy, które docierają od pasjonatów z całej Polski. „Staramy się ją odbudowywać wyłącznie z oryginalnych części. Za wszelką cenę unikamy współczesnych odpowiedników. Teraz kompletujemy już układ napędowy i przygotowujemy gąsienice. Musimy połączyć jeszcze wszystkie układy, a później przejdziemy do pierwszych jazd – najpierw bez obładowania podwozia, aby mieć możliwość ewentualnych poprawek”, mówi dr Gardyński.

UNIwersalna Maszyna

Konstruktorzy wciąż jednak liczą na pomoc innych pasjonatów, którzy mają w swoich kolekcjach unikatowe części. Zastanawiają się również, jak ich pojazd

mógłby być wykorzystywany w przyszłości. „Oczywiście nie ma mowy o tym, by go używać w obecnej wersji. Prowadzimy jednak luźne rozmowy z instytucjami wojskowymi, które sugerują nam, by opracować trenażer do współcześnie używanych pojazdów. Kiedyś czołgi radzieckie paliły po 400 l paliwa, a dzisiejszy leopard potrafi zużyć go jeszcze więcej”, przyznaje dr Gardyński i dodaje: „Marzy się nam, by w dobie elektroniki i napędów elektronicznych stworzyć uniwersalną konstrukcję. Jeden trenażer mógłby służyć do nauki jazdy na kilku pojazdach, odtwarzać kilka rodzajów układów napędowych. Transmisja byłaby elektryczna, a sterownik można by przestawiać w ten sposób, by raz jechać pojazdem kołowym, a za chwilę gąsienicowym. Przecież żaden symulator czy szafa, w której siedzi się przed komputerem, nie zastąpi takiego trenażera”, argumentuje opiekun koła naukowego Politechniki Lubelskiej. ■

Odkrycie na Rakowieckiej

Zostały odnalezione części szubienicy, na której stracono „Nila”.

Na konstrukcję natrafiono w dawnym areszcie śledczym na warszawskim Mokotowie, gdzie powstaje Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL. Pracownicy placówki, analizując materiały archiwalne, w tym filmy udostępnione przez TVP, odnaleźli w nich wypowiedź Władysława Bartoszewskiego, byłego więźnia

aresztu w okresie stalinowskim. Pomogła im ona zlokalizować ukryte części szubienicy, na której stracono **gen. Augusta Fieldorfa „Nila”**. W zabetonowanym dole, który służył jako zapadnia podczas egzekucji, odkryto bloczki z liną, kołowrót do jej podciągania oraz zapadnię. Części zostały zasypane gruzem i zalane betonem, a podłoga pokryta wykładziną. Potem w tym miejscu zorganizowano siłownię. AD ■

aresztu w okresie stalinowskim. Pomogła im ona zlokalizować ukryte części szubienicy, na której stracono **gen. Augusta Fieldorfa „Nila”**. W zabetonowanym dole, który służył jako zapadnia podczas egzekucji, odkryto bloczki z liną, kołowrót do jej podciągania oraz zapadnię. Części zostały zasypane gruzem i zalane betonem, a podłoga pokryta wykładziną. Potem w tym miejscu zorganizowano siłownię. AD ■

ZABYTKI NA WESTERPLATTE

Podsumowano drugi sezon badań terenu byłej składnicy wojskowej.

Prace archeologiczne na terenie dawnej Wojskowej Składnicy Tranzytowej są prowadzone od 2016 roku przez Muzeum Westerplatte i Wojny 1939, oddział Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Przebadano już ponad 12 tys. m² pierwotnej powierzchni składnicy. Działaniami objęto w 2017 roku otoczenie wartowni nr 5 oraz obszar, na którym istniały stare koszary i budynki administracyjny. Odkryto m.in. ponad 700 guzików żołnierskich, magazynki do ręcznych karabinów maszynowych wz. 1928 Browning, polską wojskową menażkę, łyżkę z niezbędnika, fragmenty porcelany używanej w kasynie oficerskiej oraz przedmioty osobiste, w tym zegarek, krzyżki i szkaplerze. W tym roku badania obejmą teren, na którym w XIX wieku powstał pierwszy budynek kuracyjny przekształcony potem na kasyno podoficerskie. AD ■



NA TERENIE STAREJ SKŁADNICY NA WESTERPLATTE badacze odkryli guziki od mundurów żołnierskich i polskie monety różnych nominałów.



Poznańskie pojazdy

Od kolekcjonera z Gostynia poznańskie Muzeum Broni Pancernej kupiło niemiecki niszczyciel czołgów Jagdpanzer 38 t z 1945 roku i amerykański pojazd kołowo-gąsienicowy Half Track M4A1. Nowym eksponatem jest też replika samochodu pancernego Austin-Putiłow „Poznańczyk”. Oryginał został zdobyty w 1920 roku przez żołnierzy 14 Wielkopolskiej Dywizji Piechoty. Był to

pierwszy pojazd Wielkopolskiego Plutonu Samochodów Pancernych, a replikę wykonał Waldemar Banaszyński z Wolsztyna. Maszyny będzie można oglądać w nowej siedzibie muzeum przy poznańskim lotnisku Ławica. Placówka zostanie otwarta w grudniu tego roku, w 100. rocznicę wybuchu powstania wielkopolskiego, jako oddział Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. AD ■

K A P I T A N M A R C I N S O C H O Ń

#RycerzeBiałoCzerwonej

Jako oficer Wojska Polskiego kształtuje kolejne pokolenia żołnierzy, przekazuje im szacunek do historii. Działa społecznie i przywraca pamięć o bohaterach naszej ojczyzny. Swoją działalnością zasługuje na miano rycerza biało-czerwonej.

My też możemy do nich dołączyć!

PRZYWRACAMY BOHATERÓW OJCZYŹNIE

Z Marcinem Sochoń

**o szukaniu grobów bezimiennych żołnierzy, świadkach historii
i edukacji młodego pokolenia rozmawia Jacek Matuszak.**

Dlaczego został Pan żołnierzem zawodowym?

Często ludzie mówią, że o ich wyborze zdecydowała rodzinna tradycja. W moim wypadku rzeczywiście tak było, bo na wakacje zawsze jeździłem do jednostki wojskowej. Można żartobliwie powiedzieć, że wojsko wyssałem z mlekiem matki i zawsze było obecne w moim życiu. Później, gdy zacząłem pracę w cywilu, czegoś mi brakowało. Dlatego zdecydowałem zrealizować postanowienie z młodości i wstąpiłem do wojska.

A jak trafił Pan do Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu?

To była dość długa droga. Wkroczyłem na nią w Szkole Podchorążych Rezerwy przy WSO im. Józefa Bema w Toruniu, czyli w artylerii. Zawodową służbę rozpocząłem w 1 Warszawskiej Brygadzie Pancernej w Wesolej, kontynuowałem w 11 Pułku Artylerii w Węgorzewie, 2 Ośrodku Radioelektronicznym w Przasnyszu i na koniec trafiłem do Zegrza. Zaczynałem od podoficera – SPR skończyłem jako plutonowy podchorąży – plutonowego, a dziś jestem kapitanem.

WIZYTÓWKA

KPT. MARCIN SOCHOŃ

Jest oficerem sekcji wychowawczej Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu, uczestnikiem misji w Afganistanie, wiceprezesem Stowarzyszenia „Wizna 1939”, dowódcą Jednostki Strzeleckiej 1939. ■

Jak służy się w garnizonie z taką tradycją jak Zegrze? Od blisko stu lat jest to kolebka polskich łącznościowców. Czy na co dzień czuje się tę historię w tym miejscu?

W przyszłym roku wypadnie jubileusz stulecia Zegrza jako matecznika łącznościowców. Dobrze służy się w takiej jednostce. Przede wszystkim jest tam o czym opowiadać, co ma znaczenie zwłaszcza dla oficera wychowawczego. Można podeprzeć swoją opowieść wspomnieniem wydarzeń, które działy się w konkretnym miejscu. Można odnieść się do takich ludzi jak kpt. Konstanty Mikołaj Radziwiłł (1902–1944), pośmiertnie awansowany na majora. Został zamordowany na terenie zegrzyńskich koszar prawdopodobnie przez niemiecką żandarmerię. Dokładnie w tym miejscu, z inicjatywy komendanta Centrum płk. Ireneusza Fury, postawiono pomnik poświęcony oficerowi. Powstał tam także mural, który przypomina mjr. Radziwiłła i jego żołnierzy.

Czy w Pańskiej służbie, ale także życiu codziennym, historia odgrywa ważną rolę?

Historia jest niezbędnym elementem służby każdego żołnierza. Dla mnie jest bardzo ważna i staram się to przekazać żołnierzom służby przygotowawczej oraz kolegom w jednostce. Musimy wiedzieć, skąd



się wywodzi, bo dopiero wówczas będziemy rozumieć, w jakim kierunku zmierzamy. Na różnych spotkaniach historycznych żołnierze zresztą często mówią, że jest ona potrzebna i stanowi element nie tylko etosu żołnierza zawodowego, lecz także samej służby i kształcenia obywatelskiego jako takiego.

A jak zaczęła się Pana przygoda z historią?

Ta przygoda, zwłaszcza kontakt z żywą historią, czyli badaniami terenowymi i poszukiwaniami, zaczęła się od ekshumacji kpt. Władysława Raginisa nad Wizną. Kiedy dowiedziałem się, że z pasa drogowego prowadzącego z Wizny w stronę Białegostoku jedno ze stowarzyszeń chce ekshumować bohaterów, bardzo mnie to zaintrygowało. Stwierdziłem, że nic nie żyrzykuję, jeśli zadzwonię do prezesa tego stowarzyszenia i poproszę go, bym mógł wziąć w tym udział.

Skoro o tym mowa... W tym roku wypada dziesięciolecie działalności Stowarzyszenia „Wizna 1939”, którego jest Pan wiceprezesem. Skąd pomysł, żeby się w to włączyć i dlaczego wybór padł akurat na to stowarzyszenie?

Zafascynowała mnie historia związana z bohaterską obroną Wizny we wrześniu 1939 roku. Niestety, muszę przyznać, że ma to związek ze szwedzkim zespołem Sabaton. W szkole o tym wydarzeniu nie słyszałem. Utwór „40 do 1”, opowiadający o obronie Wizny przez żołnierzy kpt. Raginisa, wskazał mi kierunek zainteresowań. Przede wszystkim jednak zaimponowała mi postawa tego oficera, który stwierdził, że postawione przed nim zadanie wykona do końca albo polegnie. Nie była to decyzja wywołana lekturą powieści Henryka Sienkiewicza, jak niektórzy twierdzą, moim zdaniem kierował nim pragmatyzm. Żołnierze, którymi oficer dowodził, w większości byli z poboru, więc gdy dowódcy złożyli deklarację, że zostaną na posterunku do swojego końca, podwładnym było łatwiej walczyć.

Po ekshumacji kpt. Raginisa, która zrobiła na mnie bardzo duże wrażenie, stwierdziłem, że może należałoby zrobić dużo więcej, zostać w Stowarzyszeniu i próbować działać w kierunku przypomnienia czy popularyzacji historii odcinka Wizna. Tym bardziej że, chociaż dysponujemy sporą ilością materiałów, to niewiele wiemy o tym, jak dokładnie przebiegała tam obrona. Badaliśmy rejon Wizny, a później – także pod wpływem Adama Sikorskiego i jego programu „Było... nie minęło. Kronika zwiadowców historii”, który zapraszał nas na swoje wyprawy – poszerzyliśmy zakres naszych zainteresowań. Chociaż nazywamy się Stowarzyszenie „Wizna 1939”, zaczęliśmy się zajmować różnymi wydarzeniami historycznymi. Pra-

cowaliśmy m.in. na terenie Reduty Ordona, poszukiwaliśmy srebrnej głowy byka pod Radymnem, szczątków żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza na dawnych Kresach II RP, miejsc upadku polskich samolotów z 1939 roku, kilku miejsc związanych z powstaniem styczniowym. Prowadziliśmy prace także w Komorowie, na terenie dawnej Szkoły Podchorążych Piechoty [obecnie teren 22 Wojskowego Ośrodka Kartograficznego], oraz w miejscach spoczynku żołnierzy Września i poległych podczas całej II wojny światowej.

Czy trudno było doprowadzić do pośmiertnego awansu kpt. Władysława Raginisa?

Nie było to trudne. Po prostu złożyliśmy wymagane wnioski, dzięki czemu Władysław Raginis został pośmiertnie awansowany na majora. Z kolei na kapitana awansowano por. Stanisława Brykalskiego, nieco zapomnianą postać, dowódcę artylerii odcinka Wizna. Poległ, walcząc do końca u boku dowódcy odcinka Wizna i kierując ogniem artylerii.

Odnalezienie miejsca spoczynku kpt. Raginisa było naprawdę dużym wydarzeniem. Teraz Stowarzyszenie stara się ustalić, gdzie jest pogrzebany inny legendarny żołnierz Września, mjr Henryk Dobrzański-Hubał.

Te prace odbywają się pod kierunkiem prezesa naszego Stowarzyszenia Dariusza Szymanowskiego, który swoje dotychczasowe ustalenia zawarł w książce „Gdzie spoczywa Hubał?”. Włącza się w te poszukiwania całe nasze Stowarzyszenie. Chcę jednak podkreślić, że prezes wykonał również tytaniczną pracę, przekopując się przez różne archiwa. Zestawił relacje osób z dokumentami i powoli, krok po kroku, odkrywa prawdopodobne miejsce spoczynku Hubała. W przywołanej książce zebrano wszystkie dotychczasowe ustalenia, połączono w niej trzy ważne elementy: relacje ludzi, głębokie i wszechstronne analizy archiwów oraz wyniki badań terenowych. To one pokazują, co tak naprawdę wydarzyło się w rzeczywistości i potwierdzają lub weryfikują zapisy dokumentów i ustnych świadectw. Nie poznamy prawdy, jeśli nie dotkniemy miejsc, w których rozgrywała się historia.

Z książki możemy się dowiedzieć, że ostateczne miejsce spoczynku Hubała mają potwierdzić badania DNA odkrytych przez Was szczątków. Kiedy można się spodziewać wyników?

Problem polega na tym, że znaleźliśmy kości należące do kilku osób. Ich badania przeprowadza dr Andrzej Ossowski z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie w taki sposób, by rozwiązać wszelkie wątpliwości. Oznacza to jednak, że na wyniki trzeba będzie jesz-



BRAMA GŁÓWNA do koszar 4 Kompanii KOP „Sarny” na dawnych Kresach II RP (obecnie teren Ukrainy). Miejsce odnalezione i przebadane przez Stowarzyszenie „Wizna 1939”

ARCHIWUM M. MARCINA SOCHONIA

cze poczekać. Ale myślę, że po tylu latach warto poczekać jeszcze kilka miesięcy, by ostatecznie przekonać się, czy udało się nam znaleźć miejsce spoczynku mjr. Henryka Dobrzańskiego. Ja wierzę, że odnaleźliśmy legendarnego Hubala. Jeśli jednak to się nie potwierdzi, będziemy kontynuować prace, bo miejsce, w którym prowadziliśmy ostatnie poszukiwania, najprawdopodobniej jest tym właściwym. Na to wskazuje zestawienie ustnych relacji z dostępnymi dokumentami.



Ekshumacja
kpt. Władysława
Raginis'a zrobiła
na kpt. Marcinie
Sochoniu na tyle
duże wrażenie, że
postanowił on zacząć działać, skupił się na popularyzowaniu wiedzy na temat odcinka Wizna.

Dlaczego podjęliście próbę odnalezienia ciała Hubala?

W poszukiwaniach takich jak te, które prowadzi nasze Stowarzyszenie, najważniejsi są bohaterowie. Hubal był właśnie jednym z nich. Dla niektórych to postać kontrowersyjna, ale stwierdziliśmy, że należy wyjaśnić, gdzie spoczywają jego szczątki. Mamy nadzieję, że nam się to uda. Byliśmy także obecni na Westerplatte. Próbujemy wyjaśniać historie, które pozostają nieodkryte. Tak naprawdę staramy się przywrócić twarz zapomnianym często bohaterom. Przykładem jest ostatnia ekshumacja w gminie Andrzejewo, gdzie znaleźliśmy dziesięciu polskich żołnierzy z wojny 1920 roku, ochotników 201 Pułku Piechoty. Im również postaramy się przywrócić tożsamość, choć na razie nie znamy

ich nazwisk. Chcemy, aby ludzie poznali historię tych ochotników, wśród których byli też małoletni. Antropolog stwierdził, że najmłodszy z nich mógł mieć od 14 do 17 lat, większość była między 17. a 25. rokiem życia, tylko jeden był starszy. To pokazuje, że byli oni zwykłymi ludźmi, a nie wyszkolonymi żołnierzami. Po prostu w potrzebie chwili stanęli do walki przeciw wrogowi. Zderzyli się z hordami bolszewików, mordercami, o czym świadczy fakt, że spośród wykopanych szkieletów tylko przy jednym była głowa. Dziś trudno powiedzieć, czy pozostali stracili je już po śmierci, czy w ten sposób zostali zabici. Najbardziej przeraziło mnie jednak to, że nie wszystkie głowy znalazły się w mogile. Poza tym na wyobraźnię działa wiek tych ochotników. Byli niedostatecznie wyszkoleni i nieprzygotowani do walki, ale mieli wielkie serce i gotowość poniesienia największej ofiary. To pokazuje, że czas po odzyskaniu niepodległości był wspaniały dla społeczeństwa, bazującego na wspomnieniu państwa, którego nie pamiętano. Mimo to zdołano stworzyć nowy kraj, którego obywatele jednoczyli się w chwili próby.

Świadkowie historii, których odnajdujecie, cieszą się z Waszej obecności. A jak na działalność Stowarzyszenia reaguje młodzież?

Spotykamy się ze zrozumieniem zarówno u najstarszych, jak i najmłodszych. Przy Stowarzyszeniu powstała Jednostka Strzelecka 1939 im. kpt. Stanisława Brykalskiego [Związek Strzelecki „Strzelec” Józefa Piłsudskiego], do której należy młodzież. Członkowie tej jednostki jeżdżą na poszukiwania i pomagają nam w pracy. Kilkakrotnie zabieraliśmy ze sobą także żołnierzy służby przygotowawczej z zegrzyńskiego Centrum, którzy mocno angażowali się w poszukiwania. Widać więc, że taki przekaz trafia do najmłodszego pokolenia. Trzeba tylko odejść od tradycyjnego uczenia historii i opowiadać o niej w plenerze, żeby mieć szansę na zetknięcie się z tym, o czym młodzi ludzie dotąd tylko czytali lub słyszeli. Obcowanie ze świadkami historii i miejscami, w których się ona rozgrywała, to najlepszy sposób na to, by przyciągnąć nowe pokolenie i rozbudzić jego ciekawość. Edukacja to jeden z powodów, dla których nasze Stowarzyszenie prowadzi działalność. ■

ANNA DĄBROWSKA

Uzbecka tułaczka

Pochowano tu żołnierzy armii Andersa, którzy zmarli z wycieńczenia lub chorób.

Po agresji Niemiec na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku i podpisaniu układu Sikorski–Majski możliwe stało się formowanie polskiej armii w ZSRR. Sowieci ogłosili amnestię dla Polaków uwięzionych i deportowanych w głąb Związku Radzieckiego po 1939 roku. Uwolnieni Polacy wstępowali do polskiego wojska tworzącego się pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Przy jednostkach skupiały się też tysiące cywilów – polskich rodzin zesłanych do ZSRR, którzy podążyli za formującą się armią.

ZDZIESIĄTKOWANE SZEREGI

Polskie wojsko powstawało m.in. w Buzułuku i Tockoje w Rosji, jednak na początku 1942 roku żołnierzy przeniesiono do azjatyckich republik ZSRR: Uzbeckiej, Kazachskiej i Kirgiskiej. Większość rozmieszczono na terenie Uzbekistanu, m.in. sztab armii ulokowano w Jangi-Jul koło Taszkientu, z kolei Centrum Wyszczolenia Armii, pułki saperów i łączności oraz Szkołę Junaków – w okolicach Olmazor.

Wszędzie panowały ciężkie warunki, a niewielkimi racjami żywności żołnierze dzielili się z głodującymi cywilami. Epidemie czerwonki, żółtaczk, tyfusu, dyzenterii i malarii dziesiątkowały szeregi osłabionych Polaków, którzy nie przetrwali trudów tułaczki i umierali z wycieńczenia oraz chorób. Od lutego do końca sierpnia 1942 roku zmarło ponad 3100 żołnierzy. Chowano ich na zakładanych przy jednostkach cmentarzach wojskowych lub w wydzielonych sektorach nekropolii komunalnych. Brakuje danych odnośnie do liczby zmarłych cywilów. Liczbę tę historycy oceniają nawet na 10 tys.

Największy polski cmentarz wojenny w Uzbekistanie powstał w Guzar, przy drodze łączącej miasto z Samarandą. Guzar było jednym z miejsc, gdzie tworzyła się armia gen. Andersa. Ulokowano tam Ośrodek Organizacyjny Armii, Ośrodek Zapasowy Pomocniczej Służby Kobiet,

szpital polowy oraz główny obóz kwarantanny tyfusowej. Niedaleko, w miejscowości Batasz znajdowały się Szkoła Młodszych Ochotniczek oraz sierociniec dla polskich dzieci. Miejsce pochówku na polskim cmentarzu znalazło około 700 osób, przede wszystkim żołnierzy z powstających w tym rejonie jednostek, a także dzieci.

W marcu i sierpniu 1942 roku gen. Anders, za zgodą władz ZSRR, ewakuował armię do Iranu. Ze Związku Radzieckiego wydostało się ponad 116 tys. osób, w tym przeszło 78 tys. żołnierzy. Po Polakach pozostały cmentarze, w większości zapomniane, które powoli niszczały. Na szczęście ten w Guzar, mimo nieprzychylnego stosunku

władz radzieckich, ocalał w dobrym stanie. Teren był ogrodzony płotem i otoczony opieką przez miejscową ludność. W 1980 roku ustawiono na nekropolii obelisk z marmurową tablicą i wyrytą na niej radziecką gwiazdą oraz napisem po rosyjsku „1941–1945. Pamięci zmarłych polskich przyjaciół w latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej”. Od 1989 roku

cmentarz zaczęły odwiedzać pierwsze osoby z Polski pielgrzymujące na groby bliskich. Jednak dopiero po zmianach politycznych, w tym uzyskaniu w 1991 roku niepodległości przez Uzbekistan, strona polska mogła zająć się renowacją grobów. Pierwsza delegacja przedstawicieli Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Moskwie oraz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, kierowanej wówczas przez Andrzeja Przewoźnika, odwiedziła cmentarz w 1994 roku. Sprawdzano także stan innych polskich nekropolii w Uzbekistanie.

Dzięki podpisaniu w 1995 roku między Polską i Uzbekistanem umowy o wzajemnej ochronie miejsc spoczynku oraz pamięci ofiar wojny i represji Uzbecy współpracują z polskimi władzami w upamiętnianiu miejsc spoczynku Polaków. Prace nad renowacją cmentarzy ułatwiło także otwarcie dwa lata później w stolicy kraju Taszkencie polskiej ambasady.

**OD LUTEGO DO KOŃCA
SIERPNI 1942 ROKU
ZMARŁO PONAD 3100
ŻOŁNIERZY TWORZĄCEJ
SIĘ ARMII POLSKIEJ
NA WSCHODZIE**



GRZEGORZ ROGINSKI

W 1998 roku władze wilajetu kaszkadaryjskiego postawiły na terenie nekropolii w Guzar pomnik z napisami w językach uzbeckim i angielskim: „Pochowani są tu Polscy Przyjaciele”. W tym samym roku władze uzbeckie odnowiły, wyremontowały i ogrodziły cmentarze w Jakkabag, Szachrisabz i Kitab.



Elementem charakterystycznym polskich cmentarzy wojennych w Azji Środkowej jest obelisk w kształcie milowego słupa.

MIŁOWE SŁUPY

Trzy lata później z inicjatywy ROPWiM rozpoczęto prace nad odbudową, remontem i porządkowaniem polskich cmentarzy na szlaku armii gen. Andersa. Postanowiono wszystkim nekropoliom nadać podobny charakter, aby podkreślić taki sam los zmarłych w Uzbekista-

nie Polaków. Projekt cmentarzy opracował architekt Jarosław Skrzypczyk, a wykonawcami były polskie firmy.

Elementem charakterystycznym polskich cmentarzy wojennych w Azji Środkowej jest stojący w centralnym punkcie granitowy obelisk w kształcie milowego słupa, symbolizującego wojenną tułaczkę, zwieńczony płaskorzeźbą polskiego orła w koronie. Głównym projektantem pomników był rzeźbiarz Marek Moderau.

W Guzar na obelisku wyryto napis: „Tu spoczywają Polacy, 663 żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie gen. Władysława Andersa i osoby cywilne, byli jeńcy, więźniowie sowieckich łagrów, zmarli w 1942 roku w drodze do Ojczyzny”. Wzdłuż ścieżki wiodącej od wejścia do pomnika umieszczono tablice z nazwiskami zmarłych, których dane udało się ustalić. Groby ułożono w kilkudziesięciu równoległych rzędach, a na ich końcach ustawiono betonowe płyty z reliefem krzyża. Remontując cmentarze, Rada zachowała ich oryginalne elementy, np. ogrodzenie w Guzar. Odnajdywanie i odbudowywanie polskich nekropolii było możliwe dzięki pracy ROPWiM, wsparciu władz Uzbekistanu oraz informacjom uzyskanym od starszego pokolenia Uzbeków, które pomogło ustalić miejsca pochówku Polaków. W latach 2001–2010 wyremontowano 20 polskich cmentarzy wojennych w Uzbekistanie. Oprócz Guzar największe to: Karmana stacja (spoczywa tam 444 rodaków), Kanimech (337), Szachrisabz (256), Kitab oraz Karmana miasto (po 207).

Nekropolię w Guzar otwarto 14 stycznia 2007 roku. Uroczystość rozpoczęło nabożeństwo w polskim kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa w centrum Taszkientu i modlitwa za Polaków spoczywających na uzbeckiej ziemi. Odślonięto też obok kościoła obelisk upamiętniający naszych rodaków, żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie i osoby cywilne zmarłe w tym kraju w 1942 roku. Polski cmentarz poświęcił gen. Tadeusz Płoski, biskup połowy Wojska Polskiego, oraz ks. bp Jerzy Maculewicz, administrator apostolski w Uzbekistanie.

Pięć lat później, z okazji 70. rocznicy wyjścia ze Związku Radzieckiego armii gen. Andersa, polska delegacja odwiedziła ponownie Uzbekistan. Podkreślano wówczas, że Uzbeki, mimo że podczas wojny sami nie byli w łatwej sytuacji, życzliwie podejmowali ludność polską. ■

Jego Ekscelencji Księdzu Biskupowi
Józefowi Guzdkowi,
 ordynariuszowi polowemu Wojska Polskiego,
 wyrazy głębokiego współczucia i żalu
 w związku ze śmiercią

Matki

śp. Zofii Guzdek

składają szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego
 generał broni Leszek Surawski
 oraz żołnierze i pracownicy SGWP.

Biskupowi Polowemu Wojska Polskiego
gen. bryg. Józefowi Guzdkowi
 wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
 z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, żołnierze
 oraz pracownicy resortu obrony narodowej
 1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

Wyrazy głębokiego współczucia
 i szczerze kondolencje
Biskupowi gen. bryg. dr. Józefowi Guzdkowi,
 biskupowi polowemu Wojska Polskiego,
 z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze, pracownicy RON
 34 Chojnickiego Batalionu Radiotechnicznego
 oraz kapelan Garnizonu Czarne.

Ks. gen. bryg. Józefowi Guzdkowi,
 Biskupowi Polowemu Wojska Polskiego,
oraz Jego Najbliższym
 wyrazy głębokiego współczucia i szczerze
 kondolencje z powodu śmierci

Matki

składają komendant, żołnierze i pracownicy
 3 Regionalnej Bazy Logistycznej
 w Krakowie.

Wyrazy głębokiego współczucia
 z powodu śmierci
Matki
 Jego Ekscelencji Biskupowi Polowemu WP
Józefowi Guzdkowi
 składa dowódca wojsk obrony terytorialnej.

Wyrazy żalu i głębokiego współczucia
 z powodu śmierci

Matki

Jego Ekscelencji Księdzu Biskupowi
Józefowi Guzdkowi,
 ordynariuszowi polowemu
 Wojska Polskiego,
 składają dyrektor i pracownicy
 Zakładu Inwestycji Organizacji Traktatu
 Północnoatlantyckiego.

Z głębokim żalem
 przyjęliśmy wiadomość o śmierci
 śp.

Zofii Guzdek.

Jego Ekscelencji Biskupowi Polowemu
 Wojska Polskiego
gen. bryg. dr. Józefowi Guzdkowi
 z powodu śmierci

Matki

składamy z serca płynące wyrazy współczucia, żalu
 oraz słowa otuchy i wsparcia w trudnych chwilach.
 Dowództwo, kadra i pracownicy
 resortu obrony narodowej
 1 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego

Jego Ekscelencji
gen. bryg. dr. Józefowi Guzdkowi,
 Biskupowi Polowemu WP,
 wyrazy żalu i głębokiego współczucia
 z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca gen. bryg. Robert Głąb,
 żołnierze i pracownicy
 Dowództwa Garnizonu Warszawa
 oraz jednostek wojskowych DGW.

„Człowiek odchodzi, pamięć pozostaje”.

Wyrazy głębokiego współczucia
 oraz słowa wsparcia z powodu śmierci
Ojca
 przekazują dowódca 13 Dywizjonu Trałowców
Panu kmr. por. Piotrowi Sikorze
oraz Jego Najbliższym.
 W imieniu swoim oraz całego stanu osobowego
 8 Flotylli Obrony Wybrzeża
 dowódca kmr. Krzysztof Zdonek

Panu kmdr. por. Piotrowi Sikorze

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy wojska
13 Dywizjonu Trałowców
im. adm. floty Andrzeja Karwety w Gdyni.

Z ogromnym smutkiem
przyjeliśmy wiadomość
o nagłej śmierci

p. Tadeusza Wojtkowskiego.

Wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje

Rodzinie i Bliskim

składają dyrektor, kierownictwo
oraz żołnierze zawodowi
i pracownicy
Centralnego Wojskowego Ośrodka Metrologii.

Pani Bogusławie Ochęduszcze**oraz Jej Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia i szczerze
kondolencje z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy
Sekcji Wychowawczej
3 Regionalnej Bazy Logistycznej w Krakowie.

Panu mjr. Arturowi Marcowi

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy RON
3 Włocławskiego Batalionu
Drogowo-Mostowego
z Chełmna.

Wyrazy szczerzego współczucia
i głębokiego żalu

Panu ppłk. Zbigniewowi Buksińskiemu

z powodu śmierci

Ojca

składają szef, kadra zawodowa
i pracownicy RON Szefostwa Rozpoznania
Geoprzestrzennego.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,

że 31 stycznia 2018 roku

zmarł w Londynie

śp.

ppłk pil. Andrzej Franciszek Jeziorski

urodzony 22 grudnia 1921 roku w Warszawie.
W czerwcu 1940 roku wstąpił do Armii Polskiej
we Francji.

Od lipca 1940 roku był słuchaczem
Szkoły Podchorążych Broni Pancernej
w Crawford na terenie Szkocji. Od czerwca
1941 roku kapral podchorąży 2 kompanii
2 Batalionu 16 Brygady Pancernej 1 Korpusu
Polskiego. Od września 1942 roku służył w Polskich
Siłach Powietrznych w Wielkiej Brytanii.
Od listopada 1943 roku oficer w 1 Szkole
Uzbrojenia RAF w Manby.
W czerwcu 1944 roku ukończył kurs nawigacji
i rozpoznania morskiego.
Od września 1944 do marca 1945 roku pilot
operacyjny w 304 Dywizjonie Bombowym „Ziemi
Śląskiej”, uczestnik lotów bojowych nad
Atlantykiem i Zatoką Biskajską.
Po wojnie pozostał w Wielkiej Brytanii.

Prezes Fundacji Stowarzyszenia Lotników Polskich
w Londynie, wybitnie zasłużony w działalności
na rzecz polonijnych środowisk kombatanckich.
Uhonorowany Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą
Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych
oraz wieloma innymi odznaczeniami
polskimi i brytyjskimi.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
szef Urzędu do spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

Panu ppłk. Krzysztofowi Budynowi**oraz Jego Bliskim**

szczerze kondolencje i wyrazy głębokiego
współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
Centralnego Ośrodka Analizy Skażeń
w Warszawie.

**Panu płk. rez. Adamowi Makara
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

najszczerze wyrazy współczucia, wsparcia
i otuchy w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Ojca

składają szef oraz koleżanki i koledzy
z Wydziału Organizacyjnego
Rejonowego Zarządu Infrastruktury w Lublinie.

Naszej Drogiej Koleżance

Pani Bożenie Nowakowskiej

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Męża

składają kierownictwo, kadra zawodowa
i pracownicy Wojskowego Biura Zarządzania
Częstotliwościami.

Pani Barbarze Pietrzyk

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają dowództwo i pracownicy
resortu obrony narodowej 1 Brygady Lotnictwa
Wojsk Lądowych.

Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony

Panu ppłk. Wiesławowi Szczepankiewiczowi

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
21 Brygady Strzelców Podhalańskich.

Naszemu Koledze

kpt. Marcinowi Wyrozumskiemu

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają żołnierze i pracownicy
8 Bazy Lotnictwa Transportowego
im. płk. pil. Stanisława Jakuba Skarżyńskiego.

Panu st. chor. szt. Danielowi Lepczynskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowództwo i pracownicy RON
1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje

ppłk. Krzysztofowi Karczewskiemu,

szefowi wojsk rakietowych i artylerii,
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy wojska
12 Brygady Zmechanizowanej.

Naszemu Koledze

st. chor. szt. Dariuszowi Rokicie

i Jego Najbliższym

wyrazy współczucia oraz słowa wsparcia
w trudnych chwilach po stracie

Mamy

składają dyrektorzy i pracownicy
Biura Skarg i Wniosków MON.

Szanownemu Panu

ppłk. dypl. Wiesławowi Szczepankiewiczowi

oraz Rodzinie

szczerze kondolencje i wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
5 Batalionu Strzelców Podhalańskich z Przemyśla.

Panu szer. Pawłowi Kowalczykowi

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy RON
1 Ośrodka Radioelektronicznego
w Grójcu.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

Wyrazy najgłębszego współczucia
i szczerego żalu
Żonie oraz Rodzinie
śp. ppłk. rez. Zbigniewa Michalskiego
składają szef, kadra oraz pracownicy
Zarządu Logistyki – P4 Sztabu Generalnego WP.

Pani Wioletcie Nyszk
oraz Rodzinie i Bliskim
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci
Taty
składają koleżanki i koledzy
z Departamentu Spraw Socjalnych MON.

Wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencję
Panu ppłk. Tomaszowi Sieńko
z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Operacyjnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Łącząc się w bólu z Kolegą
Arkadiuszem Osowskim
z powodu śmierci
Mamy
kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
składają komendant oraz żołnierze i pracownicy
Wojskowej Komendy Uzupełnień
w Łodzi.

Panu płk. Zdzisławowi Frątczakowi,
komendantowi 31 Wojskowego Oddziału
Gospodarczego Zgierz,
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencję z powodu śmierci
Ojca
składają żołnierze i pracownicy
Wydziału Materiałowego
3 Regionalnej Bazy Logistycznej
w Krakowie.

Panu płk. Zdzisławowi Frątczakowi,
komendantowi 31 Wojskowego Oddziału
Gospodarczego Zgierz,
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencję z powodu śmierci
Ojca
składają komendant, żołnierze i pracownicy
3 Regionalnej Bazy Logistycznej w Krakowie.



Pamiętamy

szer. Józef Twardy
3 marca 1978 roku, UNEF II Egipt

sierz. Piotr Mikułowski
4 marca 2003 roku,
AMBER FOX Macedonia

sierz. Paweł Legencki
4 marca 2003 roku,
AMBER FOX Macedonia

st. chor. Wiesław Caban
10 marca 1992 roku,
UNDOF Syria

st. chor. Robert Frąszczak
10 marca 2003 roku,
KFOR Kosowo

sierz. Paweł Ordyński
20 marca 2013 roku,
PKW Afganistan

por. Ryszard Bojsza
23 marca 1976 roku, UNEF II Egipt

st. chor. Jan Bednarz
23 marca 1976 roku,
UNEF II Egipt



ANDRZEJ
FĄFARA

Śmierć Tarasa



Piętnaście lat temu (dokładnie 20 marca 2003 roku) rozpoczęła się druga wojna w rejonie Zatoki Perskiej. Trwała króciutko, zaledwie 43 dni. Nie to co niegdyśjsze konflikty, ciągnące się w nieskończoność, niektóre przez dwa, a nawet trzy pokolenia, tak jak chociażby wojna stuletnia, która tak naprawdę zakończyła się po 116 latach. A tu działania potoczyły się błyskawicznie. Amerykanie wraz z sojusznikami (Wielka Brytania, Australia, Polska) przybyli, zobaczyli, zwyciężyli. Przeciwnikiem był iracki dyktator Saddam Husajn.

Mam z drugiej wojny w rejonie Zatoki wspomnienie osobiste. Zginął w niej mój ukraiński znajomy, który pracował jako operator w Agencji Reutera, Taras Prociuk. Wynajmował segment na warszawskim osiedlu Pyry, byliśmy sąsiadami. Spotykaliśmy się od czasu do czasu, ale niezbyt często, bo Taras wciąż wyjeżdżał. Zawsze tam, gdzie coś się działo, w rejonu ogarniętym konfliktami, jak się zwykło mówić. Afganistan, Bośnia, Czeczenia, Kosowo... Nie rozmawialiśmy jednak o jego służbowych wyprawach. Nie mam pojęcia, dlaczego unikał takich opowieści. Nie chciał drugi raz tego przeżywać? Bał się, że wywoła wilka z lasu?

Raz zrobił wyjątek. Akurat wrócił z byłej Jugosławii. Położył się spać i już pierwszej nocy go okradli w tych naszych bezpiecznych Pyrach. Złodziej oczyścił mu portfel, zabrał z domu jakiś drobny sprzęt i wyprowadził samochód z garażu. Taras mówił, że na Bałkanach nigdy mu się nic takiego nie zdarzyło, choć kule nieraz świstały pod hotelem. Bąknął wtedy, że trochę ma już dość tej roboty. „Gwizdną i musisz jechać”, mówił.

Przed jego wyjazdem do Iraku widzieliśmy się przelotem. Taras ściągnął już wtedy do Polski żonę i syna, starał się chyba o nasze obywatelstwo. Zginął 8 kwietnia, gdy w zasadzie było już po wojnie (formalnie działania bojowe trwały do 1 maja) i w Bagdadzie niewiele się działo. Pili wtedy, że miał pecha, co mnie za każdym razem doprowadzało do szału, bo pecha to można mieć w grach losowych. Tymczasem Taras został trafiony pociskiem wystrzelonym z czołgu M1 Abrams należącego do US Army. Pociskiem, który w żadnym przypadku nie powinien polecieć w stronę balkonu hotelu Palestyna, gdzie znajdowali się reporterzy i operatorzy.

Tak oto wojna, którą oglądałem w telewizji każdego wieczoru podczas kolacji, wtargnęła, mówiąc patetycznie, w moje życie. Inaczej od tamtej pory patrzę na tego rodzaju obrazki. Dzień po śmierci Tarasa spotkałem się z jego żoną przed jej powrotem do Kijowa. Zdążyła się zadomowić w Polsce, ale teraz nie chciała już tu zostać.



HISTORIA

Polska Zbrojna

NOWY MAGAZYN

O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA



**JUŻ
W SPRZEDAŻY
POCZTA POLSKA
SALONY EMPIK**

**ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400**

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL



POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA



**ODBUDOWUJEMY POLSKI
PRZEMYSŁ OBRONNY**

www.pgzsa.pl